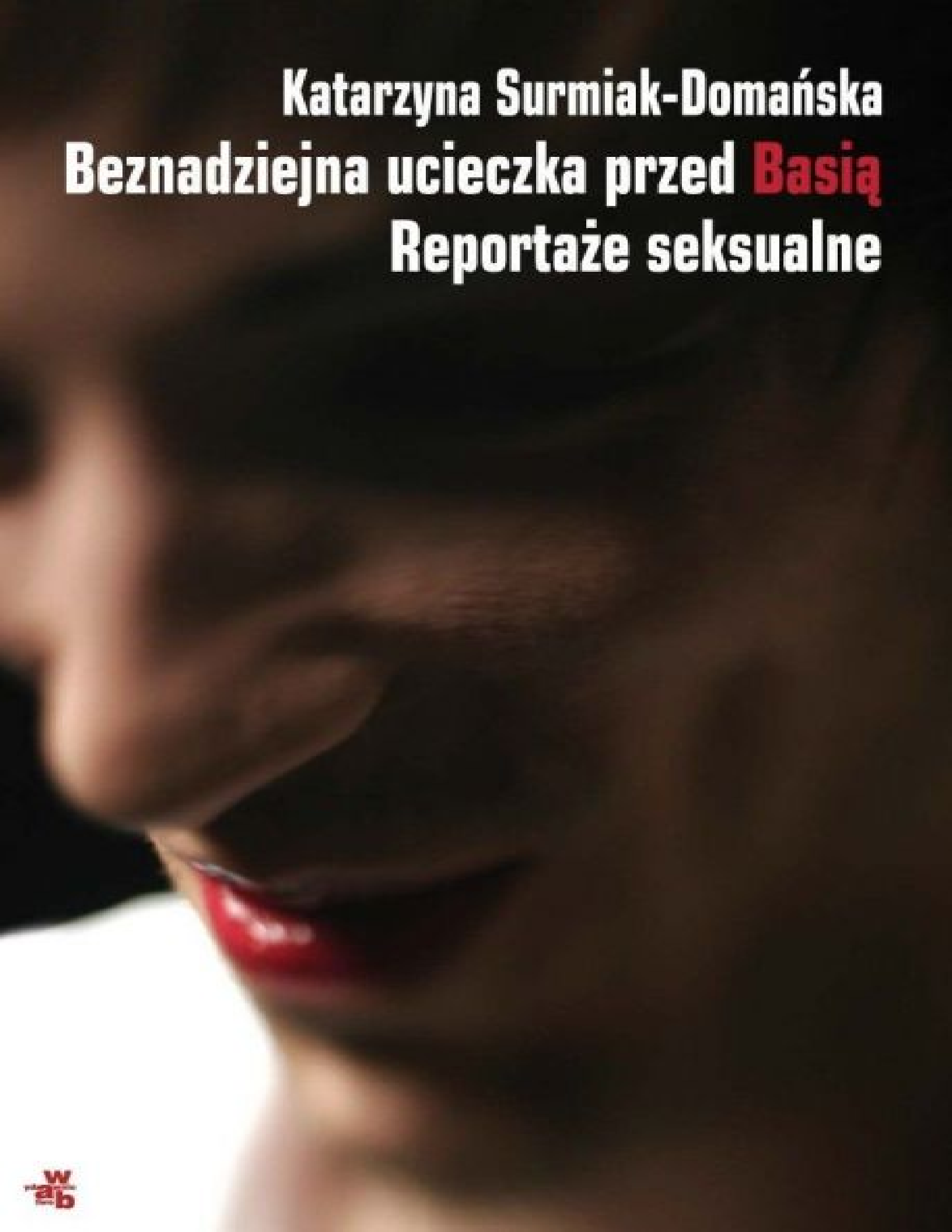

Katarzyna Surmiak-Domańska

Beznadziejna ucieczka przed Basią

Reportaże seksualne

Katarzyna Surmiak-Domańska Beznadziejna ucieczka przed Basią Reportaże seksualne

Katarzyna Surmiak-Domańska

Beznadziejna ucieczka przed Basią

Reportaże seksualne

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007 Wydanie I Warszawa 2007

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

VIRTUALO

Digital platform of tomorrow

Spis treści

W nie swojej skórze
Beznadziejna ucieczka przed Basią
Anna z gabinetu bajek
I proszę cię, syneczku, nie myl mnie z tatą
Poszukiwana, poszukiwany
Najbardziej kobieca profesja
Godność
Ultrafiolet
Oprawcy i ofiary
Stop!
Dlaczego nie przyjechał ford transit?
Normalni i nienormalni
Wszystko o moich matkach
Najbardziej boję się teściowej
Ja, grzesznik

W nie swojej skórze

Beznadziejna ucieczka przed Basią

Podporucznik Maj stał, tak jak się umówiliśmy, z „Wyborczą” w ręku, w hali głównej Dworca Centralnego w Warszawie, przy kasie numer jeden. Przyjechał służbowo kupi. magnetowid. Ubrał się po cywilnemu.

Przyglądałam mu się przez chwilę z daleka, jak rozgląda się niespokojnie na boki, trzymając gazetę jak halabardę. Gdy podeszłam, zaczerwienił się.

– Może ten tekst powinien pisa. mężczyzna – przyszło mi do głowy.

– Tego, co pani opowiem, nie mówiłem jeszcze nigdy nikomu – powiedział poważnie, patrząc w sernik w barze Champions, gdy kelnerka, która go przyniosła, oddaliła się na bezpieczną odległość.

Niełatwo było się umówić z podporucznikiem. Zadzwonił do mnie dwa miesiące wcześniej, odpowiadając na anons w magazynie „Seksrety”, w którym napisałam, że szukam rozmówców do reportażu o transwestytach. Powiedziałam, że oddzwonię, ale tu pojawił się problem. Podporucznik nie

chciał podać mi numeru telefonu, ani do jednostki, ani tym bardziej do domu, gdzie mogłabym natknąć się na jego żonę. Podał mi tylko numer swojej skrytki pocztowej.

Wysłałam więc list na adres „Dorota Maj” (dlatego nazywam podporucznika – Maj, prawdziwego nazwiska nie znam) o treści „czekam na telefon”. Wkrótce zadzwonił ponownie. Mimo że mieszka w dużym mieście, bał się spotka. ze mną na swoim terenie:

– Może to obsesja, ale wolę przyjechać do pani.

Zaczyna od kategorycznego zastrzeżenia, że nie jest homoseksualistą: – Na myśl o zbliżeniu z mężczyzną robi mi się niedobrze. Moja, nazwijmy to, słabość bierze się z uwielbienia dla kobiet. Fascynują mnie one do tego stopnia, że aż pragnę odgrywać ich rolę.

– Tak? – uśmiecham się kokieteryjnie. – A co takiego pana fascynuje w kobietach?

– Delikatność! – odpowiada bez namysłu. – Te słodkie fatałaszki, pończoszki… Intryguje mnie, jak się czuje człowiek ubrany w coś takiego. Jaką trzeba mieć osobowość, żeby czuć się w tym dobrze. I ja chcę mieć tę osobowość – na chwilę, na dwie. A potem bezpiecznie wrócić do swojego ciała.

– Zaczęło się chyba od nóg Sophii Loren. Telewizja pokazywała serię jej filmów. W każdym eksponowała piękne nogi w pończochach. A ja miałem dziesięć lat. To, że chłopca pociągają zgrabne nogi, nie jest niczym dziwnym, ale mnie pociągały inaczej. W szufladzie mamy były jedwabne pończochy. Kiedy mama je nakładała, jej pulchne

nogi wyglądały smuklej. Gdy nikogo nie było w domu, przechadzałem się po mieszkaniu w pończochach i wyskakiwałem z nich jak oparzony za każdym razem, gdy winda stawała na naszym piętrze. Potem śmielej sięgałem również po koronkowe majtki starszej siostry. Miała ich tyle, że czasem podkradałem sobie parę czy dwie. W siódmej klasie w dni, kiedy nie było wuefu, wkładałem je pod dżinsy. To był taki mój mały sekret. Lubiłem, gdy szczypały mnie w pośladki. Wyobrażałem sobie, że czuję to samo co dziewczyny, które siedziały w ławce przede mną.

Sporty uznawałem wyłącznie męskie: boks, koszykówka, piłka nożna. Życie seksualne zacząłem w liceum. Nigdy nie ośmieliłem się zaproponować swojej dziewczynie, że przymierzę jej rzeczy, ale zawsze nalegałem, żeby sama wkładała pod spód coś koronkowego. I pończochy. Koniecznie pończochy, nienawidzę rajstop. Kupowałem Joli koronkową bieliznę. Wiem nawet, że chwaliła się koleżankom. To było takie męskie, kupować kobiecie coś tak kontrastującego z moją własną powierzchownością. Nie wiedziała, że kiedy brała prysznic, przymierzałem przed lustrem jej stanik i wsuwkę do włosów z brylancikami.

W trzeciej klasie postanowiłem kupić sobie coś własnego. W butiku na drugim końcu miasta poprosiłem o parę cienkich czarnych pończoch. Nie lubię kabaretek – pończochy muszą być gładkie, jedwabiste, słodko ulegać opuszkom palców. Nie będę mówić, jak długo krążyłem wokół sklepu, zanim wszedłem. Oświadczyłem, że

potrzebuję pończoch na prezent – dzisiaj myślę, że taki wstęp od razu zdradza transwestytę.

Pękatą zieloną reklamówkę podporucznik, czyli wówczas siedemnastoletni Wojtek, ukrył w piwnicy za rowerem i pudłami z bombkami na choinkę. Nikt nie miał szansy jej znaleźć, chyba żeby ojcu przyszło do głowy robić generalne porządki. W reklamówce chłopiec zgromadził swoje skarby – pończochy samonośne czarne, kilka par cielistych, bluzkę koszulową w żółte róże, granatową spódnicę na gumkę, biały biustonosz, majtki siostry, perukę, kosmetyki, lusterko turystyczne, świeczkę.

– To były rzeczy raczej tanie. Z funduszami było kiepsko, bo na wszystko szło z kieszonkowego.

– Przebierał się pan w piwnicy?

– Tam było mało miejsca. Gdy nikogo nie było w domu, schodziłem do piwnicy i przynosiłem torbę na górę. Ubierałem się przed lustrem. Potem w przebraniu oglądałem telewizję, odrabiałem lekcje, gotowałem sobie obiad, a wszystkie te czynności sprawiały mi nieznaną dotąd przyjemność.

W lustrze upewniał się, że nie jest już Wojtkiem z III b, ale zupełnie nowym człowiekiem. Kobietą. Może nie superatrakcyjną, ale na pewno kobietą – trochę misiowatą, nieporadną, ciepłą, nieśmiałą, odrobinę kokietką. Żal mu jej było, że ma taką smutną twarz. Tak strasznie ciągnęło ją do ludzi, na ulicę, do ciekawskich spojrzeń mężczyzn i oceniającego wzroku innych kobiet. Zasługiwała na to. W końcu była jego najbliższym przyjacielem.

– Muszę to zrobić, muszę wyjść – postanowił.

– Moje drugie wcielenie chciało żyć własnym życiem, ale w tym czasie Wojtek musiał też istnieć, żeby nie było wpadki – tłumaczy mi podporucznik. – Basia musiała mieć alibi.

– Basia?

– Tak. Nazywałem ją Basia, to moje drugie wcielenie.

– Dlaczego właśnie Basia?

– Bo w tym imieniu jest słodycz, wdzięk i niewinność, jak w Hajduczku z *Pana Wołodyjowskiego.*

Basia była blondynką o platynowych anglezach – takich jak peruka, którą Wojtek pożyczył od koleżanki niby na bal przebierańców, a potem, niby po pijaku, zgubił. Miała długie nogi w czarnych pończochach. Ponieważ nie mogła codziennie depilować łydek, pod cienkie kryształki wkładała dwie lub nawet trzy pary zwykłych cielistych pończoch. W ten sposób uzyskiwała czarną gładkość, a nogi ponętnie się zaokrąglały. Malowała się dość jaskrawo i często miała poplamione tuszem powieki. Nie wiedziała jeszcze, że rzęsy maluje się wyłącznie od spodu.

– W soboty wieczorem mówiłem rodzicom, że wychodzę na imprezę i wrócę o pierwszej w nocy. Rzeczywiście szedłem na jakąś prywatkę z kumplami, ale tego wieczoru, kiedy miałem spotkanie z Basią, byłem od początku zabawy podenerwowany. Nie mogłem się doczekać dziesiątej, kiedy za oknami było już ciemno i ulice zaczynały się wyludniać. Wtedy żegnałem się z przyjaciółmi. – Co jest? Młoda godzina, stary – dziwili się. – Mam jeszcze drugą imprezę –

odpowiadałem pokrętnie, a oni rechotali obleśnie. Wsiadałem w autobus do domu, ale wysiadałem przystanek wcześniej. Przemykałem się chyłkiem do bloku, żeby nie natknąć się na sąsiadów, wchodziłem do klatki schodowej, ale zamiast iść do windy, schodziłem do piwnicy. Wkładałem ubranie Basi, na pudełku z bombkami rozkładałem lusterko, zapalałem świeczkę i malowałem się. Z duszą na ramieniu wychodziłem na zewnątrz. Oczywiście nie swoją klatką. Piwnica miała przejście pod całym długim blokiem, więc wychodziłem kilka klatek dalej i od tego momentu nie miałem już nic wspólnego z Wojtkiem. Początkowo prawie sparaliżowany ze strachu i z podniecenia dreptałem po alejkach w parku. Nie zapomnę wrażenia, kiedy wiatr pierwszy raz zawiał spódnicą i schłodził mi pośladki. Była pogodna majowa noc i niebo całe w gwiazdach. – Życie bywa niesamowite – pomyślałem.

Nagle wyrósł przede mną pijany drab. – Ej, królowo, daj no na wino – wybełkotał, zasłaniając mi ciałem ścieżkę. Facet był niższy ode mnie, podpity i raczej cherlawy. Wystarczyło otwartą dłonią pchnąć go w czoło. Ale poddać się tak szybko, dać się zdemaskować tak łatwo? O nie! – Przepraszam, śpieszę się do dziecka – zapiszczałem cienko i umknąłem przez trawnik. Wbiegłem do piwnicy z wypiekami na twarzy. Jestem kobietą! Jestem kobietą! – krzyczałem szeptem. Serce waliło jak głupie, zmywałem makijaż, a tusz mieszał mi się na waciku ze łzami. Czułem dumę, tkliwość. Nigdy nic nie wzbudziło we mnie równie żywych uczuć.

Stary Testament mówi: „Jeśli mężczyźni przebierają się w stroje kobiet, to ich krew spadnie na nich”. Kultura europejska przejęła od Żydów tę surowość, ale transwestytów nie wypleniła. Słowo,,transwestytyzm" pochodzi z łaciny. *Trans* oznacza: za, poza, z tamtej strony, a *vestitus* – odziany. Typowy transwestyta to pozornie zupełnie normalny facet, który ubiera się i zachowuje po męsku. Jednak od zwykłego mężczyzny różni się tym, że co pewien czas, najczęściej pod wpływem podniecenia seksualnego, pojawia się u niego potrzeba włożenia kobiecego stroju i występowania w roli kobiety. Wtedy „opuszcza” swoją płeć i pozostaje w obrębie tej drugiej przez cały czas podniecenia. Po orgazmie, będącym najczęściej wynikiem masturbacji, wraca do swego biologicznego wcielenia. Zazwyczaj transwestyta nie jest homoseksualistą. Po prostu nosi w sobie dwie osobowości – żeńską i męską, a każda z nich ma osobny zbiór cech i zachowań.

Transwestyci zwykle kompromisowo przywdziewają tylko części damskiej garderoby, na przykład bieliznę. Lepiej mają transwestytki, bo kobieta w męskim stroju nie zwraca uwagi. Można wyobrazić sobie sytuację, kiedy kobieta w ogóle nie zdaje sobie sprawy z własnej inwersji.

Transwestytyzm, tak jak i inne zaburzenia identyfikacji płciowej, dotyka przeważnie mężczyzn. Teoria hormonalna tłumaczy to tym, że mężczyźni jeszcze w łonie matki zostają poddani działaniu hormonów przekształcających ich mózg z naturalnego modelu żeńskiego, który występuje

u każdego z nas w pierwszych tygodniach od poczęcia, niezależnie od naszej ostatecznej płci. Mózgi mężczyzn muszą zostać nasycone dodatkowymi dawkami hormonów męskich, a ich struktura musi ulec zmianie. Przy okazji takiej przebudowy szansa błędu jest znacznie większa niż u kobiety, której mózg nie potrzebuje żadnych zmian.

Wojtek zdał maturę. Jasne było, że wyjedzie, bo w jego mieście nie było żadnej wyższej uczelni. Zdecydował się na wyższą szkołę wojskową. Wojskowi mieli dobrą pracę i szybko dostawali mieszkanie.

– Był jeszcze jeden powód – przyznaje podporucznik. – Zacząłem się zastanawiać, czy ja z tą Basią nie popadam czasem w schizofrenię. Przebieranie stało się niebezpiecznie łatwe. Nawet w zimie wychodziłem raz na tydzień w starym futrze mamy. Jola niczego się nie domyślała. A ja bałem się, że jak tak dalej pójdzie, wyląduję w psychiatryku. Postanowiłem skończyć z Basią.

Szkoła wojskowa z internatem była gwarancją, że żadne przebieranki nie przyjdą mi już do głowy. Tam nie dałoby się tego ukryć. To byłby koniec mojej kariery, a ja zamierzałem zrobić w wojsku karierę. Basia to był w końcu tylko jeden z aspektów mojego życia, może nawet margines.

Któregoś wieczoru Wojtek wyniósł z piwnicy zieloną reklamówkę i całą jej zawartość wrzucił do kontenera na śmieci. – Żegnaj – pomyślał.

Tego dnia pożegnał się też z Jolą – swoją dziewczyną. Powiedziała: albo wojsko, albo ja. Liczyła na to, że Wojtek

zostanie w miasteczku i prędko się z nią ożeni.

– Fajnie było w tej szkole wojskowej? – pytam.

– Uhm – przytakuje podporucznik, przełykając kawę.

– Męskie towarzystwo, męskie rozrywki…

– Codziennie od szóstej rano trzykilometrowy marszobieg, byłem najlepszy w strzelaniu…

– I nie korciło pana, żeby się przebierać?

– Tam jakoś nie. To znaczy, może tak: do tego stopnia czułem, że to mogłoby mi rozwalić życie, że w ogóle to wyrzuciłem z głowy.

Czasem wychodzili wieczorami do dyskoteki. Wojtek starał się oglądać dużo dziewczyn i to mu wystarczało. Przynajmniej tak sam siebie przekonywał. Przez dwa lata nie założył żadnego damskiego fatałaszka. Uznał, że się wyleczył.

Tak więc kiedy pewnego razu przed weekendem, na który wybierał się do rodziców, usłyszał przez telefon od mamy: „Wojtusiu, ale my w piątek jedziemy na wesele, będziemy dopiero w sobotę po południu” – tak jakoś odpowiedziało mu się:,,Nie szkodzi, mamo, to ja przyjadę w piątek wieczorem i poczekam na was w domu".

Kiedy to powiedział, to tak jakby podjął decyzję. Krew wesoło zabulgotała w żyłach. Poleciał do sklepu po nowy strój dla Basi.

W XVIII wieku we Francji żył szlachcic, kawaler d'Eon. Słynął z erudycji i biegłego władania szpadą. Ale główną przyczyną jego sławy stała się skłonność do przywdziewania niewieścich szat. Był dyplomatą.

Reprezentował króla Francji Ludwika XXV na dworach w Londynie i Wiedniu, a w Petersburgu został nawet mianowany pierwszym sekretarzem ambasady francuskiej. Zanim jednak objął to stanowisko, udał się na dwór cara w przebraniu kobiety i oświadczył, że jest siostrą kawalera d'Eon (imieniem Lia), który ma wkrótce nadciągnąć z Paryża. Inteligencja i wdzięk Lii sprawiły, że stała się ulubienicą otoczenia carycy Elżbiety. Przez kilka miesięcy dzieliła sypialnię z jedną z dam dworu i nie wzbudziła jakichkolwiek wątpliwości co do podawanej przez siebie płci. Kiedy rok później Eon zjawił się w Petersburgu już we własnym, męskim wcieleniu, nikt nie przypuszczał, że Lia i on to ta sama osoba.

Kłopoty zaczęły się, gdy Eon pojawił się na dworze angielskim, aby negocjować warunki pokoju paryskiego. Chcąc skompromitować negocjatora, przeciwnicy polityczni zaczęli plotkować, że jest kobietą. Jednak zamiast wzbudzać kpiny, Eon zaintrygował otoczenie. Po obu stronach kanału La Manche robiono nawet zakłady, jakiej naprawdę jest płci. Ktoś zaproponował mu majątek tylko za poddanie się badaniu lekarskiemu. Oczywiście, Eon jako szlachcic nigdy by nie przyjął takiej propozycji. Wybrał inne wyjście. Każdego, kto ośmielał się wątpić w jego męskość, wyzywał na pojedynek, a szpadą, jak wiemy, posługiwał się sprawnie. Lęk przed nią sprawił, że plotki przycichły, ale wtedy z Eonem stało się coś dziwnego. Nagle, jakby zdezorientowany słabnącym wokół siebie

zainteresowaniem, oświadczył publicznie, że jest kobietą. Wkrótce, wystraszony własną śmiałością, wszystko odwołał.

Kawaler d'Eon był wiernym poddanym. Na cele królewskich misji łożył często z własnej kiesy. Czasem zaciągał długi, aby tylko godnie reprezentować swój kraj. Ludwik XV zawdzięczał mu niemało. Ale Ludwikowi XVI nie na rękę był powrót Eona z Londynu. Przypuszczalnie nie miał ochoty spłacać długów swego poprzednika, zaciągniętych w jego imieniu przez Eona. Poza tym wielu dworzanom, którzy obrazili Eona, jego powrót groził pojedynkiem. Ludwik XVI wybrał rozwiązanie tyleż sprytne, co perwersyjne. Napisał kawalerowi, że warunkiem jego powrotu na dwór francuski jest „zdjęcie munduru dragonów i przywdzianie stroju stosownego dla przyrodzonej mu płci niewieściej”.

Eon nie miał wyboru. Poza królewską szkatułą nie miał źródeł dochodu. Na dworze królewskiej małżonki Marii Antoniny znów brylował jako dama. Królowa użyczała mu swojego krawca i fryzjera i opłacała rachunki. Panna d'Eon była tak samo popularna jak dawniej kawaler, choć w Wersalu nie brakowało pewnie osób, które pamiętały,,ją" sprzed lat. Jednak kawaler, nie mogąc już swobodnie wybierać między swoimi dwiema osobowościami, czuł się źle. Doszło do tego, że prowokacyjnie wystąpił publicznie w męskim stroju, za co król wtrącił go do więzienia.

Po skończeniu odsiadki rozgoryczony Eon wyemigrował do Anglii, gdzie po wybuchu rewolucji francuskiej pozostał bez grosza. Ostatnie piętnaście lat życia spędził w nędzy

i opuszczeniu. Zmarł w Londynie w 1810 roku. Sekcja zwłok udowodniła, że miał ciało normalnego mężczyzny. Fakt ten wszystkich zaskoczył. Kobieta, w której domu mieszkał przez ostatnie lata życia, oraz medyk, odwiedzający go przed śmiercią, nie podejrzewali niczego nienormalnego w egzystencji spokojnej „staruszki”.

Z badań klinicznych wynika, że typowy transwestyta właśnie tak jak Eon nie może zdecydować się ostatecznie na żadną ze swoich dwóch osobowości. Każda z nich wybiera sobie właściwe imię, barwę i tonację głosu, wygląd, maniery, sposób poruszania się, strój, ozdoby oraz rodzaj wypoczynku i hobby. Od nazwiska Eona seksuolodzy utworzyli synonim transwestytyzmu – eonizm.

Po podwójnej porcji sernika z truskawkami i dużej czarnej kawie podporucznik staje się bardziej wylewny:

– Nawet pani sobie nie wyobraża, jak potrzebowałem tej rozmowy. Tak jakbym zrzucił z serca ciężki kamień.

– Może pan opowie teraz o swojej żonie – proponuję.

Podporucznik z uśmiechem rozkłada ręce: – Zakochałem się. Spokojna, ciepła, miała swoje zdanie, ale go nie narzucała, nie paliła, nie piła. Ważne było też wykształcenie. Żona jest lekarzem, pisze pracę doktorską. Pod jej wpływem podjąłem drugie studia – socjologię.

– A co jej się spodobało w panu?

– No cóż, jestem oficerem Wojska Polskiego – to budzi szacunek. Prowadzę zajęcia z żołnierzami – strzelanie i kształcenie obywatelskie. Już w czasach narzeczeństwa miałem mieszkanie, nieźle zarabiałem. Na niedzielne

obiady u jej rodziców zawsze przychodziłem z kwiatami. Byłem tak zwaną dobrą partią. Bardzo kocham Patrycję i chłopców. Nie wyobrażam sobie życia bez nich, są najważniejsi…

– Ale coś nie gra…

– Coś nie gra – kiwa głową.

Pierwsze podejście podporucznik wykonał jeszcze przed ślubem. Kupił narzeczonej przezroczystą koszulkę nocną.

– To taki prezent dla ciebie, ale właściwie dla mnie – zażartował. Patrzył, jak z uśmiechem odwijała kolejne warstwy papieru. Kiedy otworzyła pudełko, uśmiech znikł.

– Nie podoba ci się – zmartwił się.

– Ja tego nie włożę – pokręciła głową.

– Dlaczego, kotku? – próbował ją objąć.

– Słuchaj, ja nie noszę takich rzeczy. To jest takie jakieś nieprzyzwoite i w ogóle…

– Nieprzyzwoite! Tak jakby seks mógł być przyzwoity! – prycha podporucznik, szukając poparcia w moim wzroku. – Więc o tym, żebym ja sam mógł się w to przebrać, kiedy będziemy się kochać, oczywiście już nawet nie wspomniałem.

Mimo to ożenił się z Patrycją. Tak jak mówi – zakochał się w niej. Transwestytyzm był przecież tylko drobnym aspektem jego życia. A wiadomo, że nie można mieć wszystkiego. Małżeństwo miało być definitywnym końcem głupiej historii z Basią.

Tylko że Basia wcale nie miała zamiaru się wynosić. Nachodziła Wojtka w myślach, snach, upominała się o swoje

prawa, chciała żyć. Wojtek był twardy. Pomogły mu w tym narodziny pierwszego syna. Ale Basia była cierpliwa. Odczekała pół roku i znowu zaczęła go przywoływać.

Zaoczne studiowanie socjologii wiązało się z wyjazdami na sobotę-niedzielę. Okoliczności sprzyjały. Dwa lata po ślubie w piwnicy państwa Majów pojawiła się reklamówka z peruką, sukienką i kosmetykami.

– W podróż zawsze brałem ze sobą dwie torby: Basi i swoją. Wychodziłem z domu ze swoją, po drodze brałem z piwnicy tę Basi i wracając, najpierw ją tam zostawiałem. Przebierałem się w hotelu po zajęciach. Ale nie wychodziłem, bałem się, że rozpozna mnie obsługa. Kiedyś, wyjątkowo, zajęcia wyznaczono w innym mieście, to mnie ośmieliło…

Miał tylko jeden problem. Był czerwiec – ciemno robiło się dopiero o dziesiątej, a mniej więcej o tej godzinie pensjonat, w którym mieszkał, zamykano dla obcych. Mógł od biedy wyjść niepostrzeżenie w stroju kobiety, ale nie mógłby w nim wrócić. Postanowił zagrać va banque.

Po obiedzie podszedł do recepcjonistki: – Mam do pani taką sprawę… – powiedział szeptem. – Będę chciał wyjść wieczorem i wrócę przypuszczalnie około północy.

– Nie ma problemu – odparła recepcjonistka – proszę zadzwonić, otworzę panu.

– Tak, bardzo dziękuję. Tylko widzi pani, jest jeszcze jeden mały problem.

– Tak? – recepcjonistka spojrzała uprzejmie.

– Z pewnych względów będę musiał wyjść w przebraniu, konkretnie w przebraniu kobiety…

– Nie ma problemu…

Wieczorem, kiedy Basia schodziła po schodach, dziewczyna w recepcji samotnie oglądała telewizję. Basia uśmiechnęła się porozumiewawczo, recepcjonistka odpowiedziała krótkim uśmiechem.

Dla podporucznika to był kolejny etap: – Ktoś wreszcie dowiedział się o tym i przyjął to normalnie, w miarę normalnie. To, że ta dziewczyna nie zaczęła krzyczeć, że nie zadzwoniła po policję, nie rozpadła się na kawałki, było dla mnie bardzo ważne. Uwierzyłem, że nie jestem zboczeńcem.

Wojciech Maj jest jednym z blisko pięćdziesięciu transwestytów, którzy odpowiedzieli na mój anons w,,Seksretach". Byli wśród nich: kierowca ciężarówki, monter telefonów z TP SA, jubiler, elektryk, przedstawiciel handlowy dużej firmy, dyrektor sprzedaży w innej, bankowiec, emeryt. Wielu miało żony – ci byli nieszczęśliwi. Inni wyznali, że jeśli nie znajdą kobiety, która by tolerowała ich transwestytyzm, nie założą rodziny.

Jubiler z Wrocławia, trzydzieści pięć lat, który mieszka z rodzicami, od dwudziestu lat kolekcjonuje komplety staników z majtkami. Pierze je sam i suszy za regałem, rodzice nigdy nie wchodzą do niego bez pukania. Nie chce zmieniać swojego życia. Woli nie mieć nigdy żony i dzieci, ale za to codziennie zakładać pod dżinsy koronkowe majtki i spać w staniku.

Inny pan opisał mi w liście całe swoje życie…

Jestem transwestytą od tak dawna, że aż nie pamiętam od kiedy. Byłem małym dzieckiem, kiedy to w moim sąsiedztwie mieszkała dziewczyna o urodzie tak ujmującej, że chyba bliskiej ideału. Działała na moje emocje do tego stopnia, że pewnego razu postanowiłem ukraść jej majtki, suszące się na sznurku w ogrodzie. Przechowywałem je w skrytce wydrążonej w murku, od czasu do czasu wyjmując je, aby nasycić się ich pięknem i delikatnością.

W wieku osiemnastu lat, kiedy odbyłem pierwszy stosunek, doszedłem do wniosku, że seks nie jest niczym specjalnym. „No, może trzeba by spróbować z atrakcyjniejszą dziewczyną – pomyślałem. Wkrótce taka się znalazła. Jednak po paru nocach spędzonych z nią zrozumiałem, że seks polegający na wykonywaniu ruchów posuwistych jest nudny, prostacki i prymitywny. Zacząłem sobie przypominać, jakie podniecenie wzbudziły kiedyś we mnie damskie majteczki. Myślałem i myślałem o tym. Wreszcie zebrałem się na odwagę, poszedłem do sklepu i kupiłem parę pończoch (…).*

(…) Wielu moich znajomych namawiało mnie do ożenku. Oczywiście nikt z nich nie miał pojęcia o moich skłonnościach. Kiedy taki temat pojawiał się w rozmowach, najczęściej słyszałem określenia „pedały”, „zboczeńcy”, „„cioty”, „takich trzeba lać”; itd.„ a więc milczałem. Strach przed ośmieszeniem był również zbyt wielki, żeby zwierzyć się którejkolwiek z moich partnerek. Poszedłem do spowiedzi. Ksiądz niemal z krzykiem wyrzucił mnie spod

konfesjonału. Odszedłem spokojnie i nigdy już nie wróciłem.

Wkrótce pojawiły się w naszym kraju pierwsze gazety zamieszczające ogłoszenia osób „kochających inaczej”: „Relax”,,,Seksrety". Otwarto pierwsze sex-shopy i agencje towarzyskie. Prostytutki akceptowały to, że przebieram się za kobietę. To dzięki nim poznałem znaczenie słowa „orgazm”. Ale kolejny związek z dziewczyną znowu skończył się porażką. Postanowiłem uciec. Medytacja, zen, joga, sport, hazard – wszystko to miało mi pomóc zapomnieć. A jak się zaspokoić? Proste! Jeden film porno, następny, setki filmów. Żywe kobiety już na mnie nie działały. Przypominały przeszłe niepowodzenia.

Wycofałem się z życia towarzyskiego. Kolejne sylwestry spędzałem sam w domu przed telewizorem. Znajomi już się nawet nie dziwili – ot, typ samotnika.

Byłem po trzydziestce. Za zaoszczędzone pieniądze pojechałem do Londynu na kurs językowy. Tam, chodząc po sklepach, zauważyłem rzecz, która mnie zupełnie zaszokowała. Gdy oglądałem jakieś damskie ciuchy, zazwyczaj podchodził do mnie sprzedawca i pytał, czy chcę to przymierzyć. Z początku krępowałem się, tłumacząc, że to nie dla mnie, tylko dla przyjaciółki, na co on uśmiechał się grzecznie. W końcu w jednym ze sklepów zobaczyłem superbuty! Wysokie obcasy, skóra ponad kolano wiązana z boku, poszerzane specjalnie na męską stopę.,,Czy chce pan przymierzyć?" – padło pytanie. „Oczywiście!” – odparłem. Cena sto funtów. Udało mi się zbić na

dziewięćdziesiąt dwa. Starczyło jeszcze na sukienkę. W kraju dokupiłem pończochy, rajstopy typu kabaretki, kosmetyki. Stanąłem przed lustrem. Superlaska! Trzeba tylko jeszcze coś zrobić z włosami. Kupiłem perukę.

Wkrótce zauważyłem, że tu i ówdzie pojawiają się ogłoszenia o działalności klubów dla mniejszości seksualnych. Udałem się do jednego z takich miejsc na sobotnią dyskotekę. Zaryzykowałem i przebrałem się za kobietę. Ku mojemu zdziwieniu zostałem od razu zaakceptowany. Byłem atrakcją wieczoru. Ciekawe było także to, że oprócz gejów i lesbijek, którzy przeważali, sporo było osób o orientacji heteroseksualnej, które wolały imprezę dla kochających inaczej niż normalną dyskotekę. Od tego czasu na podobnych spotkaniach bywam co tydzień. Przybrałem imię Eliza. Mam coraz więcej znajomych, przyjaciół. Przez ostatni miesiąc poznałem więcej osób niż przez ostatnie osiem lat. Wreszcie jestem akceptowany! Rodzice, znajomi, koledzy, sąsiedzi oczywiście nic nie wiedzą o mojej drugiej twarzy. I niech tak zostanie. W klubie spotkałem sąsiadów, którzy prowadzą na moim osiedlu sklep spożywczy. Spotkałem też młodego chłopaka, który niby przypadkowo zaczął ze mną rozmawiać, a na końcu powiedział:,,Wiesz, to ja byłem tą laską, którą próbowałeś poderwać przy barze w Harendzie". Szok! Pracuję w dużym banku w Warszawie. Codziennie, gdy wchodzę tam rano w garniturze i z teczką, zastanawiam się, ilu z tych facetów przy komputerach ma, tak jak ja, pomalowane paznokcie pod skarpetkami.

– To był najpotworniejszy dzień w moim życiu. Wracałem z podróży. Tego wieczoru żona miała mieć dyżur w szpitalu, Adaś był u dziadków na działce. Spokojnie więc wszedłem do mieszkania z obiema torbami, postawiłem je w przedpokoju i wyszedłem do pubu. Wróciłem po dwóch godzinach. Zna pani to okropne uczucie, kiedy klucz w drzwiach nie chce się przekręcić? Drzwi były otwarte. Nacisnąłem klamkę. W mieszkaniu paliło się światło, w przedpokoju nie było żadnej torby. Momentalnie się spociłem.

Patrycja siedziała w fotelu w pokoju. Płakała.

– Otworzyła torbę?

– Chciała mnie rozpakować, wrzucić brudne rzeczy do pralki.

– A może pomyślała, że ma pan kochankę i że to jej rzeczy…

– No nie, bo oprócz ciuchów znalazła jeszcze zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Zdjęcia Basi, które robiłem samowyzwalaczem.

Patrycja początkowo chciała się wyprowadzić do rodziców, ale nie zrobiła tego. Wojtek przysiągł, że nigdy już nic podobnego się nie powtórzy. Wkrótce Patrycja zaszła w ciążę i urodziła bliźniaki. Nigdy więcej nie rozmawiali na ten temat. Patrycja ma klasę – on przysiągł, ona nie robi aluzji do tego, co zaszło. Ale podporucznik nie wyjeżdża już w ogóle z domu na noc. Tylko służbowo na jeden dzień. Ciągle czuje na sobie zraniony wzrok żony.

Wojciech Maj z łobuzerskim uśmiechem sięga do teczki: – Na szczęście negatywy miałem schowane w biurku w jednostce.

Rozkłada na stoliku kilka fotografii. Wszystkie przedstawiają podporucznika w różnych pozach, w blond peruce, ubranego w czarne pończochy, czarne koronkowe majtki, na wierzchu w zielony sweterek obszyty perełkami, jakie były modne na początku lat osiemdziesiątych.

Od razu wychwytuje mój grymas na widok sweterka.

– Że trochę kiczowaty, prawda? No wiem, wiem, ale za to był tani. Mam rodzinę, nie mogę sobie pozwolić na drogie rzeczy.

– I co, udało się panu zerwać z Basią?

Maj przeciera okulary chusteczką do nosa. Milczy długą chwilę.

– Z Basią tak – mówi wreszcie. – Kiedy Patrycja wyrzuciła zawartość jej torby do kontenera na śmieci, a ja złożyłem przysięgę, Basia umarła na zawsze. I naprawdę wierzyłem, że tak będzie. Rodzina się powiększyła. Tak jak mówię, ja nie jestem tak uzależniony. Zostawiłem to, cieszyłem się dziećmi. Minęło trochę czasu… Gdyby Patrycja chciała chociaż czasem założyć bardziej kokieteryjną bieliznę, jakieś seksowniejsze buty, dekolt, cokolwiek, to może by mi ta namiastka wystarczyła. Ale ona stała się jeszcze bardziej pruderyjna. W łóżku nie mogę niczego zaproponować, bo boję się, że jej się to skojarzy… Aaaa, szkoda słów.

Gdy bliźniaki miały rok, zacząłem chodzić do prostytutek. One przynajmniej ubierały się ładnie.

– Przebierał się pan przy nich?

– Wstydziłem się. Jestem bardzo nieśmiały. Zacząłem kupować,,Seksrety". Szukałem ludzi, z którymi mógłbym o tym chociaż porozmawiać. Po pewnym czasie znów kupiłem damską odzież i założyłem skrytkę pocztową na nazwisko Dorota Maj. Dałem jej imię Dorota po pewnej aktorce, która mi się podoba. To jest zupełnie nowa dziewczyna. Bardziej doświadczona, bardziej pewna siebie, trochę lepiej ubrana. Basia była z prowincji, a Dorota jest z Warszawy. Mam w stolicy znajomych, to para gejów, u których trzymam ubrania Doroty. Poznałem ich przez,,Seksrety". Kiedy tu jestem, wpadam do nich na godzinę, dwie i chodzę w damskich ciuchach. Oni zwracają się do mnie jak do kobiety. Żadnego seksu. Robimy sobie obiad, każdy opowiada, co słychać w pracy… I tak sobie żyję.

– Czy zauważył pan, kiedy to pana nachodzi?

– Nigdy, kiedy w moim życiu dzieje się coś ważnego albo przyjemnego. Kiedy mam dużo spraw na głowie albo gdy wypoczywam na kajakach – zapominam o Dorocie. To przychodzi, kiedy opanowuje mnie taka codzienna rutyna, nuda, kiedy świat robi się szary.

W holenderskim filmie dokumentalnym *Kiedy mąż był kobietą* występują cztery takie pary jak Wojtek i Patrycja. Tylko że tam mężowie przebierają się za kobiety we własnym domu, a żony to w pełni akceptują. Para kobieta-kobieta przyjmuje gości, składa wizyty, robi zakupy na targu. Otoczenie również traktuje to ze zrozumieniem.

– Nawet wolę, gdy mąż jest kobietą – zwierza się jedna z bohaterek. – Jest wtedy spokojniejszy, milszy.

– Nasze życie seksualne bardzo na tym skorzystało - zapewnia druga.

– Bardzo się ucieszyłam, gdy zwierzył mi się, że chce włożyć moją sukienkę. Zrozumiałam, że obdarza mnie wielkim zaufaniem – wspomina trzecia.

Obejrzałam ten film z podporucznikiem na specjalnym pokazie w telewizji na Woronicza. Patrzył w ekran zmęczonym wzrokiem i nie odzywał się. Dopiero kiedy zobaczył, jak bohaterowie biorą udział w wyborach Miss Transwestytów i prezentują się na scenie w kreacjach przygotowanych przez kochające małżonki, nie wytrzymał: – Co to w ogóle jest! To u nas jest zupełnie nierealne. Gdyby moja żona dziś znalazła u mnie pończochy, nasze małżeństwo skończyłoby się w pięć minut.

– Chciałby pan, żeby Patrycja była taka jak one? - zapytałam wtedy.

Podporucznik długo się zastanawiał. Myślał całą drogę powrotną z telewizji do baru Champions.

– To jest tak – mówi wreszcie, gdy zasiedliśmy znowu przy stoliku. – Chciałbym, żeby ona to akceptowała, żebym mógł być przy niej Dorotą, ale żeby to była tylko nasza tajemnica. Źle bym się czuł jako kobieta przy kumplach, czy nie daj Boże przed moimi żołnierzami, nawet gdyby oni to akceptowali. Przenigdy nie pokazałbym się w sukience dzieciom.

Nie udało mi się dotrzeć do żadnej żony transwestyty, która by chciała opowiedzieć mi swoją historię.

Rozmawiałam za to o nich z pewnym seksuologiem. Co roku zgłaszają się do niego dwie-trzy takie panie.

Podobno typową drogę polskiej żony transwestyty pokazuje historia Joanny.

Trzydzieści dwa lata, mąż starszy o dwa, oboje z wyższym wykształceniem, dwoje dzieci – cztery i siedem. Któregoś dnia dzieci wbiegają rozbawione do kuchni: – Mamusiu, chodź, zobacz, w czym tatuś śpi.

Joanna wchodzi do pokoju. Mąż nerwowo mocuje się z zapięciem od biustonosza. Wszystko zaczyna się układać w całość. Delegacje, które, nie wiadomo dlaczego, przypadały zawsze w weekendy, i jedna dziwna noc, gdy oboje wrócili pijani z imprezy i mąż uparł się, że położy się do łóżka w jej koszuli nocnej. Wtedy wydawało jej się to zabawne. Ze zgrozą przypomina sobie, jak nazajutrz opowiadała o tym, zaśmiewając się, koleżankom z pracy.

– Czy to jest dziedziczne? – pyta roztrzęsiona doktora. Słyszy, że transwestytyzm nie jest dziedziczny, ale niestety nie daje się też go wyleczyć.

Joannie wali się świat. Nie może sobie wyobrazić dalszego pożycia z mężem. Lekarz tłumaczy, że nie jest jedyną kobietą, którą coś takiego spotkało. Kontaktuje ją z innymi żonami transwestytów. Stopniowo Joanna zaczyna się oswajać. – Tylko nigdy przy dzieciach – mówi mężowi. On nadal jeździ w swoje „delegacje”, tym razem za jej wiedzą. Po pewnym czasie kupuje mu pierwszą sukienkę.

Podporucznik podnosi się z krzesła. Za półtorej godziny ma pociąg, a musi przecież kupić magnetowid. A mnie nie daje spokoju jeszcze jedna sprawa.

– Panie poruczniku – zatrzymuję go – dlaczego nie przyjechał pan w mundurze?

Siada. Chyba czekał na to pytanie. Opiera się łokciami o stolik.

– Jestem żołnierzem, a dla żołnierza, zwłaszcza oficera, mundur to rzecz święta. Kiedy jestem w mundurze, jestem mężczyzną. Nie ma żadnej Doroty.

– To znaczy, że…

– Tak, to znaczy – znowu się rumieni. – Widzi pani, coraz rzadziej udaje mi się wyrwać z domu. Nie mogłem zmarnować tej okazji…

– Czy mogę?

– Ależ bardzo proszę.

Zaglądam pod stół, a podporucznik z pewnym zakłopotaniem unosi nieznacznie nogawkę spodni. Nad męskim, starannie wypastowanym czarnym półbutem i szarą skarpetką w romby na owłosionej łydce połyskuje biała kryształkowa pończocha.

Wszystkie jmiona są zmienione.

Korzystałam z książek: Kazimierza Imielińskiego i Stanisława Dulko *Przekleństwo Androgyne* oraz Anne Moir i Davida Jessela *Płeć mózgu*.

2001

Anna z gabinetu bajek

Zazdroszczę Ani świetnej cery, dużych oczu, gęstych kręconych włosów. Piękna jest, gdy leży na trawie w słońcu i macha wielką stopą w dziurawym bucie, zaciągając się mocnym.

Anna ma dwadzieścia trzy lata i pracuje w wesołym miasteczku na południu Polski. Sprząta ubikacje, maluje konie na karuzeli, sprawdza bilety. Tu wszyscy robią wszystko i mieszkają na zapleczu lunaparkowych budowli. Niedawno żona Aloszy, wysoka brunetka z,,zamku osobliwości", zakochała się w przystojnym Bułgarze z,,sali tortur" i oboje uciekli do Białegostoku. Ania też chce uciec, najlepiej jeszcze dalej. Ma paszport. Z Dominiką, swoją współlokatorką, planowały, że pojadą do Włoch. Dominika ma tam ciotkę, która pomoże im znaleźć pracę na czarno. Ale teraz Dominika zakochała się, też w Bułgarze, i chyba jest w ciąży, a przynajmniej tak się chwali. Więc z Włoch pewnie nici. Martwi to Anię, bo bardzo liczyła na te pieniądze.

Od paru miesięcy szef nie wypłacił nikomu ani grosza z czterystu złotych uzgodnionej pensji, ale Ania nie ma

dokąd iść – tu ma przynajmniej spanie i trzy posiłki dziennie.

Dyrekcja – najwyższy szczebel w hierarchii miasteczka – to „normalni” homoseksualiści, nie tacy jak Dzidka, która maluje się, nosi perukę, sukienkę i rzeczywiście wygląda jak kobieta.

Kiedy Ania tu przyszła, myślała, że homoseksualiści ją zrozumieją: – Szukałam w nich bratniej duszy. Ale nic z tego. Dla nich jestem po prostu gorszym rodzajem pedała.

Ania chce mnie przyjąć w lunaparku jak najlepiej. I choć jest obrażona na szefa (przedstawił mi ją:,,A to nasza pani Ania, półkobieta"), poprosiła go o klucz do cygańskiego wozu. Więc teraz leżymy wygodnie na kanapach nakrytych futrami, a nasze twarze odbijają się w sześciu kryształowych lustrach.

Ania wstydzi się mówić o sobie. Spisała swoją historię na kilkunastu kartkach i upiera się, że odczyta mi je wszystkie na głos.

Mimo że małżeństwo rodziców rozpadło się, gdy Ania miała sześć lat, tamten okres wspomina najlepiej. Po odejściu ojca zamieszkała z mamą i babcią na wsi. Ludziom na wsi nie przeszkadzało, że sześciolatek bawi się lalką i naśladuje Agnethę Faltskog z zespołu Abba. Wtedy Ania oczywiście nie nazywała się jeszcze Anią, ale nie chce powiedzieć jak: – Bawiłam się tylko z dziewczynkami, aż nadszedł taki moment, gdy dziewczynki zaczęły izolować się od chłopców i już nie chciały ze mną skakać w gumę. Chłopcy też mnie nie lubili, zresztą z wzajemnością. Byłam

antytalentem sportowym: niezdarna, leworęczna. Chodziłam inaczej niż oni, mówiłam inaczej. Nazywali mnie „dziwolągiem”.

Po podstawówce wyjechała do technikum ekonomicznego w dużym mieście i zamieszkała w internacie. Tam przeżyła pierwszą miłość.

Anka na szczęście szybko rezygnuje z kartek. Prosi tylko, bym zabrała je jako dokumentację. Chowam je do torby.

– Robert był przystojnym piętnastolatkiem z bogatej rodziny: elegancko ubrany, świetnie wychowany: „proszę, dziękuję”. Poza tym mówił niewiele, co czyniło go jeszcze bardziej interesującym – opowiada Ania. – Mieszkaliśmy w internacie w jednym pokoju. Chodziliśmy razem na wagary, ja pisałam mu wypracowania. On nie był, broń Boże, homoseksualistą. Spotykał się z dziewczynami i guzik go interesowało, co ja czuję. Wykorzystywał mnie. Wiedział, że go kocham i wszystko mu daruję. Tę miłość przeżyłam w dużej mierze w wyobraźni. Na przykład napisałam mu wypracowanie, on mówił „dziękuję”, a ja w myślach wyobrażałam sobie, że on bierze mnie w ramiona i całuje. A gdy poczęstował mnie kiedyś kanapką, przyjęłam ją jako dowód wielkiej miłości. W myślach przysięgłam: „Teraz będę cię już kochać na wieki”.

– Czy coś między wami było?

– Nigdy – Ania kręci głową. – Chociaż… Kiedyś z innymi chłopakami z pokoju poszliśmy do dyskoteki. Oni jak zwykle podrywali dziewczyny, ja stałam wściekła w kącie. Ale pod koniec wieczoru Robert upił się i wiesz, co mi

powiedział?,,Ja cię chyba kocham". Tamtej nocy spaliśmy w jednym łóżku. Zapytałam, czy mogę się do niego przytulić.

– I co?

– Pozwolił – Ania uśmiecha się rozmarzona.

Na osiemnastkę urządziła balangę na wsi. To była pierwsza prywatka w jej życiu, bo nikt jej nigdy na żadną nie zaprosił. Ale do niej przyjechało dużo osób, także Robert. Tylko że już w progu zaczął krytykować: że kiepski sprzęt, wsiowe meble. Nad ranem zażądał, by odprowadziła go na dworzec. Zostawiła gości i poleciała z nim. Mama bardzo ją za to skrzyczała.

– Wkrótce potem zdałam maturę i odeszłam z internatu. Zrozumiałam, że jeśli każdy mężczyzna, którego pokocham, ma ode mnie odejść – bo, mimo że jestem kobietą, mam ciało mężczyzny – muszę coś z tym zrobić. W życiu trzeba przecież mieć jakieś perspektywy.

Usłyszała o operacji zmiany płci. Dostała skierowanie do Gdańska, do Kliniki Urologii Akademii Medycznej, gdzie prof. Kazimierz Krajka zmienia mężczyzn w kobiety. Zdecydowała się, chociaż wiedziała, że po operacji nie będzie miała dzieci.

Lekarz, który ją kierował na operację, wspominał o prywatnej klinice, ale Ani nie było na nią stać. W Gdańsku operację pokrywało ubezpieczenie.

Zaczęły się miesiące testów, rozmów. Potem kuracja hormonalna. Sprawa sądowa poszła gładko, Ania nawet nie

musiała się na nią stawić. Dowód zmieniła przed samą operacją w 1995 roku.

Zaczęła myśleć, co będzie robić potem.

Z mamą i babcią na wsi nie mogła mieszkać. One żyją z trzystu złotych renty. W dodatku na wiadomość o planowanej operacji zareagowały histerią. Zaopiekowała się nią pani pedagog z technikum, jedyna życzliwa jej osoba z dawnej szkoły. Ania nazywała ją ciotką Danką. Zamieszkała u niej w Tczewie i dojeżdżała na badania do Gdańska.

Od razu po maturze przeszła na zasiłek dla bezrobotnych. Jednocześnie próbowała znaleźć sobie jakiś konkretny jach. Jeszcze jako małego chłopca wujek zabierał ją do prosektorium, gdzie pracował. Oswoiła się z widokiem trupów, a że w prosektorium w Tczewie właśnie szukali technika sekcyjnego, postanowiła zapisać się na kurs.

Technik sekcyjny to asystent lekarza, który kroi ciała do sekcji zwłok. Zawód wydawał się niezły: dobra prezencja nie jest potrzebna, pracy nigdy nie zabraknie, a poza tym kurs odbywał się w Gdańsku, blisko kliniki. Jedyny kłopot, że musiała wstawać o piątej rano, budząc przy tym ciotkę. Ciotkę bardzo to denerwowało. Ania czuła, że długo u niej nie pomieszka.

– Ta praca mogła mi dać sporo satysfakcji. Bardzo chciałam sobie udowodnić, że się do czegoś nadaję. Ale nic z tego. Wszystkiemu winien mój brak zdolności manualnych.

Wstaje z kanapy i ręką zaczyna rysować po ciele: – Najtrudniejsza jest głowa. Rozcinasz ją z tyłu od ucha do ucha, zdejmujesz skórę, wyjmujesz mózg i zaszywasz. Większość techników do rozcinania używa piły elektrycznej. Ja takiej piły bałam się jak ognia, więc męczyłam się ręczną, a wtedy czaszka nigdy nie utnie ci się tak równo, jak trzeba, i trudniej ją potem złożyć. Technik sekcyjny musi być plastykiem. Nacięcia nie mogą być za małe ani za duże, żeby potem blizny nie wystawały spod ubrania. Po sekcji wszystkie wnętrzności łącznie z mózgiem upychasz do brzucha.

Trzeba ładnie wymodelować, żeby nie było garbu albo wklęśnięć. Mój nieboszczyk zawsze wyglądał jakoś nieforemnie.

– Poza tym już na początku podpadłam. Pierwsze wycięte jelito odruchowo wyrzuciłam, a to było bardzo ważne jelito, które szło na badania. Od razu takie dwie baby doniosły na mnie. A ile razy nieboszczyk spadł mi na ziemię. A potem jak takiego wielkiego faceta wciągnąć z powrotem na stół? I to tak, żeby nikt nie widział.

Była ambitna, starała się. Ale dobrze nauczyć się nie było łatwo, bo wszystko robiło się w pośpiechu.

– Raz miałam okazję. Do prosektorium przyniesiono faceta, który był cały zielony. Każdy bał się go dotknąć. Ja się zgłosiłam. Wreszcie mogłam popracować sama, w skupieniu, zgodnie z podręcznikiem. Lekarz mnie pochwalił. To był najmilszy moment tego kursu. Ale potem

znowu coś schrzaniłam i wiedziałam już, że daleko w tym zawodzie nie zajdę.

Kurs dobiegł końca i właśnie zbliżał się termin mojej operacji.

Na drugim spotkaniu Ania pokazuje mi swoje mieszkanie. Jest w dobrym humorze, bo właśnie wyprowadziła się z budy, którą dzieliła z Dominiką. Dostała „pojedynkę" na tyłach „gabinetu bajek". „Gabinet" to sklecony z blachy, pomalowany w esy-floresy domek. W środku stoją szklane gabloty, a w nich, jak eksponaty muzealne, podświetlone są duże lalki – postaci z bajek: Czerwony Kapturek rozmawia z wilkiem, Kopciuszek mierzy pantofelek, grupka krasnoludków pochyla się nad trumną Królewny Śnieżki. Lalki podłączone są do prądu i leniwie kiwają głowami.

A w głębi za ścianką mieszka Ania. W jej klitce mieści się tylko wąskie łóżko, fotel i zapasowa gablota, służąca jej za regał. Nie ma okna, ale jest żarówka.

Ania opowiada o operacji:

– W klinice w Gdańsku oświadczono mi, że u nich robi się te operacje na poziomie europejskim. Przyjeżdżam, a tu ku memu przerażeniu prowadzą mnie na… oddział kobiecy. W tej klinice leczy się różne dolegliwości urologiczne. Od czasu do czasu profesor wykonuje też operację zmiany płci. Transseksualiści leżą w salach z innymi pacjentami. Pań z pokoju nikt nie uprzedził, na co będę operowana. Musiałam przedstawić się jako kobieta. Na szczęście nie zorientowały się. Problem był tylko z myciem pod damskim prysznicem. Całe szczęście, że nigdy nie miałam dużego

zarostu. Koleżanka transseksualistka, która też leżała w Gdańsku, opowiadała, że musiała się golić w nocy pod kołdrą.

Po operacji Ani pozwolono się dokładnie obejrzeć. Zniknął członek i jądra, ale w zamian pojawiło się coś, co w jej marzeniach miało wyglądać zupełnie inaczej.

Ania bierze kartkę i rysuje ołówkiem, jak wygląda jej pochwa. Cewka moczowa wystaje na zewnątrz, schowana pod fałdą skóry. Wejście do pochwy jest tak wąskie, że z trudem mieści się palec. Wargi sromowe przypominają wałki.

,,Tak krawiec kraje, jak mu materii staje" – odpowiedział chirurg na jej protesty. Radzili jej rozciągać wejście do pochwy prawidłem. Prawidłem nazywano kłębek bandażu wsunięty w prezerwatywę. Koszmarnie to bolało i nie dawało żadnych efektów. Wróciła więc do kliniki z reklamacją.

– Chyba nie ja jedna przychodziłam z podobną sprawą, bo nikt się nie zdziwił. Przełożona pielęgniarek na mój widok przewróciła oczami. „Ostatnio ciągle mamy kłopoty z paniami” – burknęła.

Pomyślałam, że tutaj mi wiele nie pomogą.

Anna wróciła do ciotki Danki do Tczewa.

Zaczęła szukać pracy. Mogła się już przedstawiać jako kobieta, ale figurę miała nadal męską. Kuracja hormonalna niewiele dała. Piersi ani drgnęły, biodra zostały wąskie, głos nadal był ni to męski, ni kobiecy. Ogólnego wrażenia nie

poprawiały dziurawe buty i obgryzione paznokcie. Tylko twarz zrobiła się delikatniejsza.

Próbowała w sklepach, barach, pensjonatach. – Scenariusz z reguły był podobny. Rozmawiam z kierowniczką, wydaje się zainteresowana. Zaczynamy już niemal ustalać warunki, a dookoła krążą inni pracownicy. Podchodzą coraz bliżej, otaczają mnie, przyglądają się. Kierowniczka coraz baczniej się we mnie wpatruje. Przeprasza, odchodzi z tamtymi na bok. Coś szepczą. Wreszcie mówi zakłopotana: „Chyba jednak na razie nie potrzebujemy nikogo”.

W końcu ciotka powiedziała: „Przykro mi, ale dłużej nie mogę cię utrzymywać”.

W schronisku dla bezdomnych kazali Ani pokazać dowód. Okazało się, że jest zameldowana na wsi. Co to za tłumaczenie, że nie może wrócić do matki.,,Nic nie poradzę. Ma pani meldunek, nie kwalifikuje się pani".

Wysiadła na dworcu głównym w Gdańsku. Na peronie na ławce siedział podpity mężczyzna. Podeszła i powiedziała:,,Dam panu czterdzieści groszy za papierosa".

– Wyjął całą paczkę. Zapaliliśmy. Powiedział:,,Jak chcesz, możesz pójść ze mną". Po sześciu godzinach na dworcu było mi już wszystko jedno. Byle położyć się gdzieś spać. W domu dał mi jeść. Dostałam też oddzielne łóżko i pomyślałam, że bardzo mi się poszczęściło.

– Tadek był czterdziestoletnim facetem przegranym życiowo: z garbem, lekko niedorozwinięty umysłowo. Miał mieszkanie w starej kamienicy – duże i ładne, tylko że bez

prądu i gazu, bo nie płacił rachunków. Pracował na targu we Wrzeszczu. Sprzedawał graty znalezione w śmietnikach. Ten człowiek był jeszcze większym nieudacznikiem niż ja i to mnie dowartościowywało. Bałam się tylko, by nie dowiedział się, że byłam mężczyzną. Kto wie, jak by to przyjął.

Mieszkali razem dwa miesiące.

– Któregoś wieczora Tadek wrócił pijany i próbował mnie zgwałcić. A ja po operacji w ogóle nie mogę się kochać. Tadek nie wiedział, co się dzieje. Wpadł we wściekłość. Uderzył mnie. Zrozumiałam, że trzeba się zbierać.

Pod Gdańskiem stacjonował lunapark. Znajomy powiedział jej, że tam można się przytulić.

– Dostałam klitkę w blaszanej budzie, podobnej do tej, i od rana do wieczora sprzątałam, myłam, malowałam. Zaprzyjaźniłam się z chłopakiem, który właśnie wyszedł z więzienia – on mi się zwierzył ze swoich problemów, ja mu opowiedziałam o operacji. A na drugi dzień całe wesołe miasteczko wytykało mnie palcami.

Przy karuzeli poznała nauczyciela wf., który obiecał jej pomóc. Powiedział, że znajdzie jej pracę.

– Wuefista bardzo ubolewał nad tym, że nie mam piersi. Kazał mi ćwiczyć na przyrządach w jego mieszkaniu… Nie, o tym nie chcę mówić. To był zboczeniec.

Z lunaparku wyciągnął mnie ostatecznie Rychu. Miał etat na złomowisku. Chciał ze mną rozpocząć nowe życie. Boże, jak ja się starałam, żeby nam się udał ten pierwszy stosunek. Przez pół godziny przed rozciągałam sobie

pochwę. No i prawie się udało. Ten jedyny raz. Nieważne, że bolało.

Zamieszkałam z Rychem, jego matką i bratem. Nikt nic nie podejrzewał. Rychu mówił, że mnie kocha i chce mieć ze mną dzieci. Ale następne stosunki nam nie wychodziły i zrobił się wobec mnie chamski. Chciał się mnie pozbyć.

– Jak to możliwe, że żaden z tych mężczyzn nie podejrzewał, że zmieniłaś płeć? – pytam.

– Byli prymitywni. Nigdy nie słyszeli o transseksualizmie, o takich operacjach. Widzieli, że jestem inaczej zbudowana, ale uznawali, że mam po prostu jakiś defekt. Co w tym dziwnego? Każdy z nich miał jakiś defekt.

Dzisiaj Ania jest w złym humorze. Mimo że zamiast trzewików z odwiniętą podeszwą ma na nogach całkiem ładne adidasy. Okazuje się, że znowu pokłóciła się z szefem.

– Wczoraj było u nas święto – opowiada z przekąsem. – Szef po czterech miesiącach niepłacenia łaskawie dał każdemu po dziesięć złotych zaliczki.

Wyobrażasz sobie?! Wszyscy pojechali do miasta i się upili.

Ja nie pojechałam. Rano idę do szefa i mówię, że potrzebuję więcej niż dziesięć złotych. Muszę sobie kupić buty, bo mi podeszwa odpada. A on na to,,weź te" i dał mi swoje stare adidasy. A pani Fela z kasy jeszcze mnie ochrzaniła, że jestem niewdzięczna, bo szef taki dobry, a ja się awanturuję. Wiesz? Wkurza mnie to miejsce. Chodźmy stąd.

Idziemy na łąki za wesołym miasteczkiem. Świeci słońce. Ania kładzie się na trawie i zapala mocnego:

– Dzisiaj opowiem ci o mojej karierze w agencji towarzyskiej.

Były raz dwie koleżanki: Ewa i Pelagia. Ewa założyła u siebie w mieszkaniu agencję towarzyską. Zatrudniła tylko jedną dziewczynę, za to bardzo ładną

– Monikę. Monika miała u niej jak u Pana Boga za piecem: duży, jasny pokój, wyżywienie i dwa dni wolne w tygodniu. Interes się kręcił. Ewa szybko dorobiła się magnetowidu, a Monika telefonu komórkowego.

Pelagia z konkubentem Januszem mieszkała w dwóch pokojach w bloku. Sukces Ewy bardzo obojgu zaimponował. Też dali ogłoszenie do gazety. Zgłosiło się kilka dziewcząt, ale żadna nie zgadzała się na ich warunki: skromny pokoik za sto złotych miesięcznie, podział zysków na pół, wyżywienie we własnym zakresie i całodobowa dyspozycyjność przez siedem dni w tygodniu. Były ładne i za swój grzech chciały choć trochę luksusu.

Wreszcie zadzwoniła Ania.

– Wiem, o czym myślisz – uprzedza moje pytanie - co to za prostytutka, która nie może się kochać. Ale ja miałam nóż na gardle. Ostatecznie z Rychem raz wyszło… Zresztą to miało być tylko na chwilę, żeby jakoś przetrwać zimę.

Pelagia i Janusz nie zadawali wiele pytań, tylko ile ma lat i czy wie, na czym polega ta praca. Zgodziła się na wszystkie warunki, oni w zamian nie oglądali jej dokładnie. Nie miała odpowiedniego ubrania, więc Janusz przyniósł

ubranie swojej trzynastoletniej córki. Ubrali Anię w białą bluzkę i czarną kusą sukienkę, jaką noszą uczennice. Zrobili makijaż. Miała siedzieć w pokoju dzień i noc i czekać, aż zadzwoni klient.

– Telefon dzwonił dość często. Odbierała zawsze Pelagia. Mężczyźni chyba pytali o rozmiar mojego biustu, bo Pelagia często mówiła do słuchawki „trójka”. A ja, słysząc to, kuliłam się ze strachu na łóżku i modliłam, żeby nikt nie przyszedł i nie zobaczył tej mojej „trójki”.

Na szczęście przez kilka dni żaden klient się nie zdecydował. Kłopot miałam jednak z jedzeniem, bo umawialiśmy się, że żywię się sama, a ja nie miałam ani grosza. Ale opiekunowie okazali się wyrozumiali, dzielili się ze mną kaszanką.

Już drugiego dnia przyleciała mnie obejrzeć Ewa. Uśmiała się:,,No, za ładna to ona nie jest – powiedziała do Pelagii. – Nieraz wam pocałuje klamkę z drugiej strony".

Pierwszy klient zadzwonił o drugiej w nocy. Obudzili ją: „Ubieraj się. Jedziesz do pracy”.

– To był bogaty Polak, który wrócił ze Stanów. Już w progu wypalił:,,Ty chyba jesteś trans!". Spociłam się ze strachu, ale jakoś wybrnęłam. Udawałam taką głupią, że machnął ręką: „Chyba nawet nie wiesz, co to znaczy”.

Ten człowiek zapłacił za dwie godziny. Bardzo się męczyliśmy… Liczyłam, że zwolni mnie przed czasem, ale skąd. „Zostaniesz do końca” – zapowiedział. Był pijany i chyba dlatego zbyt dokładnie mnie nie oglądał.

Nad ranem do Pelagii zadzwonił kolejny telefon. Dwóch nastolatków chciało dziewczyn. Pelagia wpadła w panikę: co robić? Przyjęła zgłoszenie i zadzwoniła do Ewy. Ta przywiozła Monikę.

– Boże, jak ja zobaczyłam tę Monikę. Wielki biust, okrągłe pośladki, siatkowe rajstopy. A ja przy niej taki kopciuch. Janusz zawiózł nas obie swoją taksówką.

Chłopcy mieli wolną chatę. Duże mieszkanie, dobry sprzęt, drogie meble. Wciągali szklaną rurką do nosa biały proszek. Od razu rzucili się na Monikę. Na mnie w ogóle nie zwracali uwagi. Tylko jeden zawiesił na mnie wzrok i zapytał:,,A ty nie jesteś czasem chłopakiem?" Zdrętwiałam, a Monika wybuchła śmiechem:,,Coś mi się zdaje, że będę musiała sama was obsłużyć" – powiedziała, wdzięcząc się. Suka. Liczyła, że zgarnie podwójną kasę.

Ania zadzwoniła po Janusza, a w domu od razu zaczęła się pakować.

– Nie było sensu tego ciągnąć. Prędzej czy później by mnie zdemaskowano. Było jasne, że do tego też się nie nadaję.

Rozliczyli się z nią uczciwie. Sto złotych z dwustu zarobionych u „Amerykanina”, minus kaszanka i trzy noclegi. Zostało siedemdziesiąt złotych. Starczyło na powrót do wesołego miasteczka.

Marzenia Ani są konkretne: chce mieć schowaną cewkę moczową i większe wejście do pochwy.

– O orgazmie to już nawet nie marzę. Nie można wymagać za wiele – mówi. – Ale chciałabym mieć piersi. To

by mi dało poczucie, że jestem naprawdę kobietą. Czytałam zwierzenia kobiet, którym usunięto biust. Czują się okaleczone, zakładają fandacje. Ludzie im współczują, płacą, żeby im pomóc. A ja?

Przez tę nieudaną operację nie mogę znaleźć porządnej pracy. Nie stać mnie na pigułki hormonalne, które powinnam systematycznie zażywać, na profesjonalne prawidła, na protezę biustu. Zostałam okaleczona. Nie jestem ani kobietą, ani mężczyzną, tylko ciągle dziwolągiem. Nawet w tym lunaparku wszyscy patrzą na mnie spode łba!

Dopiero po paru spotkaniach z Anią przypadkiem wyciągnęłam z torby zapomniane kartki ze spisanym przez nią życiorysem. Ale z czytania nic nie wyszło. Na kartkach nie było normalnych liter, tylko dziwne znaczki. Po chwili zorientowałam się, że mam przed sobą pismo lustrzane. Można je czytać w lustrze albo pod światło to, co jest napisane na drugiej stronie. Przypomniałam sobie, jak płynnie czytała ten rękopis Ania.

Ania mówi, że zawsze pisała w negatywie. Uważa, że dla niej jako dla mańkuta jest to naturalne. Normalne pisanie sprawia jej dużo trudu. Ostatni raz robiła to w szkole.

Opowiedziałam o tym przypadku pismoznawcy – profesorowi Tadeuszowi Widle z Katedry Kryminalistyki na Uniwersytecie Śląskim. Profesor interesuje się szczególnie sprawą odzwierciedlenia płci w piśmie ludzkim.

– Właśnie to, że osoba leworęczna pisze lewą ręką pismem lustrzanym nie jest naturalne – zdziwił się. –

Z pismem lustrzanym zetknąłem się dotąd wyłącznie u ludzi, którzy próbowali pisać nie tą ręką, którą zwykle pisali. Słyszałem tylko o jednym człowieku, który pisał pismem lustrzanym, używając właściwej sobie ręki. To był Leonardo da Vinci, również mańkut. Przyjęło się uważać, że da Vinci posługiwał się tym pismem z zamiarem zaszyfrowania swoich prac, ale nie ma na to dowodu. Nie zachowały się żadne jego rękopisy w pozytywie. On, podobnie jak pani Ania, miał problemy z identyfikacją płciową. Może to przypadek…

Imiona większości postaci zostały zmienione.

1998

ROZMOWA

Z PROFESOREM KAZIMIERZEM KRAJKĄ, KIEROWNIKIEM KLINIKI UROLOGII AKADEMII MEDYCZNEJ W GDAŃSKU

Znam transseksualistki, które po operacji w Pańskiej klinice czują się oszukane. Wyrzekły się możliwości posiadania dzieci, a w zamian nie mogą nawet prowadzić normalnego życia seksualnego. Wstydzą się swojego wyglądu.

Szczerze mówiąc, w ogóle takimi opiniami się nie przejmuję. Zmiany płci to margines mojej działalności. Zawsze mam problemy, by na to znaleźć czas. W klinice mam trzydzieści osiem łóżek. Na zabiegi urologiczne ustawiają się miesięczne kolejki. Transseksualiści blokują łóżka innym chorym. Operuję ich więc metodą jednoetapową, a podczas jednego etapu nie można

wytworzyć idealnie wszystkiego, czego by się oczekiwało. Poza tym zabieg chirurgiczny to tylko jeden z elementów zmiany płci. O pigułki hormonalne, protezy piersi pacjentka musi już zadbać sama.

Od 1991 roku zmienił Pan płeć kilkudziesięciu mężczyznom. Ile operacji się nie udało?

Około dziesięciu-piętnastu procent pacjentów przychodziło z reklamacją. Ale trudno mi uznać, że były to wszystko operacje nieudane. Pacjenci mają czasem wygórowane oczekiwania. Jeżeli transseksualny mężczyzna wyobraża sobie, że po operacji będzie wyglądał jak normalna kobieta, to się myli. Wiele zależy od warunków anatomicznych: od długości penisa, z którego się wytwarza pochwę, od ułożenia kości miednicy. Mężczyzna ma mięśnie, których nie ma kobieta, ma gruczoł krokowy. Między nimi czasem z trudnością mieszczą się dwa palce i nie ma jak wytworzyć kanału dla przyszłej pochwy. Niezadowolona pacjentka powinna jednak do nas wrócić. Czasem można coś poprawić. Wiele też zależy od ćwiczenia pochwy po operacji, od regularnego stosowania prawideł.

Gdzie radziłby Pan operować się mężczyznom marzącym o wyglądzie transseksualistki Dany, która wygrała kiedyś konkurs Eurowizji?

Na Zachodzie są ośrodki, które traktują proces zmiany płci kompleksowo: kilka etapów chirurgicznych, konstrukcja piersi, operacja grdyki, wstrzykiwanie kolagenu w usta. Do najsłynniejszych należy klinika profesora Meyera w Lozannie. Ale to kosztuje. Wiem, że na

przykład w USA za cały cykl trzeba zapłacić co najmniej dwadzieścia tysięcy dolarów.

Dlaczego Pan wykonuje te operacje?

Chcę pomóc tym ludziom, bo na dobrą sprawę nie mają się dokąd udać. Trafiały do mnie pacjentki operowane w innych klinikach: pamiętam osiem, które w ogóle nie miały pochwy. Wytwarzałem im ją z jelita. Nie zawsze się udawało.

Staram się udoskonalać swoją metodę. Jak coś się dzieje ciekawego na świecie w tej dziedzinie, zaraz jadę, słucham, czytam. Dzisiaj już inaczej operuję niż parę lat temu. Ostatnio nauczyłem się nawet wytwarzać z męskiej żołędzi namiastkę łechtaczki. Najgorzej wychodzą mi wargi sromowe. Ale i tak jestem przekonany, że robię to najlepiej w Polsce.

1998

I proszę cię, syneczku, nie myl mnie z tatą

Główne osoby:

EMILIA, dawniej Emil;

MARYSIA, była żona Emila (dzisiaj Emilii);

PATRYK, syn Marysi i Emila (Emilii);

FELIKS, dawniej Felicja;

EDWARD, mąż Felicji (dzisiaj Feliksa);

STAŚ, syn Felicji (Feliksa) i Edwarda.

Marysia wydoiła krowę, odstawiła wiadro do sieni, zasapała się. Od czasu kiedy bierze silniejsze leki, bardzo utyła.

W podwórzu przy studni bratowe Marysi palą papierosy, a ich dzieci bawią się pod orzechem. Patryk siedzi na progu i rysuje patykiem po ziemi.

– Dobrze, pojadę, ale bez dziecka – mówi do mnie Marysia. – I z podwórza skręcimy niby do kościoła, żeby rodzice się nie domyślili.

– Nie chcesz pojechać z nami? – pytam Patryka.

Chłopiec chowa twarz w dłoniach.

Marysia wciąga białą spódnicę na gumce, zapina na wierzchu zieloną koszulę w żółte kółka.

Gdy wychodzimy z domu, zaczepia mnie jej ojciec: – Ja wiem, że pani ją zabiera tam – szepcze. – Niech pani uważa. Jak się zdenerwuje, może dostać ataku.

MARYSIA KOCHAŁA EMILIĘ

Długa czarna spódnica z rozcięciem z boku, koronkowa bluzeczka z dużym dekoltem. Zza dekoltu zalotnie wystaje beżowe ramiączko – Emilia przegląda się z zadowoleniem w lustrze, rude loki przewiązuje apaszką. Rzęsy wyszczotkowała trzy razy czarną mascarą, tipsy pomalowała na czerwono.

Wchodzimy z Marysią do domu Emilii.

– Dobrze się czujesz? – upewniam się.

– Co ma być, to będzie.

– No witaj, witaj – Emilia spogląda z góry na dużo niższą Marysię, przykuca, całuje trzy razy w czerwone policzki. – Poznaj Feliksa.

Z fotela wstaje krępy brunet.

– Wnuk – przedstawia się i składa na dłoni Marysi głośny cmok.

Siadamy przy stole. Emilia i Marysia w jednym rzędzie, oddzielone krzesłem, ja naprzeciwko. Mówią do siebie, ale patrzą na mnie.

– Dlaczego nie przywiozłaś Patryczka? – pyta Emilia.

– On się ciebie boi. Po ostatnim razie trząsł się trzy dni.

– Bo twoi rodzice go straszą, że go porwę.

– Rodzice boją się i o mnie. Pogorszyło mi się, od kiedy odszedłeś. To znaczy odeszłaś.

– A to niby dlaczego?

– Jak to dlaczego! – Marysia przenosi wzrok na Emilię. – Bo byłam w tobie zakochana.

Emilia unosi z niedowierzaniem wyskubaną brew.

– Dlaczego kazałaś mnie tu przywieźć? – rozkręca się Marysia. – Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, to dlaczego sama nie przyjedziesz, rano, jak Patryczek jest w szkole?

Emilia bierze się pod boki: – A nie pamiętasz, jak twój brat mnie ostatnio powitał?,,Ty pedale, jaja sobie dałeś uciąć, to ja ci teraz łeb utnę". Ja nie mam zamiaru zostać kaleką do końca życia.

Emil ma siedem lat i idzie do pierwszej komunii. Siedzi w majtkach przed lustrem i ryczy.

– Ja nie pójdę w garniturku. Ja chcę sukienkę!

– Co ty wymyślasz? Chłopcy nie chodzą w sukienkach – tłumaczy matka.

– Ja chcę sukienkę, ja chcę wianuszek!

– Ale tobie jest ładnie w garniturku.

Emil urodził się z wadą serca. Kiedy miał pięć lat, przeszedł skomplikowaną operację. Lekarze ostrzegają: chłopiec jest bardzo delikatny.

– Jak ładnie mu w sukience ministranta – zachwycają się ludzie we wsi. – Samo uduchowienie i niewinność. Będzie księdzem!

– Nie będę budował karmnika – tupie nogą Emil w szkole na zetpetach. – Jeśli wolisz szydełkować z dziewczynkami…

– odpowiada nauczycielka. – Chętnie – mówi Emil. Z zetpetów ma piątkę.

– To moja Zosia samosia – lubi żartować przy gościach mama Emila, Danuta. Pociecha z niego. Emilek ciasto upiecze, do stołu nakryje, pozmywa.

– Mamo, mamo! A Emil znowu wyciągnął z szuflady twoje korale i przed lustrem stroił głupie miny – skarży siostra.

– Niełądnie, Emilku – karci Danuta.

– To wszystko z tego, że jest taki delikatny – mówi do męża.

– Wyrośnie – macha ręką ojciec.

W telewizji pokazali raz program o dramacie kobiety, której syn zmienił płeć. – Może i w waszej rodzinie jest transseksualista – powiedział prowadzący program. – Można to sprawdzić. Kupcie synowi jakąś typowo męską zabawkę i obserwujcie.

Danuta kupiła Emilowi zestaw Mały Majsterkowicz. Nawet nie otworzył. Od tej pory wie.

Emil pierwszy raz próbował popełnić samobójstwo, gdy miał siedem lat. Było to w czasie białego tygodnia, kiedy codziennie rodzice siłą ciągnęli go przez wieś do kościoła w garniturze. Wypił środek na wszy, ale nie podziałało.

FELIKS ZAKŁADA WIANEK

W podstawówce Felicja miała klasę super. Na przerwie szło się z chłopakami do ubikacji na papieroska, po lekcjach grało w nogę. Jak któremuś się chciało sikać, odlewał się przy bramce.

– Co ty, przecież dziewczyna widzi – zdziwił się kiedyś jakiś nowy.

– Fela to swój chłop – mówili koledzy.

Kiedy trzeba było pomalować ławki, nauczyciele wyznaczyli chłopców plus Felę. Kiedy w wypracowaniu o wakacjach Fela napisała „poszłem”, nauczycielka poprawiła na „poszedłem”. Tylko w domu zero zrozumienia. Na pierwszą komunię mama zapakowała wyjącą Felicję w długą sukienkę z mnóstwem falbanek i wsadziła na głowę wianek ze stokrotek. W kościele dziewczynka nie myślała o sakramencie, tylko o tym, żeby jak najszybciej pozbyć się kiecki.

Czasem, żeby nie słuchać gderania matki, ubierała się w domu w sukienkę, a zaufana koleżanka nosiła jej w tornistrze spodnie. Przebierała się w szatni przed lekcjami.

– Nie jestem sobą, mamo – mówiła czasem.

– A weź ty się lepiej stuknij w łeb.

Teresa Czarnecka rozwiodła się z Pawłem Wnukiem, kiedy ich córka Felicja miała niespełna rok. Mieszkali na Wybrzeżu. Paweł był rybakiem, drugi mąż Teresy, Henryk, również. Ojczym zgodził się zaopiekować tylko starszą siostrą Felicji, Grażyną. Fela wychowywała się kilka ulic dalej, u babci.

W siódmej klasie każdy chłopak miał dziewczynę i Fela też. Z Beatą chodziły za rękę do kina, na dyskotekę. Fela chowała obfity biust pod dżinsową kamizelką, włosy obcinała po męsku. Przedstawiała się: Feliks. Obcy ludzie

brali ją za chłopaka. Fela uwiodła Beatę, gdy miały po trzynaście lat. Potem Grażyna nakryła je, jak się całowały, i naskarżyła babci.

– Czy tobie, dziewucho, całkiem się we łbie przewróciło? – babcia prześwięciła Felę szmatą.

– Ja nie jestem dziewczyną.

– A kim na Boga?

– Chyba diabłem w cudzym ciele.

EMIL UWODZI LESZKA

Kiedy Emil miał dziewiętnaście lat, zaprzyjaźnił się ze Stefanem. Razem opuścili rodzinną wieś i wyjechali pod Warszawę. Znaleźli pracę w lodziarni w Pruszkowie.

,,W Pruszkowie ubierałam się tak: kamizelka, koszula biała, spodnie beżowe, zaprasowane w kancik – wspomina Emilia. – Perfum używałam kobiecych – Roxane. Kupiłam sobie też czarny kreszowy płaszcz i czarny kapelusz, taki hiszpański z wielkim rondem".

Ale nawet szałowy kapelusz nie zmiękczył serca Stefana.

– Słuchaj, Stefan, chciałbym zmienić płeć. Ty mi się podobasz, chciałbym być kobietą dla ciebie – zwierzył mu się Emil.

– Wariat! Wariat! On chce być babą! – zareagował Stefan.

Na zapleczu lodziarni zamieszkała z nimi nowa pracownica, Kryśka, którą odwiedzał jej chłopak, zomowiec Leszek. Stefan przystawiał się do Kryśki, Emil postanowił się zemścić. Na imieninach Stefana Emil zaczął się dobierać do Leszka.

„Piwko, piwko, winko, winko i doprowadziłam do stosunku!” – opowiada mi z dumą Emilia.

– Ty trochę zdziewiczałeś – powiedział oszołomiony zomowiec, kiedy wytrzeźwiał.

– Nie zdziewiczałem. Ja chcę zmienić płeć – powiedział poważnie Emil.

Jakiś czas później Emil znów wylądował w łóżku z Leszkiem, kiedy nagle w drzwiach pokoju stanęli Kryśka i Stefan.

– Pedał – fuknęła na Emila Kryśka i zabrała narzeczonego.

– Pojeb – rzucił Stefan i wyszli razem.

„Wtedy ja za żyletkę i ciach, ciach – mówi Emilia. – Straciłam przytomność. Ocucił mnie Stefan strzelający mnie po buzi”.

– Dlaczego nie umiecie mnie zrozumieć! – płakał Emil, kiedy owijali mu rękę bandażem.

– Jak ty chodzisz? – dokuczał Emilowi Stefan.

– No co, jak chodzę. Normalnie chodzę.

– Nie, chodzisz jak baba.

– Panie Emilu złoty, błagam, niech pan zmieni te perfumy, bo klienci się śmieją – prosiła właścicielka lodziarni.

Zdjęcie z pogrzebu dziadka Emila. Wszyscy mężczyźni z odkrytymi głowami. Wśród nich jeden najwyższy w długim czarnym płaszczu i wielkim czarnym kapeluszu.

– Co to wystaje spod kapelusza? Wąsy? Nosiłaś wąsy, Emilio? – pytam.

– Tak. Ze strachu.

MARYSIA POZNAJE EMILA

Marysia urodziła się we wsi na Podlasiu, pięć kilometrów od domu rodziców Emila. Od dziecka chorowała na padaczkę. Skończyła szkołę gastronomiczną, ale z pracą miała kłopoty. Dwa razy ją złapał atak, kiedy niosła tacę w stołówce szkolnej.

– Tobie nie do roboty, tylko za mąż – zdecydowała matka Marysi. Tylko jak tu wydać ułomną dziewczynę. Znalazł się jeden kandydat, ale kiedy Marysią podczas wspólnych zakupów w supermarkecie zaczęło nagle rzucać po podłodze, gdzieś się zawieruszył.

W każdą sobotę matka wypycha Marysię na potańcówkę do remizy.

– Nie chcę, nie mogę. Wolę na mszę świętą pójść – broni się Marysia.

– Na starość w kościele ławki wycierać będziesz. Idź! – każe matka. I dziewczyna idzie.

Pewnej soboty poprosił ją do tańca wysoki, przystojny chłopak. Miał rude włosy, wielkie niebieskie oczy. Mówili o nim, że przyjechał z Warszawy. Chciał się umówić.

– Słuchaj, ale ja ci od razu muszę coś powiedzieć. Mam epilepsję.

– Ja też nie jestem zdrów – odpowiedział. – Mam chore serce.

– Podobała ci się Marysia? – pytam Emilię.

– Tu nie chodziło o podobanie. Myślałam: ożenię się, to może mi się odmieni. Stefan ożenił się z Krysią, Leszek

związał się z właścicielką lodziarni. Zostałam sama, zaszczuta, wyśmiewana.

– Ale dlaczego właśnie Marysia?

– Czy ja wiem? – Emilia przewraca oczami. – Taka czarnulka w lokach. Umiała się uczesać, to muszę uczciwie przyznać. Siedziała sama w kącie, nie tańczyła. Przyglądałam jej się, zastanawiałam, dlaczego ona taka smutna. Coś nas do siebie popchnęło. Ja sercowiec, ona z padaczką, to się zrozumiemy – pomyślałam.

FELIKS ZACHODZI W CIĄŻĘ

Po skończeniu szkoły podstawowej Fela zaczęła pracować w kiosku Ruchu. W tej samej dzielnicy, co ona, mieszkał Edward Biały, rozwodnik. Był starszy od Feli o piętnaście lat i opowiadał, że jest trenerem siatkówki.

– Poznaliśmy się na jakiejś imprezie – mówi Feliks.

– Ja wychodzę, on za mną. Mówi, że mnie odprowadzi.

– Trafię sama.

– Ale ja i tak w tę samą stronę.

Pod blokiem zaczął się do niej dobierać.

– Weź się odwal – prychnęła Fela.

– A ty co, jesteś bi? – spytał Edek.

– Bi czy sri, żadne damsko-męskie układy nie wchodzą w grę.

Na drugi dzień Fela wraca z pracy do domu, a w kuchni – Edek. Siedzi przy stole, a babcia nalewa mu zupę.

– A ty co tu robisz?

– Czekam na ciebie.

– Na mnie? To jakiś bezsens. Spływaj.

– Felicja! – babcia ostrzegawczo podniosła palec.

– Zostaw go.

– Już mnie swatała – mówi z goryczą Feliks. – Zjadł zupę, wypił herbatę. Ja poszłem do łazienki kran reperować. Odtąd przychodził i przychodził. Na imieniny mnie jakieś kiedyś wyciągnął. Tam, wiadomo, kilka głębszych i stało się. Zaszłem w ciążę.

Babcia Feli była wniebowzięta: – Prawnuka się doczekam i ludziom gęby się zamknie.

– Wychowam to dziecko, ale sama – zarzekała się Fela.

– To już się lepiej ożeńcie – naciskała babcia.

Mama z ojczymem wyprawili im wesele w domu. Mimo ciąży Fela nadal chodziła w spodniach. Na początku mąż był dla niej dobry, troskliwy. Ale pewnego dnia poszli razem do sklepu, a ekspedientka do nich:

– Słucham panów.

– Wróciliśmy do domu i mnie pobił – mówi Feliks.

– Powiedział, że jak do mnie już „proszę pana” mówią, niedługo do niego „proszę pani” zaczną. Tak mnie pobił, że chodzić nie mogłem, ale dziecko się utrzymało. Potem się wyprowadził i w ogóle znikł. Odwidziało się, skurkowanemu!

EMIL SZUKA MĘŻCZYZNY I ZAMAWIA WELON

Emil wrócił na parę tygodni do Pruszkowa, żeby zakończyć sprawy z lodziarnią. W kościele parafialnym Marysi przez trzy kolejne niedziele szły zapowiedzi, a on co wieczór jeździł WKD do Warszawy na Dworzec Centralny i snuł się po podziemnym miasteczku.

– Ja chcę faceta! Nie chcę kobiety! – krzyczało w Emilu. Prosił Boga, żeby mu pomógł znaleźć mężczyznę.

Siedział w barze nad papierowym talerzykiem z frytkami. Ze stolika naprzeciwko patrzył na niego jakiś mężczyzna. W ręku obracał żonkila.

– Mrowiałam z nerwów, bałam się strasznie, ale z drugiej strony czułam takie ciepło w sercu – mówi Emilia.

– Mężczyzna wstał. Przechodząc koło Emila, położył mu przy frytkach żonkila. Znikł za drzwiami ubikacji.

Emil siedział nad żonkilem czerwony. Serce mu biło, jakby miało wyskoczyć. Uciekł.

Na drugi dzień wrócił na dworzec, ale właściciela żonkila już nie spotkał. Ani nikogo podobnego.

W jednej z gazet znalazł anons homoseksualisty. Napisał, tamten odpisał, umówili się wstępnie, ale tamtemu pasowało spotkanie tylko w Słupsku, i to dopiero za dwa tygodnie, a za tydzień Emil się żenił.

W tym czasie w domu Marysia przymierzała welon, piękny, pięciostopniowy, do samej ziemi i jeszcze się ciągnął. Najpierw kupiła zwykły, krótki, ale narzeczony powiedział:,,O nie, w takim welonie nie pójdziesz. Jedziemy do Warszawy szyć porządny welon".

Sam narysował krawcowej projekt welonu. Wszyscy we wsi zazdroszczą Marysi narzeczonego.

– Takiego męża, który żonę nie tylko rozebrać, ale i ubrać potrafi, to tylko po rękach całować – pochwaliła matka.

FELA ZOSTAJE OJCEM

Kiedy Edek pobił Felę, ta była w czwartym miesiącu. Trafiła do szpitala, gdzie została do porodu.

– Któregoś dnia czytam gazetę, a tu nagle czuję, coś ze mnie wypływa. „Siostro, rodzę!” – krzyknąłem. Za chwilę patrzę, a tu mi między nogami wychodzi kawałek główki. Ciągnę, ale nie daję rady. Przyszedł lekarz i pomógł. Nic nie bolało. Obok mnie rodziła kobieta i darła się jak opętana. „Czego ta baba tak się drze” – dziwiłem się.

Staś Biały urodził się w terminie, miał cztery i pół kilograma i mierzył pięćdziesiąt siedem centymetrów. Dostał dziesięć punktów w skali APGAR.

– Wziąłem go na ręce. „Fajny bobas, krzykacz” – pomyślałem. Przytuliłem. Poczułem się ojcem. Leżałem z nim na jednej sali. Z butelki karmiłem, bo nie było pokarmu. Nie było pokarmu – podkreśla Feliks.

EMIL ZOSTAJE MATKĄ

Tego, że Marysia jest w ciąży, Emil domyślił się sam. To on prowadził kalendarzyk małżeński. Nie było wątpliwości, dziecko musiało się począć 1 lipca, w urodziny Emila. Kiedy do końca lipca nie pojawiła się miesiączka, zawiózł Marysię do ginekologa. Lekarz potwierdził.

Emil poczuł się matką. Dotykał brzucha Marysi, zazdrościł jej, gdy wychodziła wymiotować. Był przy każdej wizycie u ginekologa. Urodził się Patryk, zdrowy, rumiany.

– To ja go kąpałam, usypiałam, przystawiałam w nocy do piersi Maryśki, obmywałam jej piersi, prałam pieluchy – mówi Emilia.

Wkrótce między małżonkami przestało się układać.

– Maria to osoba bez zainteresowań. Ja chodziłam do pracy w pizzerii, ona siedziała w domu i narzekała, że jej nudno. Oddałyśmy więc dziecko do żłobka, a ona zaczęła pracować jako sprzątaczka w szkole. Ale w rezultacie ja musiałam chodzić i sprzątać za nią, bo jak ona sprzątała, dyrektorka zawsze miała pretensję. Dwie lewe ręce!

– Ciągłe awantury – wspomina Marysia. – Mąż przestał się ze mną liczyć. Noce spędzał poza domem. Wróciłam do rodziców.

– Nie zauważyłaś nigdy, że Emil nie jest normalnym mężczyzną? – pytam.

– Wąsy miał – odpowiada po chwili zastanowienia. – Tylko to współżycie nie było takie, jak powinno być. Ja nie miałam tej przyjemności, co to podobno kobiety mają. A on jakby się zmuszał, jakby to robił dla mnie.

– Teściowie przyjechali i zabrali mi żonę! – skarży się Emilia. – Zostawili mnie samą z dzieckiem. W końcu namówili Marię – bo ta nigdy swojego zdania nie miała – żeby mi odebrać Patryczka.

Emil wniósł sprawę o rozwód i o przyznanie mu opieki nad dzieckiem. Argument: syn nie może być z matką, bo ona jest chora.

Sąd orzekł rozwód, ale opiekę nad chłopcem przyznał Marysi.

Emil poszedł do prokuratury się wyżalić. Prokurator wzruszyła ramionami: „Mężczyznom nie przyznaje się praw do dziecka”.

– Chodziłam do kościoła, modliłam się, pytałam Boga, co mam zrobić. Usłyszałam: „Zmień płeć”.

FELA ROZSTAJE SIĘ Z MĘŻEM

Fela wróciła z dzieckiem do babci. Rozcieńczała wodą mleko od krowy i karmiła nim małego. Chłopak rósł zdrowo.

Złożyła pozew o rozwód. Wkrótce potem do jej mieszkania wparował pijany Biały.

– Zagroził, że jeśli nie wycofam pozwu, zabije mnie razem z bachorem – opowiada Feliks. – Podniósł rękę do bicia. Zrobiłem unik. Uderzył ręką w ścianę i złamał łapę. Poszedł sobie. Wrócił, jak Staś miał półtora roczku.

Zdemolował mi mieszkanie, potem pomalował szyby od zewnątrz farbą olejną. Zmyłem rozpuszczalnikiem, to na drugi dzień przyszedł i wybił okno. Ale prawdziwe piekło zaczęło się, jak babcia mi zmarła. Wyrzucono mnie z jej mieszkania, bo było służbowe. Miałem pracę, ale musiałem spać po klatkach schodowych, więc w kiosku ze zmęczenia myliły mi się rachunki. Stasia zabrała moja mama. „Utraciłem go – trudno, muszę sobie poradzić bez niego” – pomyślałem. Zresztą, jaką ja bym mu przyszłość zapewnił.

Fela wyjechała z miasta. Siedem lat mieszkała i pracowała u ogrodnika pod Warszawą.

– Miałem dziewczynę, lesbijkę. Była chyba we mnie zakochana, ale ja czułem, że to nie to. Baśka kochała mnie jak kobietę, a ja tego nie mogłem znieść.

Przez Baśkę Fela poznała Magdę – dziewczynę, która zmieniała płeć.

– Chłopie, przecież ty się nerwowo wykończysz – powiedziała do Feli. – Jedź ze mną do Łodzi, do kliniki.

EMIL I FELICJA ZMIENIAJĄ PŁEĆ

– Wcześniej myślałem, że takie operacje są strasznie drogie, ale Magda miała przetarte szlaki – opowiada Feliks. – Okazało się, że koszty operacji pokrywa ubezpieczenie. Trafiłem do Zakładu Seksuologii.

Tam zaczęły się testy psychiatryczne, które wykluczyły chorobę psychiczną. Później badali pracę mózgu i hormony. Powiedzieli, że jestem transseksualistą.

Kiedy wyznaczono termin rozprawy w sądzie o zmianę metryki urodzenia, Felicja się zawahała. Nie miała nikogo bliskiego, kogo mogłaby się poradzić.

Pomyślała o biologicznym ojcu, którego nigdy nie widziała.,,Może to jest okazja, żeby nawiązać z nim kontakt". Odnalazła go.

Stary rybak wzruszył ramionami: – Ja cię nie wychowywałem, jesteś dorosła, rób, jak chcesz.

Potraktowała to jako akceptację.

– W 1996 roku zrobili mi operację w Klinice Chirurgii Plastycznej w Łodzi. Najpierw usunęli piersi. Poczułem się jak nowo narodzony. Potem wstawili protezę penisa i obciągnęli ją skórą zdjętą z podbrzusza. Było trochę komplikacji – zaczęła się martwica prącia, ledwo je uratowali, ale uratowali. No, jakoś to jest – uśmiecha się.

Wydali też nowy dowód – Feliks Wnuk, żonaty.

W tym samym roku Emilowi zmieniono płeć w Klinice Urologii AM w Gdańsku. W nowym dowodzie osobistym

wpisano: Emilia Malepsza, rozwiedziona.

– Jesteś zadowolona?

– Bez porównania – mówi Emilia.

Rodzice Emila-Emilii zaakceptowali jego decyzję. – Przecież to moje dziecko – mówi Danuta. – Nigdy się go nie wyprę.

Z Danutą i Emilią oglądamy album ze zdjęciami. Przy fotografii z komunii Emilia się uśmiecha:

– Pamiętasz, mamusiu, jak nienawidziłam tego garniturku?

– Pamiętam, kochanie, pamiętam.

Po operacji Fela-Feliks jeszcze dwa lata pracowała u ogrodnika. W Zakładzie Seksuologii poznała kilkoro transseksualistów. Na urządzane przez nich imprezy przychodzili ludzie obojga typów: K/M (z kobiety mężczyzna) oraz M/K (z mężczyzny kobieta). Kiedyś pojawiła się M/K Emilia, która przyjeżdżała do Warszawy na konsultacje.

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – przyznają oboje.

Zamieszkali w mieście u Emilii, w szesnastometrowym mieszkaniu po babci. W pokoju stoi ten sam tapczan, na którym Emil sypiał z Marysią. Emilia sama uszyła zielone nylonowe firaneczki z falbankami, porobiła na szydełku poszewki na jaśki. Na ścianach powiesiła święte obrazki.

Ciasna ubikacja służy im też za kuchnię. Na sedesie stoi czajnik, w rogu mała lodówka, na niej kuchenka

elektryczna, na półce pod lustrem chleb, cukier, różowy tusz do powiek, pasta do zębów.

Od operacji Emilia nie pracuje. Ze swoim wyglądem (mimo hormonów, depilacji i ubrania odróżnia się od zwykłych kobiet) trudno by jej było znaleźć zatrudnienie. Załatwiła sobie rentę w związku z chorobą serca – dwieście złotych.

Feliks ma „lepszy” wygląd. Trudno się domyślić, że był kobietą. Mimo to niedawno stracił pracę – sprzedawał znaczki skarbowe w urzędzie. Jest przekonany, że ktoś na niego doniósł.

Ma załatwioną na lewo rentę, również około dwustu złotych, ale od kiedy jego matka wystąpiła do sądu o zasiłek na Stasia, sąd odnalazł Feliksa i zabiera mu połowę renty. Feliks chce więc znaleźć pracę na czarno, żeby sąd nie zabierał mu pieniędzy.

Raz na ich drzwiach ktoś napisał szminką „pedały”, dwa razy podrzucono na wycieraczkę prezerwatywę ze spermą.

Feliks chce się ożenić z Emilią.

– Kocham ją, chcę wreszcie mieć prawdziwą rodzinę.

Emilia rozwiodła się jeszcze przed zmianą płci. Po operacji Sąd Metropolitalny w Warszawie stwierdził nieważność jej kościelnego ślubu z Marią z powodu transseksualizmu. Tymczasem Feliks ciągle nie ma rozwodu z Edwardem Białym, z którym wziął tylko ślub cywilny.

– Adwokat powiedział mi, że według polskiego prawa nie może być małżeństwa mężczyzny z mężczyzną. Nie możemy się więc rozwieść, tylko trzeba nasz związek unieważnić –

mówi Feliks. – Sprawę prowadził sąd na Wybrzeżu. Najpierw jechałem przez całą Polskę nocnym, wysiadałem z pociągu o 6 rano i do 10.30 błąkałem się po ulicach. Potem wsiadałem w pekaes, żeby zdążyć na rozprawę o 12. I tak cztery razy. Biały nie stawiał się, a prokurator za każdym razem stwierdzał, że sąd nie unieważnia małżeństwa, gdyż pozwany nie wyraża zgody.

Za czwartym razem Feliks zapytał, jak to możliwe, że sąd nie chce unieważnić małżeństwa między dwoma mężczyznami. Został pouczony, że prośbę o szczegółowe uzasadnienie trzeba złożyć na piśmie. Złożył. Dostał odpowiedź, że minął termin, w którym sąd ma obowiązek wydać uzasadnienie.

Zostawił sprawę na trzy lata, bo nie miał pieniędzy na dojazdy do sądu. Wreszcie inny adwokat poradził mu, żeby starał się o zwykły rozwód.

– I znowu się zaczęło. Biały nie stawiał się na rozprawy. Raz nie stawiłem się ja, bo nie miałem pieniędzy na bilet.

Feliks i Emilia myślą o adopcji. Byli już w tej sprawie w domu dziecka. Powiedziano im, że transseksualizm nie jest w tym wypadku przeszkodą, ale muszą mieć ślub.

– A twój własny syn? – pytam Feliksa.

– Tęsknię do niego, jasne, że tęsknię. Ma trzynaście lat, miałbym teraz kumpla, w piłkę bym go nauczył grać. Ale napisał mi, że nie chce mnie znać.

HENRYK DYKTUJE LIST STASIOWI

Staś Biały miał osiem lat. Któregoś dnia wrócił ze szkoły, wszedł do dużego pokoju, gdzie zwykle czekał na niego

obiad, a tam babcia Teresa i matka chrzestna pochylają się nad jakimś zdjęciem.

– Sodoma i Gomora! – orzekła ze zgrozą chrzestna. Fotografia przedstawiała matkę Stasia Felicję po operacji w garniturze i krawacie. – Patrz, jakie ci twoja kochana mamusia zdjęcie przysłała – potrząsnęła fotką nad chłopcem.

Mama Feli – babcia Teresa – siedziała załamana i nic nie mówiła.

Wraz ze zdjęciem Feliks wysłał synowi list. Opisał mu powody swojej decyzji, prosił syna o wybaczenie i zapewniał, że bardzo go kocha. Ale tego listu Staś nigdy nie zobaczył.

Na drugi dzień Henryk, drugi mąż babci Teresy, podyktował mu list do matki:,,Ja mam swoją mamę i tatę, z którymi mieszkam i się mną opiekują i mam bardzo dobrze. A ciebie w ogóle nie chcę znać. Biały Stanisław".

Wkrótce po tym Feliks pojawił się w ich domu razem z Emilią.

– Matka Feliksa wypadła na nas jak jastrząąąb! – wspomina tę wizytę Emilia.,,Ja wam dziecka nie oddam! Ja wam dziecka nie oddam!" – krzyczała. – Trzęsła się jak galareta. Potem zaczęła płakać, że jej źle, że nie ma pieniędzy, że jest znerwicowana. Na koniec powiedziała do Feliksa:,,Ja bym was zaprosiła, ale Henryk cię skreślił". I cały czas po złości mówiła do niego: Felka.

ŁAŃCUSZEK DLA PATRYKA

Był upalny czerwcowy dzień. Sześcioletni Patryk siedział w sądzie na korytarzu z babcią Danutą. Za tymi drzwiami był jego ojciec, którego nie pamiętał. Trwała rozprawa o odwieszenie jego władzy rodzicielskiej. Danuta trzymała zimną dłoń chłopca w swojej.

– Boję się – szepnął.

– Czego?

– Że mnie porwie.

– Nie bój się.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich wysoka ruda kobieta w błękitnej garsonce z krótkimi rękawami. Była ostro umalowana, miała włosy przewiązane chustką i długie czerwone paznokcie.

Patryk zaczął dygotać.

Emilia podeszła do niego i przytuliła. Wszystkie mięśnie napięły mu się jak na komendę i tak trząsł się pod jej ramionami, z głową schowaną w ramiona.

Aż wreszcie poczuła, że drobne ciałko powoli zaczyna się rozluźniać i dziecko objęło ją w talii.

– Nic nie mów – gładziła go po włosach. Wyjęła z torebki tekturowe pudełeczko. W środku był złoty łańcuszek z medalikiem z Matką Boską.

– To dla ciebie od drugiej mamy – powiedziała.

Chłopiec zacisnął palce na pudełku. Nie odrywał głowy od jej brzucha.

Miesiąc później Emilia podobnie ubrana przyjechała do domu teściów. Stanęła w podwórzu pod orzechem. Z domu wyszli bracia Marysi. Ojciec sięgnął po grabie. Wtedy

usłyszała:,,Wara, pedale, jaja sobie dałeś uciąć, to my ci teraz łeb utniemy!". Uciekła w popłochu do taksówki, aż złamała obcas.

Później już tylko pisała, ale tylko raz dostała odpowiedź.

List Patryka do Emilii, prawdopodobnie dyktowany przez Marysię:

Cześć tato, jeśli tak bardzo prosisz, wysyłam ci mój list. Dziękuję, że do mnie napisałeś. Jestem zdrowy, uczę się dobrze. Dlaczego nie przyjeżdżasz, żeby porozmawiać i mnie zobaczyć? Nikt cię nie wygoni. Mama się nie gniewa, a ja chciałbym cię zobaczyć. Patryk.

Odpowiedź:

Witaj kochany Patryczku. Pisze do Ciebie mama Emilia, nie tato, i proszę Ciebie, żebyś nie mylił mnie z tatą. Synku, bardzo bym chciała się z Tobą zobaczyć. Żebyś przyjechał do mnie, ale nie wiem, jak to zrobić. Ja naprawdę Ciebie bardzo i to bardzo kocham, Syneczku. Ale może wyjaśnią Ci wszyscy, dlaczego nie mogę sama przyjechać. Powiem Ci od siebie, że oni nas rozdzielili, a teraz mogę ponownie zostać Fle potraktowana przez tych, z którymi mieszkasz. Gdybyś przyjechał do babci Danki, to tam moglibyśmy się zobaczyć. Pamiętaj, że wszyscy tam chcą mnie całkowicie zniszczyć. Tylko z mamą Marysią możesz przyjechać. Bardzo Cię proszę, odpisz mi na list. Ładnie piszesz, i poproś mamę, żeby napisała. Wysyłam Tobie kartkę z okazji pierwszej komunii, życzę Tobie dużo, dużo zdrówka, dużo piątek w szkole. Dużo uścisków od mamy Emilii, pamiętaj, nie od taty.

Na ten list nie przyszła odpowiedź. Emilia napisała ponownie:

Kochany syneczku Patryczku, mama Marysia nigdy nie chciała odpisać mamie Emilii na list. Może jak ją poprosisz, to odpisze teraz. Jaki wzrost masz i coś więcej o Tobie. Bądź dobry dla niej. Napiszcie wspólnie z mamą Marysią. Ja też na mamę się nie gniewam. Kochany syneczku, nie można się gniewać na Ciebie, ani na mamę Marysię, ani w ogóle się gniewać.

Na komunii nie była: – Moi rodzice poszli. Ja siedziałam u nich, trzy domy od kościoła, i płakałam.

Z protokołu komisji sądu rodzinnego:

Kontakt z ojcem biologicznym małoletniego Patryka M. został zerwany osiem lat temu. Małoletni ujawnia znikome nasilenie symptomów potrzeby bezpośredniego kontaktu z ojcem biologicznym. Małoletni nie rozumie całokształtu uwarunkowań tego procesu (transseksualizmu), stąd też w kontakcie z wniosko-dawczynią ujawnia poczucie bezradności i lęku.

Odwieszenie jej władzy rodzicielskiej grozi:

– zaburzeniem poczucia bezpieczeństwa małoletniego;

– ryzykiem zaburzenia jego identyfikacji płciowej;

– ryzykiem odtrącenia go przez grupę rówieśniczą i karaniem go za posiadanie ojca transseksualisty;

– ryzykiem kształtowania nadpobudliwości seksualnej…

Władza rodzicielska Emilii nie została przywrócona.

EDWARD NIE ROZWIEDZIE SIĘ Z FELIKSEM

– Kłamie! Kłamie! Kłamie! – Teresa biega po pokoju. – Na Panienkę Najświętszą przysięgam, moja Felicja nigdy nie zachowywała się jak chłopak.

– Podobno grała w piłkę z chłopakami – mówię.

– Kłamie! Bawiła się lalkami jak inne dziewczynki.

– Podobno nie chciała iść w sukience do pierwszej komunii.

– Jak nie chciała! – Teresa łapie się za głowę. -Chciała, jeszcze jak chciała. Przez cały biały tydzień grzecznie za rękę szła ze mną w sukience do kościoła. Jak się dowiedziałam, że się zrobiła facetem, to mi włosy na głowie dęba stanęły.

– Dlaczego jej pani nie pozwala spotykać się z dzieckiem?

– Trzymajcie mnie! A kto porzucił dziecko! Kto się nim w ogóle nie zajmował! Karaluchy taaaakie u niej chodziły po ścianach. Niedopałki gasiła dzieciakowi na głowie. Pieniądze na lewo i prawo pożyczała. I kto ma to teraz spłacać. Ja? A po tym wszystkim przyjechała tu z jakimś przebierańcem i zażądała, żeby do niej mówić Feliks.

Teresa mieszka w domku z ogródkiem, ze Stasiem i mężem Henrykiem, który każe chłopcu mówić do siebie tato.

Staś ma osobny pokój z biurkiem, dużo zabawek.

Jedziemy z Teresą do szkoły specjalnej, gdzie uczy się Staś.

– Jest trochę nerwowy – tłumaczy Teresa – bierze leki, w normalnej szkole sobie nie radził. Ale Fela nic go nie obchodzi. Jak mu przysłała zdjęcie, powiedział do mnie:

„Mamusiu, to ty jesteś moją mamusią, a tamtej nie potrzebuję”.

Teresa wywołuje chłopca z lekcji, żeby potwierdził jej słowa.

Na schodach staje tęgawy chłopczyk z gęstą czarną czupryną. Jest bardzo podobny do Feliksa. Podchodzę, mówię, że przyjechałam od jego prawdziwej mamy.

– Ona zrobiła sobie operację plastyczną i przebiera się za mężczyznę – mówi chłopczyk, nie patrząc mi w oczy. – Widziałem na zdjęciu.

– Ona cię kocha. Bardzo ją bolało, jak napisałeś w liście, że nie chcesz jej widzieć.

– Dziadek mi kazał. Bardzo się wstydzę. Chciałbym ją zobaczyć.

– Może napisz do niej.

– Napiszę po kryjomu – chłopiec kiwa potakująco głową.

– A koledzy wiedzą o twojej mamie?

– W starej szkole wiedzieli. Śmiali się. W nowej nikt nie wie.

W naszą stronę biegnie już Teresa. Chwyta chłopca za główkę. – Widziała pani? Widziała pani? – rozgarnia dziecku czuprynę.

Zerkam, w czuprynie łysa plamka.

Wsiadamy do taksówki.

– Pani córka ma trudną sytuację materialną – mówię. – Zasiłek, który pani dostaje, sąd ściąga z jej renty…

– Może ona jeszcze chce się tu sprowadzić?

– Nie chce się sprowadzić. Ale chciałaby czasem przyjechać was odwiedzić.

– Nie chcę jej znać.

– To pani dziecko.

– Nie mogę, nie mogę. Nie przeszłoby mi przez gardło mówić do niej tak, jak ona chce.

– To niech pani mówi wszystko jedno jak.

– Nie mogę, nie mogę…

Teresa wybucha płaczem. Zapala papierosa. Trzęsie się.

Próbowałam odnaleźć także Edwarda Białego. Ciekawa byłam, dlaczego nie chce dać rozwodu Feliksowi. Miałam adres, ale okazało się, że Biały dawno został eksmitowany za urządzanie libacji. Dozorca poradził spytać o niego na komisariacie.

– Biały, Biały? – szuka w pamięci oficer dyżurny. – A to czasem nie ten, co ma tę żonę nie tego?

– Ten sam.

– I ona rzeczywiście jest teraz mężczyzną?

– Tak mówią. I Biały nie chce dać jej rozwodu. Ciekawe dlaczego?

Oficer drapie się w głowę: – Ja pani coś powiem. Biały to niebieski ptaszek. Od wiosny siedzi z koleżkami na plaży i pije piwo, potem skroją jakiś kiosk i na zimę idą razem do więzienia. Jak Biały zacznie się rozwodzić, to rozejdzie się, że ożenił się z jacetem. A dla pedałów w tym środowisku nie ma przebaczenia.

Edward Biały właśnie znowu siedzi w więzieniu. Dzwoniłam, nie zgodził się na rozmowę.

– Wreszcie stałeś się mężczyzną. Dlaczego wybrałeś kobietę, która nie jest w pełni kobietą? – pytam Feliksa.

– Dla mnie jest. Emilia nie różni się prawie niczym od normalnej kobiety. A normalnej bałbym się. Chciałaby zaraz dziecka, czy coś.

– Ja też nie chcę normalnego. W jakiejś sprzeczce on mógłby mi wypomnieć – wtrąca Emilia.

– Możecie ze sobą współżyć?

– Nie za bardzo.

Marysia była bardzo dzielna, obeszło się bez ataku. Po spotkaniu z Emilią odwożę ją na wieczorne nabożeństwo. W samochodzie Marysia zaczyna mi się zwierzać:

– Mnie już tylko Bóg pozostał. Już od życia nic nie chcę. Radia Maryja posłucham, to mi się od razu cieplej robi na duszy. Żadnego mężczyzny już nie pokocham. Dość. Ja zawsze chciałam iść do zakonu. Teraz, gdyby nie Patryczek, też bym poszła, żeby tę hańbę z siebie zmazać. Ludzie jak na trędowatą patrzą, Patryczkowi dokuczają.

Podjeżdżamy pod kościół. Patryk przyjechał rowerem i czeka na matkę pod bramą.

Marysia uśmiecha się na widok syna: – Jest, mój skarb. On zawsze ze mną do kościoła, po mnie taki pobożny. Będzie ministrantem. Jutro jedziemy do miasta kupić mu komżę. Na wystawie w Veritasie zobaczył taką piękną i uparł się, że musi ją mieć.

Imiona i nazwiska bohaterów zostały zmienione.

2001

Poszukiwana, poszukiwany

CZĘŚĆ 1

Laura jest najbardziej niezwykłą osobą, jaką znam, choć właściwie nie znam.

Najbardziej przebojową kobietą, choć właściwie nie jest kobietą.

Najlepszym psychiatrą – tylko że nie jest psychiatrą.

Laura nieustannie udowadnia, że to, co niemożliwe, jest możliwe.

Be na przykład można kilka razy nabrać poważne instytucje na ordynarnie sfałszowane dokumenty.

Be można być przez kilka lat poszukiwanym przez policję i w tym czasie podejmować legalnie kolejne prace w publicznych zakładach w Warszawie.

Be można wyjechać za granicę, mając wstrzymany paszport.

Be będąc transseksualistą po pięćdziesiątce, można uchodzić za piękną kobietę i wzbudzać zazdrość innych pań.

WIZYTA Wrzesień 2004

Ukryta w klapie żakietu kamera filmuje wysoką blondynkę wychodzącą z kolejki WKD. Kobieta zmierza w stronę szpitala psychiatrycznego. Krok pewny, obfity biust faluje zamaszyście w głębokim dekolcie.

To Laura Miller – p.o. ordynatora oddziału geriatrii szpitala w podwarszawskich Tworkach.

Ma pięćdziesiąt pięć lat. Urodziła się w Lublinie, tam ukończyła Akademię Medyczną. Jej poprzednie nazwisko brzmiało Monroe.

Z jej dossier wynika, że pracowała wiele lat jako psychiatra w USA i w Indonezji. To nie jest prawdą.

Prawdą jest, że była psychiatrą w Nowej Zelandii. Ale o tym w Tworkach nikt jeszcze nie wie.

Tutaj kieruje pracą dwudziestu osób i jest odpowiedzialna za czterystu chorych psychicznie pacjentów.

Właścicielka żakietu i kamery ma na imię Janet. Specjalnie dla Laury przyjechała z Nowej Zelandii. Teraz stoi naprzeciw niej i zastanawia się, jak nawiązać znajomość.

Po chwili kamera filmuje ich rozmowę w gabinecie.

– Odkąd przyjechałam do Polski, mam zawroty głowy, problemy z pamięcią i źle sypiam – kłamie Janet.

Laura podpiera się łokciem o biurko, patrzy Janet w twarz. Ma niski nieprzyjemny głos:

– OK… Wydaje mi się raczej, że cierpi pani na lekką depresję… – sięga po bloczek z receptami.

– Tak naprawdę pracuję dla telewizji nowozelandzkiej – wyjawia wreszcie Janet. – Chciałabym z panią porozmawiać

o sprawie Lesliego Parra.

SPRAWA LESLIEGO PARRA Nowa Zelandia, 1997

Leslie Parr i Fiona Maulolo poznali się w Nowej Zelandii na początku 1997 roku. On miał dwadzieścia trzy lata, ona trzydzieści jeden. Dzisiaj Parr twierdzi, że Fiona była jego największą miłością. Niestety, 12 kwietnia 1997 roku w okrutny sposób pozbawił ją życia.

Najpierw próbował dusić. Kiedy to się nie udawało, bo kobieta ciągle dawała oznaki życia, zaczął młotkiem wbijać w nią dłuto. Pozostawił w klatce piersiowej pięć sporych otworów. Na koniec piłą odciął głowę, schował do plastikowej reklamówki i przez dwa dni włóczył się z nią bez celu po mieście. Wreszcie wrócił do domu ofiary i umieścił pakunek w suszarce na ubrania obok wanny, w której pozostawił resztę ciała.

Następnie poszedł do swojego domu i wraz z kolegami rozpoczął alkoholowo-narkotykową libację. Kiedy po trzech dniach stracił przytomność, jego kompan wezwał pogotowie.

W szpitalu ocucono Lesliego i po stwierdzeniu, że jego zachowanie w zasadzie nie wzbudza podejrzeń - pacjent pochłaniał tylko wielkie ilości napojów i domagał się widzenia z księdzem – postanowiono wypuścić.

W tym czasie mieszkanie Fiony odwiedziły jej dwie córki, dziesięć i dwanaście lat, zaniepokojone, że matka od sześciu dni nie próbuje się z nimi skontaktować i nie odbiera telefonu. To one dokonały makabrycznego odkrycia.

Policja szybko dotarła do Parra. Ten – już trzeźwy - zeznał, że musiał zabić Fionę Maulolo, ponieważ była Szatanem. I że w ten sposób ocalił ludzkość.

DOKTOR MONROE

Leslie Parr od dzieciństwa cierpi na schizofrenię. Ma za sobą kilka prób samobójczych, samookaleczeń i ataków agresji. Do tego jest alkoholikiem i narkomanem. Rok przed zabójstwem Fiony Maulolo sąd nałożył na niego obowiązek leczenia psychiatrycznego w zakładzie zamkniętym, po tym jak Leslie obciął palec pewnemu policjantowi. Trafił do szpitala w Hutt Valley, skąd, ku zdumieniu swoich najbliższych, już po trzech dniach został zwolniony.

Ojciec Lesliego (w filmie nakręconym przez Janet i Chrisa z nowozelandzkiej telewizji): – Przychodzę odwiedzić syna, a tu patrzę: walizka spakowana. Myślę: o co chodzi? Less ciągle zerka niespokojnie na kogoś niewidzialnego. Nagle zerwał się, zaczął zamykać w panice okna, drzwi. Ciągle upewniał się, czy drzwi są zamknięte na klucz. Tymczasem pielęgniarka komunikuje mi, że Less jest gotowy do wyjścia i będzie teraz mieszkał ze mną. Byłem przerażony, bo gołym okiem widać było, że on kompletnie nie jest gotowy.

Psychiatrą, który wypuścił Parra i podpisał zwolnienie z obowiązku leczenia, była świeżo zatrudniona w Hutt Valley doktor z Polski, Laura Monroe.

Dlaczego to zrobiła, nikt do tej pory nie miał okazji jej zapytać.

Nie badała go ani nie zapoznała się z historią jego choroby.

Ustalono, że nigdy go nawet nie widziała.

Wkrótce po morderstwie Fiony Maulolo uciekła z Nowej Zelandii.

Dochodzenie w sprawie mordu zbiegło się, zupełnie przypadkowo, z wyjściem na jaw faktu, że pani

Monroe podjęła pracę w Nowej Zelandii na podstawie fałszywych referencji i dyplomów.

JANET I LAURA UMAWIAJĄ SIĘ NA WYWIAD Tworki, wrzesień 2004

Po wyjawieniu prawdziwego celu wizyty w gabinecie zapada cisza. Lekarka nadal patrzy na Janet, ale nic nie mówi. Ciągle niedbale podpiera się na łokciu.

– Czy zechce pani o tym rozmawiać? – pyta dziennikarka.

– Nie, naprawdę nie… – odpowiada spokojnie Laura. Zmienia pozycję, kładzie obie ręce na stole, splata je jak do modlitwy, ale palce nerwowo podrygują.

– Chodzi o to, że nigdy nie poznano sprawy Lesliego Parra od pani strony…

– OK, OK… Przepraszam, ale to są sprawy prywatne. Nie chciałam, żeby to się stało.

– Ale pani wprowadziła w błąd naszą służbę zdrowia, jeśli chodzi o pani kwalifikacje i doświadczenie. Czy mogę zapytać dlaczego?

– To nieprawda. Przepraszam, nie chcę teraz o tym mówić, przepraszam… Dam pani mój numer komórkowy, może pani zadzwonić wieczorem – Laura żegna Janet obiecującym uśmiechem.

Jeszcze tego samego dnia bierze urlop pod pretekstem nagłej choroby męża. Wkrótce przysyła wymówienie z pracy. Od tej pory słuch o Laurze Miller vel Monroe zaginie.

Janet wróciła do Nowej Zelandii. Dwa miesiące później ona i jej kolega Chris Cooke nawiązują ze mną kontakt mailowy.

Teraz Laurę tropić będę ja.

PILNE WEZWANIE Z BIAŁEGO DOMU Warszawa, grudzień 2004

Dom na Woli, w którym – jak ustaliłam – Laura mieszkała, pracując w Tworkach, ma dziesięć pięter i kilkanaście klatek. Stoję przed nim bezradnie.

Na szczęście dozorca pamięta parę w średnim wieku: wysoka blondynka i niski brunet. Mieszkali tu przez rok, ale niedawno chyba wyjechali za granicę. Wskazuje mi mieszkanie i dodaje, że wynajmowali je od niejakiego pana Cz., który zajmuje swoje drugie mieszkanie tuż pod wynajmowanym.

Drzwi otwiera młody mężczyzna. Pytam o doktor Miller. Nie wyjawiam od razu, kim jestem, mówię, że ma ona wobec mnie pewne zobowiązania.

– To tak samo jak wobec mnie! – słyszę dobrą nowinę. – Proszę, niech pani wejdzie.

Tamtego wrześniowego dnia wieczorem, po rozmowie z Janet, Laura Miller zapukała do pana Cz. Do końca wynajmu pozostały jeszcze dwa tygodnie, jednak lokatorka oznajmiła, że już się wyprowadzają.

– A cóż to się stało tak nagle? – zapytał pan Cz. Laura rozłożyła bezradnie ręce: – Richarda wzywają na gwałt do Waszyngtonu. Musi natychmiast objąć bardzo ważne stanowisko w najbliższym otoczeniu prezydenta Busha.

Jeszcze tego samego dnia spakowali się i opuścili mieszkanie. Nie zabrali nawet składanych szaf, które Laura kupiła na swoją ogromną garderobę. Na dnie jednej z nich pan Cz. znalazł zapomnianą kopertę ze zdjęciami.

– To ona? – upewniam się, bo nie od razu rozpoznaję kobietę z filmu Chrisa i Janet. Zdjęcia musiały być zrobione dużo wcześniej. Jeżeli Laura rzeczywiście, jak mówią, nadąża za modą, to stawiałabym na lata osiemdziesiąte.

W zalotnych pozach doktor Miller prezentuje krótkie spódnice, kolorowe rajstopy, złote łańcuchy i efektowny tapir. To, co naprawdę ładne, to pogodny uśmiech i jakaś wewnętrzna harmonia bijąca spod krzykliwego makijażu. Wygląda jak ktoś szczęśliwy. Podobne wrażenie mam, patrząc na zdjęcia filigranowego, trochę zabawnego bruneta w szarym garniturze.

– Ciekawe – mówię – pani Laura wygląda na tych zdjęciach dużo młodziej niż teraz, ale i jakby… mniej korzystnie.

– Mniej kobieco, prawda? – podchwytuje pan Cz. – Nigdy więcej jej nie widziałem. Tak im się spieszyło, że zapomnieli nawet oddać kluczy i zapłacić rachunek za telefon. Rachunek pół biedy – kilkadziesiąt złotych, ale niepokoiłem się o te klucze. Zadzwoniłem do Tworek, powiedzieli mi, że pani Miller złożyła wymówienie i nie pojawia się już

w pracy. Nie wiem, z kim rozmawiałem, może z pielęgniarką. Powiedziałem o kluczach. Ona powtórzyła, że nie może mi pomóc, ale po paru dniach klucze same się pojawiły. Przyszły pocztą w bąbelkowej kopercie, starannie poprzyklejane w środku, każdy oddzielnie, taśmą klejącą. Adres na kopercie był napisany charakterem pisma pana Richarda.

Koperta gdzieś się zapodziała, ale pan Cz. jest pewien, że była ostemplowana w Polsce.

NIEKOŃCZĄCY SIĘ PĘD DO PERFEKCJI Nowa Zelandia, 1996

Laura Monroe w towarzystwie niewysokiego bruneta zjawiła się w Nowej Zelandii w 1996 roku i podjęła pracę w szpitalu psychiatrycznym w miejscowości Hutt Valley niedaleko Wellington.

– Kiedy zadzwoniła do mnie po raz pierwszy, byłem przekonany, że rozmawiam z mężczyzną – wspomina Ron Norman, właściciel domu, który Laura chciała wynająć zaraz po przyjeździe. – A gdy spotkaliśmy się, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Przede mną stała piękna, wysoka blondynka. Wspaniałe włosy, głębokie błękitne oczy i niezwykle delikatna, mlecznoróżowa cera.

– Jestem psychiatrą o, że tak powiem, międzynarodowej sławie. Ściągnęli mnie tutaj headhunterzy. Potrzebujemy z mężem obszernego domu, bo samych walizek z ubraniami mam siedemnaście – oznajmiła rozbrajająco.

Ostatecznie pan Norman nie wynajął jej domu, ponieważ, jak mówi,,,cała ta jej gadanina jakoś nie trzymała się kupy*.

W rzeczywistości Laura sama wystarała się o posadę w Hutt Valley. Nowozelandzka służba zdrowia cierpi na brak wykwalifikowanych psychiatrów. Kandydatura blond lekarki z Polski wydawała się wymarzona.

W CV napisała, że jest członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrów. Be piętnaście lat pracowała w klinice Bell-Grollman Medical Associates na Florydzie i opiekowała się tam osiemdziesięcioma pacjentami. Miała też dyplom z Akademii Medycznej w Lublinie, a nawet list referencyjny od tamtejszego profesora psychiatrii Romana Labudy:

Pani Laura Monroe jest moim najlepszym kolegą po fachu - napisał - *i została doskonale wykształcona we wszystkich tajnikach psychiatrii, wysuwając się w tej dyscyplinie na wiodące miejsce w naszym zespole. Najbardziej podziwiam ją za jej niekończący się pęd do perfekcji…*

Nikomu nie przyszło do głowy sprawdzać, kim jest profesor Roman Labuda.

Nikt nie podejrzewał, że Roman Labuda już nie istnieje.

Że Roman Labuda i Laura Monroe to ta sama osoba.

A co najgorsze, że osoba ta nigdy nie była psychiatrą.

FAŁSZYWA SPECJALIZACJA Lublin, grudzień 2004

Profesora Mariana Wielosza, dziekana Wydziału Lekarskiego AM w Lublinie, moje pytanie o profesora Labudę wprawia w bardzo dobry humor: – Jeszcze dzisiaj na stołówce przed pani wizytą zaśmiewaliśmy się z niego z kolegą. Przypomniałem mu, jak Romcio zakochał się

w nim kiedyś i ukradł mu koszulę. To był homoseksualista, kleptoman i fetyszysta. Jeszcze zanim zmienił płeć i stał się Laurą Monroe.

Roman Labuda rzeczywiście był lekarzem. Tyle że internistą. Ukończył Akademię, po czym został pracownikiem naukowym w Zakładzie Farmakologii. Zrobił doktorat z farmakologii i specjalizację z chorób wewnętrznych.

– Jest pan pewien, że nie był psychiatrą? – nie dowierzam. – W szpitalu w Tworkach znajduje się jego zaświadczenie o uzyskaniu w 1978 roku w Lublinie II stopnia specjalizacji z psychiatrii, ze stemplem kierownika lubelskiego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej i dodatkowo z pieczątką Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie. Jest tam co prawda wpisane nazwisko Laura Monroe, ale domyślam się, że po zmianie tożsamości jego dyplomy zostały przerejestrowane, a w 1978 roku pani Monroe była panem Labudą.

– Proszę pani, ja robiłem tutaj w latach siedemdziesiątych specjalizację z psychiatrii i zapewniam panią, że Romka ze mną nie było – odpiera dziekan.

Informacje o lubelskich specjalizacjach znajdują się dzisiaj w Centrum Zdrowia Publicznego w Lublinie. – Ta pieczątka na zaświadczeniu jest podrobiona – mówi Barbara Marchlewska. – A pana Labudę pamiętam dobrze. Nie zapomina się takich osób. Wie pani, mężczyzna z kolorowymi spinkami we włosach…

Stempel Okręgowej Izby Lekarskiej również okazuje się fałszywką.

– Był bardzo inteligentny, zdolny, ale niestety kompletnie niepoważny. Przez dwa lata ciągnął się za nim proces sądowy, ponieważ okradł własną ciotkę – ciągnie opowieść dziekan Wielosz.

– W 1976 roku wylatywał na wycieczkę do Egiptu, kiedy milicja aresztowała go na lotnisku. Przedtem był na stypendium w Stanach. Pod koniec tego jego stypendium spotkałem się za granicą na jakimś sympozjum z Amerykanami z ośrodka, do którego pojechał

Romek. Pytam ich:,,A jak tam nasz Labuda, jak tam się u was sprawuje?" A oni:,,A był taki, ale zniknął. Zostały po nim tylko niezapłacone rachunki telefoniczne".

Adiunkt Labuda pracował w lubelskiej akademii do końca 1978. Został wyrzucony, bo nie powrócił z urlopu wypoczynkowego w USA.

Jednak pewnego dnia w roku 1995 drzwi do sekretariatu Zakładu Farmakologii otworzyły się energicznie. Postać w drzwiach była niewątpliwie adiunktem Labudą, ale jakże zmienionym!

Roman Labuda wkroczył do sekretariatu z wysoko podniesioną głową, w czerwonej sukience, w futrze, z biustem, dumnie kołysząc biodrami.

– Okazało się, że przeszedł w USA operację zmiany płci. Przyjechał do nas, żeby przerejestrować swoje dyplomy na nowe nazwisko: Laura Monroe. Przy nim snuł się taki niepozorny człowieczek o czarnej czuprynie. Sięgał

Labudzie do ramion. Romek przedstawił go jako swojego męża, pana Monroe. Zaraz zaczął gawędzić z paniami w sekretariacie, chwalił się sztucznym biustem, dawał do przymierzania futro, a z jedną panią docent chciał się nawet umówić do ginekologa. Widać było, że świetnie się czuje w nowej skórze. Tylko jego dawny promotor profesor Kleinrok zepsuł mu humor. Romek podał mu dłoń zalotnie jak kobieta, a ten uścisnął mu ją normalnie po męsku i powiedział: cześć, Romek. Jak on się za to obraził! - wspomina Marian Wielosz.

– Ale długo nie cieszyliśmy się jego obecnością - dodaje. – Załatwił formalności i wyjechał za granicę. Nigdy więcej go nie widziałem.

Nowa Zelandia, 1997

W szpitalu w Hutt Valley – gdzie na trzy dni trafił schizofrenik Leslie Parr – Laura Monroe pracowała niecały rok. Na przełomie 1996 i 1997 awansowała na stanowisko dyrektora zdrowia psychicznego w Nelson-Marlborough Health Service. Odtąd podlegało jej pięcioro specjalistów psychiatrii. Dostawała pensję – sto czterdzieści tysięcy dolarów rocznie oraz służbowy samochód.

Razem z Richardem wynajęli ostatecznie dom na wzgórzu w Atawhai wart ponad trzysta tysięcy dolarów. Laura podobno uwielbiała zakupy i zawsze płaciła złotą kartą kredytową. Miała ich w portfelu cały rządek. Sąsiedzi wspominają ich jako miłych, ale lubiących się izolować. Rolety były spuszczone, nawet gdy domownicy byli w domu.

Kiedy władze szpitala w Nelson, gdzie pracowała Laura, odkryły, że ich czołowy psychiatra jest oszustem i nie ma kwalifikacji do wykonywania swojego zawodu, Laura przebywała właśnie na konferencji psychiatrów we Francji. W tym samym czasie śledztwo w sprawie Lesliego Parra ujawniło drugi skandal: bezpodstawne wypuszczenie go przez dr Monroe do środowiska. Szpital bezskutecznie próbował skontaktować się we Francji ze swoją przedstawicielką na konferencji. Razem z nią znikł także jej towarzysz.

Pozostał po nich tylko dziesięciomiesięczny piesek rasy beagle i niezapłacony za niego do dzisiaj rachunek w przechowalni zwierząt.

Tylko jedna osoba w Nowej Zelandii rozmawiała z Laurą po jej wyjeździe do Francji. Sąsiad Laury i Richarda.

– Mówiła, że dzwoni z Europy. Była strasznie zdenerwowana, właściwie w panice, ponieważ nie mogła się skontaktować z mężem. Pytała mnie, czy mógłbym pójść do ich domu i sprawdzić, dlaczego on nie odbiera telefonu – opowiadał później prasie. Ponieważ sąsiedzi nie byli w stanie wejść do zamkniętego domu, wezwali policję. Wywarzono drzwi.

Mieszkanie wyglądało jak po włamaniu. Na podłodze walały się ubrania, kosmetyki, biżuteria. Oprócz nich kserokopie historii chorób pacjentów, strzykawki i około trzydziestu opakowań z lekarstwami na receptę. Wśród nich: opiaty syntetyczne, stymulanty, środki uspokajające i duża ilość estrogenu – hormonu kobiecego.

Tymczasem na doktor Monroe zaczęły wpływać kolejne zażalenia, w tym jeden pozew do sądu. Pewna kobieta skarżyła się, że pani doktor w ciągu ośmiu miesięcy poddała jej córkę dwudziestu czterem zabiegom terapii elektrowstrząsami, w wyniku których córka ma teraz zaniki pamięci i nie potrafi się skoncentrować.

Ktoś inny donosił, że cierpi na uciążliwe skutki uboczne po przepisaniu przez lekarkę końskich dawek pewnego leku antydepresyjnego.

W połowie 1997 roku Laura Monroe została zwolniona z pracy i wykreślona z listy lekarzy w Nowej Zelandii. Zaczął jej szukać Interpol.

– Najważniejsze, żeby nie wyjechała do jakiegoś Pernambuco i nie pracowała znowu jako psychiatra – powiedziała na konferencji prasowej dawna przełożona Laury, Jane Holden – szefowa służby zdrowia w Hutt Yalley.

Tworki, sierpień 2003

Był pochmurny letni dzień. Na ławce przed gabinetem Małgorzaty Janiszewskiej – wicedyrektorki szpitala w Tworkach – siedziała wysoka kobieta od stóp do głów ubrana na czarno. Czerń efektownie podkreślała złocisty odcień jej włosów i mlecznoróżową cerę, na którą dyrektorka od razu zwróciła uwagę, bo – jak twierdzi – tak delikatnej nigdy nie widziała.

,,Jest mi szalenie miło, że mogę panią poznać – powiedziała kobieta, wstając. – Laura Miller, specjalista psychiatrii. Pani pewnie o mnie nie słyszała, ale to dlatego, że całe życie pracowałam za granicą. Jestem absolutnie

oczarowana tym miejscem. Czy nie potrzebują państwo przypadkiem psychiatry?"

– Oczywiście, że potrzebowaliśmy – wspomina ponuro pani Janiszewska. – Zawsze potrzebujemy psychiatrów, zwłaszcza z II stopniem specjalizacji. A wtedy akurat jeden lekarz od nas odchodził.

W dowodzie miała nazwisko Miller. Jak powiedziała, niedawno wyszła za mąż. Wszystkie dokumenty oglądał nasz radca prawny i nie miał do nich zastrzeżeń. Dyplomy były potwierdzone przez Okręgową Izbę Lekarską, również to zaświadczenie o II stopniu specjalizacji z psychiatrii, zmiana nazwiska z Monroe na Miller, wszystko jak trzeba.

– Lubiła ją pani? – pytam.

– Była ciepłą osobą, choć dość oryginalną. Wyrażała się strasznie kwieciście. Ciągle: „Życzę miłego popołudnia" albo:,,Ach, jacy państwo są sympatyczni". Bardzo zależało jej na tej pracy. Najpierw została starszym asystentem na oddziale ogólnopsychiatrycznym dla kobiet, a po dwóch miesiącach p.o. ordynatora geriatrii. Nigdy nie było do niej zastrzeżeń. Na zebraniach wypowiadała się profesjonalnie, zwłaszcza na temat farmakologii. Zdarzało jej się brać wolne dni, bo, jak mówiła, musiała się opiekować mężem, który chorował na serce. Bywał tu czasem. Ona… ja wiem, tak go trochę traktowała jak synka albo młodszego braciszka, a może jak pacjenta. To był taki spokojny, nieśmiały człowiek, trochę… jak by to powiedzieć – niezbyt męski. Zwracała się do niego z wielką czułością, widać było,

że to głęboki związek. Ale mówiła do niego, tak jak się mówi do dziecka.

– A jaki miała kontakt z pacjentami?

– To było ujmujące. Z jednej strony taka elegancka, luksusowa kobieta, zawsze wystrojona, a na geriatrii czuła się doskonale. Miała bardzo serdeczny stosunek do starych schorowanych ludzi. Puszczała im piosenki z lat ich młodości. Rozpalała kadzidełka aromatyczne albo parzyła pachnącą kawę. Wywołując wspomnienia i miłe skojarzenia, pobudzała uśpione obszary w ich mózgach. Była bardzo lubiana. Zresztą ona miała bogate doświadczenie. Proszę – dyrektor pokazuje mi zaświadczenia o pracy Laury Monroe w Misji Katolickiej Hutt Yalley w Indonezji z lat 19821987 oraz w oddziale psychogeriatrii Beech Hill Hospital w Dublinie w stanie New Hampshire w USA.

To drugie nawet trochę się zgadza. Laura rzeczywiście tam pracowała. Tylko że nie w latach 1987-1997, bo wtedy między innymi była w Nowej Zelandii, ale w roku 2001, już po ucieczce z Nowej Zelandii. I to nie jako psychogeriatra, ale jako osoba kierująca nowych pacjentów do odpowiednich oddziałów.

Misja Katolicka? Przecież Hutt Yalley to nie Indonezja, ale adres szpitala w Nowej Zelandii, z którego Laura w 1996 roku zwolniła Parra.

A szef Misji ksiądz Michael O'Hara, który napisał Laurze pochlebne referencje? Tak nazywał się główny bohater słynnego hollywoodzkiego filmu z lat czterdziestych *Dama z Szanghaju.*

Dzięki zdjęciu wypożyczonemu od pana Cz. upewniam się co do towarzysza Laury. Pojawił się z nią w Lublinie w 1995 roku, mieszkał z nią na antypodach i wynajmowali razem mieszkanie w Warszawie. To ten sam człowiek.

W Nowej Zelandii posługiwał się nazwiskiem Bell i szukając posady, prezentował swoją amerykańską kartę pracy. Wynikało z niej, że w USA pracował w firmie sprzedającej samochody. Ponoć był tam prawnikiem. Jak się później okazało, właściciel tej firmy nigdy o takim człowieku nie słyszał.

W Nowej Zelandii dostał pracę jako przedstawiciel handlowy. Jego pracodawcy przyszła do głowy ta sama myśl, co siedem lat później dyrektor Janiszewskiej z Tworek: – Ich relacje z panią Monroe przypominały stosunek: pacjent – terapeuta. Richard był impulsywny, z trudem angażował się w rozmowę i nie lubił opowiadać o swojej przeszłości. Na pewno jednak byli zgodną parą.

– Mili ludzie, no, może trochę ekscentryczni – zauważa pan Cz.

– Dlaczego?

– Zawsze w domu przebierali się w takie śmieszne koszulki nocne w misie czy w kaczuszki, takie do kolan. Ona, gdy tylko wracała z pracy, zdejmowała kostium i wskakiwała w koszulkę. Ilekroć do nich wpadałem, zawsze otwierali mi w tych dziecinnych koszulkach. Łóżko było zawsze rozesłane, całymi dniami leżeli na nim w tych koszulkach, oglądali stare filmy na wideo.

Zanim reporterka Janet wtargnęła do gabinetu Laury Miller w Tworkach, najpierw zadzwoniła do szpitala, chcąc upewnić się, czy taka osoba rzeczywiście tam pracuje. Telefon odebrała dyrektor Janiszewska. Tego samego dnia zagadnęła doktor Miller:

– Miałam telefon od jakiejś dziennikarki z Nowej Zelandii, pytali o panią. Czy to prawda, że pani tam pracowała?

– To nieprawda – odparła Laura.

I na tym temat się zakończył.

– Ta kobieta była tu u mnie później – przyznaje dyrektorka. – Mówiła, że jakiś pacjent pani Laury popełnił morderstwo, że są podejrzenia co do jej kwalifikacji, że jest jakieś śledztwo dziennikarskie… Ale cóż, w tym czasie pani Miller była już na urlopie, a zaraz potem przysłała wymówienie z pracy. Jeszcze raz obejrzałam kopię jej dokumentów, które u nas zostały. Wszystko się zgadzało.

– Przecież przyłapała ją pani na kłamstwie. Powiedziała, że nie pracowała w Nowej Zelandii – mówię.

– Wystarczy kliknąć w internecie „Laura Monroe” i ma pani całą historię skandalu w Nowej Zelandii ze zdjęciem waszej pani ordynator. Jej nagłe odejście od was było bardzo podejrzane. Wystarczyłby telefon do Okręgowej Izby Lekarskiej i przekonałaby się pani, że zaświadczenie o specjalizacji jest sfałszowane. Nie złożyła pani żadnego doniesienia? Przecież ona może nadal udawać gdzieś psychiatrę.

Dyrektorka nie podziela mojego niepokoju: – My nie jesteśmy od prowadzenia śledztwa. Pani Miller już u nas nie

pracuje. Dla nas sprawa jest zamknięta.

Leslie Parr został uznany za niewinnego: zamordował Fionę Maulolo w stanie niepoczytalności. Trafił do kolejnego szpitala psychiatrycznego. W 1999 roku pojechał na przepustkę do matki. Położył się na torach kolejowych i o mało nie został przejechany przez pociąg.

Skandal z doktor Monroe wstrząsnął opinią publiczną Nowej Zelandii i ujawnił dziury w systemie weryfikacji psychiatrów. Tamtejsza prasa rozpisywała się o tym przez kilka lat. Gdyby dzisiaj Laura pojawiła się w Nowej Zelandii, zostałaby aresztowana. Od tej historii zaostrzono środki ostrożności przy zatrudnianiu cudzoziemców nawet z tak deficytową specjalizacją.

Ale nie wszyscy, którzy znali Laurę w Nowej Zelandii, wspominają ją źle. Jeden z jej tamtejszych pacjentów – dwudziestodwuletni Andrew Murdoch – powiedział dziennikarzom: „Odwróciła moje życie o 180 stopni. Sprawiła, że rzuciłem narkotyki, alkohol, a nawet palenie. Dzięki niej dostałem pracę. Była wspaniałą, cudowną kobietą!".

Pod jej wrażeniem pozostała też konsultantka firmy, która sprzedawała Laurze kosmetyki: „Wysoka, smukła kobieta ze wspaniałymi nogami. Miała świetną figurę i pięknie chodziła”.

– Ukradła mi mój prywatny stetoskop! – wybucha natomiast na wspomnienie ekscentrycznej lekarki pani C. ze Śródmieścia w Warszawie, u której Laura i Richard zatrzymali się, nim znaleźli mieszkanie u pana Cz. –

Twierdziła, że mieszkają na stałe w Krakowie. Czekała tu na futra, które miały przyjechać z Niemiec, gdzie były podobno przechowywane w specjalnych lodówkach.

Jest początek roku 2005. Ciągle szukam Laury, chcąc poznać jej wersję.

Dozorczyni domu, w którym mieszka pani C., powiedziała mi, że niedawno kilka razy ją widziała z daleka na poczcie i na przystanku tramwajowym w samym centrum Warszawy. Umieściłam tę informację w moim pierwszym reportażu o Laurze, który ukazał się w marcu 2005.

CZĘŚĆ 2

Warszawa, lipiec 2005

Poczta w centrum miasta. Urzędniczka zastyga na widok rudowłosej kobiety w okienku, obok której snuje się, jak zwykle, niski mężczyzna z włosami ufarbowanymi na kasztanowo.

Koleżanki z tyłu już się zorientowały, już ktoś dzwoni. Jak przytrzymać dziesięć minut przy okienku kogoś, kto wpadł tylko odebrać list na poste restante – nowy regulamin dać do przeczytania, podpis, długopis nie pisze… Wreszcie są policjanci.

– Czy pani Miller? Jest pani aresztowana.

Kędzierzawy mężczyzna odsuwa się bez słowa.

Kobieta również bez słowa wsiada do policyjnego wozu.

Kwadrans później wchodzi do pokoju naczelnik Wiesławy Bonk w komisariacie Praga Północ swobodnie jak do kawiarni. Uśmiech, zmysłowy niski głos:

– Ooo, pani kapitan Bonk, nieprawdaż? Świetnie pani kapitan wygląda.

– Pani Laura. Czekam tu na panią pięć lat.

Marzec 2005

Kilka dni po publikacji pierwszego artykułu o Laurze otrzymuję telefon od policji i zaproszenie na komisariat na warszawskiej Pradze Północ – słynny,,dołek na Cyryla", obsługujący najczarniejszy rewir stolicy. Wita mnie naczelnik Wiesława Bonk, energiczna blondynka w starannym makijażu, na wysokich szpilkach:

– Siostra mi mówi:,,Co ja czytałam! Co za historia! Odłożę ci". Ja czytam i ciarki mnie przechodzą: przecież to o naszej pani Laurze. Toż ja jej szukam od pięciu lat! – opowiada ucieszona.

Dzięki niej stopniowo uzupełniam brakujące elementy życiorysu Laury między 1997, gdy opuściła Nowa Zelandię, a 2003, gdy podjęła pracę w Tworkach.

Pierwszy raz Laura pojawiła się w gabinecie naczelnik Bonk w 2000 roku. Posługiwała się wtedy nazwiskiem Bell. Powodem jej wezwania były dwa zażalenia.

Pierwsze pochodziło z PKO BP, któremu Laura nie spłaciła trzech tysięcy dwustu dziewięćdziesięciu złotych kredytu przyznanego na zakup biurka, łóżka i materaca w salonie meblowym przy ulicy Towarowej.

Drugi wniosek pochodził od Pekao SA, gdzie pani Bell otworzyła ROR, a następnie zrealizowała osiem czeków bez pokrycia na tysiąc osiemset złotych.

– Przyszła bez stanika! – wspomina Wiesława Bonk. – Biust jej jalował pod bluzką tak ładnie, w ogóle nieopadnięty był. Nie mogłam wyjść z podziwu. Przecież to kobieta po pięćdziesiątce.

Niestety, właścicielka ładnego biustu nie chciała zeznawać:,,Co pani sobie myśli!",,,Jak pani śmie!" oraz,,Ja jestem lekarzem!".

Coś się nie zgadzało z jej dowodem osobistym. Naczelnik Bonk postanowiła zatrzymać ją na czterdzieści osiem godzin.

– I wtedy się zaczęło – wspomina. – Pani Laura jak nie zacznie mdleć, jak nie zacznie wyliczać swoich niezliczonych chorób, w tym raka. Lekarz ją jednak przebadał i stwierdził, że nic się jej nie stanie, jeśli przenocuje w areszcie. Na drugi dzień odwiedził ją taki niewysoki kędzierzawy człowieczek, jej mąż. Mówił tylko po angielsku. Ona zwracała się do niego jak do dziecka.

Kiedy Laura siedziała w celi, prascy policjanci przeszukali jej mieszkanie. Znaleźli podejrzane pieczątki na różne nazwiska i specjalizacje lekarskie, opieczętowane in blanco formularze zaświadczeń, wysokiej klasy komputer z programem, który prawdopodobnie służył do fabrykowania dokumentów.

W tym czasie jednak minęło czterdzieści osiem godzin, a ponieważ sąd zamiast aresztu zarządził dla Laury tylko dozór, zatrzymana opuściła celę z nakazem meldowania się u naczelnik Bonk raz w tygodniu.

Po jej wyjściu policja ustaliła, że na przykład pieczątka z napisem „Laura Bell – psychiatra” była nieprawdziwa. Okazało się również, że Laura sfałszowała zaświadczenie o zatrudnieniu w klinice MSW, na podstawie którego dostała kredyt.

Niestety, nie można było poprosić Laury o wyjaśnienia, ponieważ nie pojawiła się ani razu na dozorze.

Tak trafiła do rejestru osób poszukiwanych.

Marzec 2005

Wydawało mi się, że kiedy dr Janiszewska przeczyta, że chorzy psychicznie w jej szpitalu byli przez rok leczeni przez zwykłego internistę, sprawdzi moje ustalenia, a następnie złoży doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Byłam jednak w błędzie.

– Zawiadamiać prokuraturę! Niby na podstawie pani artykułu? – wyśmiewa mnie wicedyrektor.

– Na podstawie chociażby telefonu do izby lekarskiej, gdzie potwierdzą pani, że dr Miller nie jest psychiatrą.

– Nie będę nigdzie dzwonić. Jeszcze raz powtarzam, podczas pracy u nas nigdy nie było do pani Laury żadnych zastrzeżeń.

Kwiecień 2005

Otrzymuję list:

Zaskakujący jest dla nas zawarty w pani artykule komentarz dr Małgorzaty Janiszewskiej: „Nigdy nie było do niej zastrzeżeń”. (…)

Zastrzeżenia do profesjonalności pani Miller były niejednokrotnie zgłaszane do Dyrekcji szpitala. Niestety,

były ignorowane i zbywane milczeniem. Akceptacja poczynań pani Miller była dla nas zupełnie niezrozumiała /…). Nasze stanowisko przedstawiamy z pewnym opóźnieniem od daty ukazania się artykułu, gdyż próbowaliśmy „wewnętrznie" wyjaśnić sprawę pani Miller i skłonić Dyrekcję do wyjaśnienia stanowiska w sprawie. Ponieważ nie uzyskaliśmy satysfakcjonujących nas wyjaśnień, prosimy o opublikowanie naszego stanowiska.

List podpisało dziewięcioro lekarzy z Tworek.

Umawiam się z nimi na spotkanie. Na prośbę lekarzy zmieniam ich nazwiska.

– Łatwiej udawać psychiatrę niż chirurga, ale drugiego psychiatry jednak się nie oszuka. Pod warunkiem że ten psychiatra nie zamyka oczu – mówi dr Ewa Znak.

– Najpierw zwróciliśmy uwagę na wypowiedzi dr Miller na zebraniach. Dużo słów, mało treści – rozwlekły popis na temat jakiegoś szczegółu. Z drugiej strony w sytuacji, gdy trzeba było szybko w wąskim gronie podjąć jakąś decyzję medyczną, ona potrafiła w ogóle nie zabrać głosu.

Kiedyś nie przyjęła na oddział człowieka, który zgłosił się w ostrej psychozie. Nie widziała wskazań.

Innym razem u pobudzonego mężczyzny, ewidentnie w fazie maniakalnej, którego policja przyprowadziła do nas w kajdankach, rozpoznała depresję. Ten pacjent w przeszłości rzeczywiście leczył się u nas na depresję. Po prostu przepisała mu do karty starą diagnozę.

Okazuje się, żeby sprawdzić, czy lekarz ma określoną specjalizację, nie trzeba nawet dzwonić do Okręgowej Izby

Lekarskiej. Wystarczy kliknąć w internecie na jego kod identyfikacyjny. Przy nazwisku Laury pojawia się wtedy słowo – internista.

To właśnie kliknięcie wykonali jej koledzy. Donieśli o tym dr Janiszewskiej.

– Po kilku dniach odbyło się zebranie z udziałem Andrzeja Kacprzaka, ówczesnego dyrektora szpitala. Dyrektor oświadczył, że wiarygodność dr Miller została sprawdzona, i kazał nawet jednej z koleżanek przeprosić panią Miller za – jak to nazwał – „szkalowanie doskonałego psychiatry" – mówi dr Katarzyna Lipiec.

Wkrótce Laura Miller została awansowana na p.o. ordynatora oddziału psychogeriatrii.

– Owszem, były plotki, że pani Miller nie jest psychiatrą. Poprosiłem więc panią Janiszewską, żeby to sprawdziła. I ona powiedziała, że sprawdziła – Andrzej Kacprzak traktuje całą sprawę ze znudzeniem.

– Nie poczuwam się do żadnej odpowiedzialności. Ja podpisuję angaż, a resztę załatwiają kadry. Nie daję poleceń, żeby sprawdzać wszystko. Poza tym ja już nie pracuję w Tworkach. To nie moja sprawa.

Andrzej Kacprzak przeniósł się kilka przecznic dalej, jest teraz dyrektorem powiatowego szpitala w Pruszkowie.

– I w tym szpitalu nadal pan nie wymaga sprawdzania wiarygodności dokumentów swoich lekarzy? - pytam.

– Nie i nie zamierzam. Ja wierzę ludziom i dokumentom.

– I nadal będzie pan wierzył?

– No pewnie.

Kwiecień 2005

Telefon do redakcji:

– Jestem czytelniczką „Gazety”. Czy pani wie, że w 2000 roku Laura Miller pracowała w Warszawie w wojewódzkiej komisji orzekania o stopniu niepełnosprawności, która decyduje o różnych przywilejach? Ja byłam tam psychologiem, ona internistą. Pani Laura na wywiad z pacjentem przeznaczała nie więcej niż pięć minut i zwykle orzekała na jego korzyść, nawet gdy przychodzili ewidentni naciągacze. Do głowy by mi nie przyszło, że jest transseksualistą ani że ma pięćdziesiąt lat. Wyglądała bardzo atrakcyjnie. Trochę za bardzo obwieszała się złotem, chociaż czy to naprawdę było złoto? Uwielbiała się przechwalać, że jej mąż jest bogatym amerykańskim Żydem, a ona pracuje tu tylko z nudów. Lubiła rzucić mimochodem: – Ach, chyba skoczę na dzień do Paryża kupić sobie buty. A jak otwierała portfel, to zawsze tak, żeby było widać złote karty kredytowe.

Miałam jednak wątpliwości, czy rzeczywiście jest bogata. Zawsze zgłaszała się na dodatkowe dyżury. Każde sto złotych było dla niej ważne.

Kolejny telefon:

– Tu Wiesława Bonk. Byłam na tej poczcie, o której pani pisała. Naczelnik ma do mnie zadzwonić, gdy tylko Laura się tam pokaże.

– O ile nie wyjedzie za granicę.

– Nie wyjedzie!

– Skąd pani wie?

– Sprawdziłam. Okazało się, że wtedy, w 2000 roku, po tym, jak trafiła do nas, zatrzymano jej paszport.

– Muszę panią zmartwić. Ona przez cały 2001 rok pracowała w USA.

– Co pani powie! – komisarz Bonk jest wyraźnie stropiona. – To jest właśnie cała doktor Laura. Nie ma paszportu i wyjeżdża! Mogłoby się wydawać, że lekarz, osoba na jakimś poziomie…

O tym, że Laura Bell vel Miller vel Monroe opuściła Polskę bez paszportu, dowiedziałam się z nowozelandzkiej prasy w internecie. Dziennik,,The Dominion" z Wellington 3 stycznia 2002 roku cytuje za jednym z amerykańskich dzienników lokalnych, że Laura znajduje się aktualnie w areszcie amerykańskiego urzędu imigracyjnego po zatrzymaniu za kradzież w sklepie spożywczym.

Gazeta podaje, że od stycznia do maja 2001 Laura pracowała w szpitalu dla osób uzależnionych w stanie New Hampshire. Kierowała nowo przyjętych pacjentów do odpowiednich oddziałów. Musiała odejść, kiedy zewnętrzna kontrola ujawniła, że nie jest zarejestrowana jako pielęgniarka, co jest tam koniecznym wymogiem. Nie wiadomo, dlaczego i ten szpital zatrudnił Laurę wbrew przepisom.

Jak zwykle u boku Laury pojawiał się jej mąż – nieśmiały kędzierzawy Richard, który podobnie jak żona posługuje się czasem nazwiskiem Monroe, czasem Miller, a czasem Bell. Sąsiadom opowiadali, że Laura pracuje na uniwersytecie w Connecticut.

Z artykułu w,,The Dominion" wynikało, że Laura miała zostać szybko deportowana do Polski. Wszystko wskazuje więc na to, że na początku 2002 roku ponownie wylądowała w kraju.

Półtora roku później pracowała już w Tworkach.

Lekarze z Tworek wspominają kolejne przygody z Laurą:

– Kiedyś, gdy zraniła się w stopę i nie mogła włożyć buta, pożyczyła sobie bez pytania mój klapek i oddała dopiero, gdy zwróciłam jej uwagę.

– Potrafiła z pokoju lekarskiego cały talerz z kanapkami owiniętymi folią wpakować do torby i zabrać do domu. Po jej dyżurach znikały też ręczniki.

– Dyrekcja niezwykle ją hołubiła. Nie podobały jej się stare okna, zostały wymienione. Nie podobały się jej meble, zostały zmienione.

– Do naszych gabinetów nikt nigdy nie zamówił nowych mebli!

– Jej obchód to było całe widowisko. Głaskanie pacjentów po rękach, do każdego się przymilała, jak się pani miewa, wszystko będzie dobrze, uśmiechy.

– Co nie przeszkadzało jej po wyjściu pacjentki z gabinetu ostentacyjnie wyjmować dezodorantu i odświeżać powietrza, wzdychając niby z omdlenia.

Kiedy doktor Katarzyna Lipiec dowiedziała się, że ma zostać asystentką nowo powołanej ordynator Miller, ręce jej opadły. Pracę z Laurą opisuje tak: – Oglądam kartę pacjenta. Widzę, że ordynator przepisała nadpobudliwej staruszce z nadciśnieniem silny środek pobudzający.

Skreślam to zalecenie i wpisuję inny lek. Po paru godzinach zaglądam do karty – moja dyspozycja jest skreślona, wraca lek dr Miller.

Znowu skreślam i wpisuję swój. Następnej poprawki już nie ma.

Zwykle nie upierała się długo przy swoim. To, jakie przepisywała leki i w jakich dawkach, świadczyło o tym, że być może jest lekarzem, ale na pewno nie psychiatrą. Kiedyś o mało nie doszło do tragedii, gdy pacjentka po zbyt silnej dawce leku uspokajającego spała trzy dni.

Zdarzało się też, że doktor mówiła rodzinie pacjenta, że przydałyby się mu drogie leki, które powinni zdobyć na własną rękę. Ludzie kupowali te leki i oddawali pani Laurze. Ale z kart pacjentów wynika, że nie zostały im podane.

Po kilku miesiącach wzajemnego poprawiania sobie zaleceń ordynator Laura zrobiła swojej asystentce pod jakimś pretekstem upokarzającą awanturę w obecności pielęgniarek.

– Nic jej nie odpowiedziałam. Nie mogę sobie tego do dziś wybaczyć. To była strasznie dominująca osobowość – mówi Katarzyna Lipiec. – Poszłam do dr Janiszewskiej i powiedziałam, że już nie mogę. Powiedziałam o znikających lekach, o złych dawkach. Usłyszałam, że dr Miller jest najlepszym lekarzem, że amerykańska psychiatria różni się od polskiej i że jak mi się nie podoba, to mogę odejść. No to odeszłam.

– Bo to prawda, że amerykańska psychiatria różni się od naszej! – potwierdza swoje słowa dr Janiszewska.

– A zna pani psychiatrię amerykańską? – pytam.

– Nie znam.

Można by przypuszczać, że wicedyrektor Janiszewska i dyrektor Kacprzak chronią Laurę ze względu na jakieś ciemne interesy. Ale w takiej sytuacji musieliby chyba należeć do międzynarodowej mafii, obejmującej także dyrekcję dwóch szpitali psychiatrycznych w Nowej Zelandii.

Tam również Laura została zatrudniona na podstawie dossier zawierającego prawie same kłamstwa, i to takie, które można zdemaskować jednym kliknięciem. Klinika Bell-Grollman Medical Associates, w której Laura rzekomo pracowała piętnaście lat, w ogóle nie istnieje, a o tym, że pani doktor nie należy do Stowarzyszenia Psychiatrów Amerykańskich, można się było przekonać, czytając listę członków tego stowarzyszenia.

Badanie granic ludzkiej naiwności najwyraźniej Laurę podnieca.

Po dziesięciu miesiącach miała w Nowej Zelandii już taką pozycję, że drugi szpital zaproponował jej od razu stanowisko ordynatora psychiatrii.

I tam – podobnie jak w Tworkach – szefowie byli zachwyceni, a koledzy czuli pismo nosem. Nie mogli zaakceptować jej hałaśliwego i dominującego sposobu bycia, natrętnej gadatliwości, niestosownego ubioru i makijażu.

Nigdy nie robiła notatek na temat pacjentów, jej instrukcje dla podwładnych były bardzo niekonkretne, za to robiła wokół siebie przesadne zamieszanie. Koledzy uważali, że w ten sposób próbuje ukryć brak kompetencji.

Postanowili ją sprawdzić. Dwa dni zajęło im ustalenie, że prawie całe dossier Laury Monroe to lipa.

I znowu powiadomiono o tym dyrekcję, a ta orzekła, że wszystko jest w porządku. W mailowym okólniku do pracowników szpitala koledzy Laury zostali skrytykowani za kwestionowanie jej wiarygodności.

Dopiero kiedy wybuchła sprawa Parra, dyrekcja szpitala zatrudniła prywatnego detektywa, żeby zbadał przeszłość pani doktor. Ten potwierdził ustalenia lekarzy i dodał do nich, że żadna z pozostałych instytucji, w których Monroe rzekomo pracowała w USA, nigdy o niej nie słyszała. Słyszał o niej za to amerykański wymiar sprawiedliwości. W 1995 roku Laura dostała wyrok w zawieszeniu za kradzież w domu towarowym. Kilka osób wciąż ją tam ściga za niezapłacone długi.

Lipiec 2005

Telefon do redakcji:

– Tu Wiesława Bonk. Aresztowaliśmy Laurę!

Tym razem już nie ucieknie. Sąd zarządził wobec niej areszt do rozprawy. Będzie odpowiadać za wprowadzanie w błąd w celu osiągnięcia korzyści majątkowych, wyłudzenie stosunku pracy i posługiwanie się fałszywymi dokumentami. Grozi za to do ośmiu lat. Przypuszczalnie dostanie „zawiasy”.

– Znowu były cyrki z chorobami, znowu ją musiał badać lekarz – opowiada naczelnik Bonk. – Ale była grzeczna. Próbowała mi tylko kadzić i ciągle mnie „awansowała” na kapitana. Przyznała się do tych fałszerstw. Powiedziała, że czasy ciężkie i trudno o pracę.

– A jak wygląda?

– No, ten biust nadal ładny… Ale powiem pani, że teraz, kiedy wiem, że jest sztuczny, to nie robi już takiego wrażenia.

Czekam na Laurę w bufecie aresztu śledczego na Olszynce Grochowskiej. Wokół chłopaki z Pragi przyjmują swoje narzeczone i mamy. Upał. Pachnie wafelkami z czekoladą i ciepłą colą.

W drzwiach w towarzystwie policjantki staje kobieta o jaskraworudych włosach związanych gumką. Rozgląda się zdezorientowana po sali, napotyka mój uśmiech, odwzajemnia go ostrożnie.

Jest niby dokładnie taka jak na znanych mi niezbyt atrakcyjnych zdjęciach, ale z jej twarzy bije coś bardzo ciepłego, czego na fotografii nie widać.

Ściskam jak najwolniej chłodną dłoń, jak najszybciej notując w pamięci szczegóły: dziwnie gładką cerę bez zmarszczek, cienko narysowane kreski zamiast brwi, resztkę dżemu ze śniadania na policzku, niepokój w oczach.

– Kim pani jest?

– Jestem autorką tamtego artykułu.

– Przepraszam, ale nie będę z panią rozmawiać. Proszę mnie wyprowadzić.

Czerwiec 2005

Telefon do redakcji:

– Okazuje się, że jak lekarz jest nieprzyjemny i niedostępny, to jest prawdziwy, jak jest miły i kontaktowy, to hochsztapler – mówi pani M. – Moja mama choruje od lat na ciężką depresję. Leczyła się w Tworkach za czasów Laury oraz poprzedniej ordynator psychogeriatrii. Tamta była wiecznie zalatana, opryskliwa. Na oddziale był brud, ściany odrapane, pielęgniarki wiecznie siedziały w swoim pokoju przy kawie i ciastkach. Któregoś dnia wchodzę na oddział, a tam wszystko zmienione nie do poznania. Pielęgniarki uśmiechnięte krzątają się przy chorych. Wychodzi nowa pani ordynator – sama mi się przedstawia. Pierwszy raz spotkałam lekarza, który ma czas porozmawiać, wyznaje, że psychogeriatria to jego pasja, że nie sztuka nafaszerować człowieka lekami, że najważniejsze jest indywidualne podejście… Razem z nią na psychogeriatrii pojawiły się nowe okna i meble, ściany zostały odmalowane. Powiedziała mi: – To był mój warunek. Zgodziłam się zostać ordynatorem, tylko jeśli zrobi się tu remont.

– A pomogła pani mamie? – pytam.

– Nie. Ale przynajmniej wykazywała bardzo duże zainteresowanie. Wypytywała mnie o przeszłość, podejrzewała, że mama nosi w sobie ukrytą traumę. Żeby ją odkryć, zaprosiła nawet na rozmowę jej siostrę.

Z poprzednią panią ordynator trzeba się było umawiać z kilkudniowym wyprzedzeniem, pani Miller potrafiła sama

zadzwonić do mnie, żeby porozmawiać o mamie. Czułam się z nią bezpieczniej.

Któregoś dnia dowiedziałam się, że odeszła. Okazało się, że razem z nią zniknęła cała dokumentacja choroby mamy. Teraz już wiem, że była oszustką.

Dla mnie skandalem jest to, że szpital nabrał wody w usta. Przecież wielu pacjentów opuściło szpital z zaleceniami i receptami wydanymi przez panią Laurę. Należałoby chyba to jakoś sprawdzić. Jej samej jednak bym w czambuł nie potępiła – na chwilę przywróciła mi wiarę w lekarzy.

Ale po tym pani reportażu znowu ją straciłam.

Reportaż powstał we współpracy z dziennikarzem śledczym Television New Zealand Chrisem Cooke'em oraz reporterką Janet Mclntyre.

Personalia głównej bohaterki (z obydwu wcieleń) i jej towarzysza zostały zmienione.

2005

Najbardziej kobieca profesja

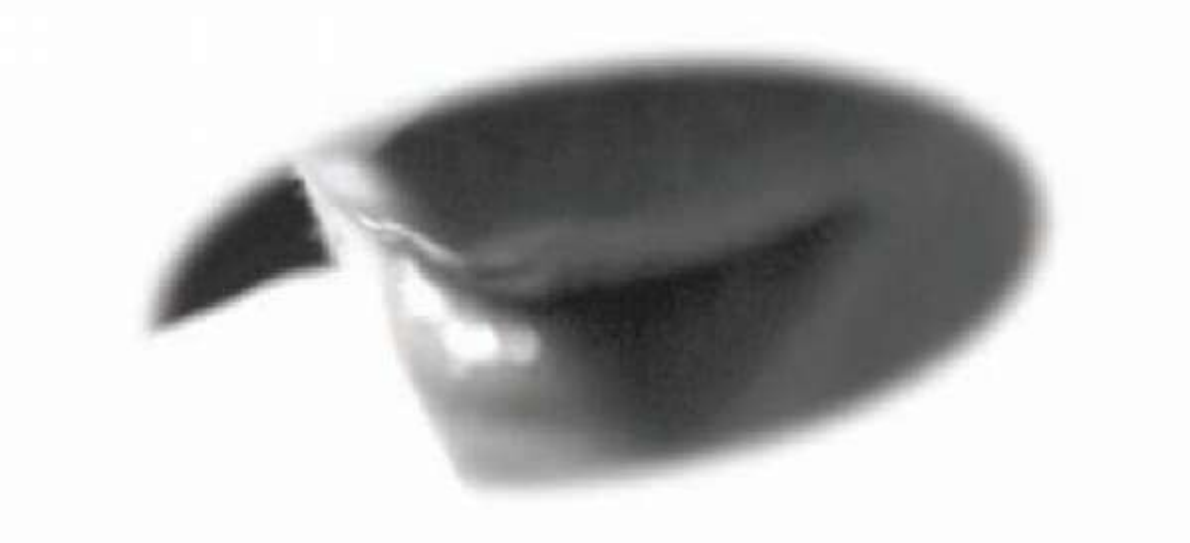

Godność

CAMERON

Cameron marzy o tym, by mieć normalny dom. Taki, w którym matka nie zarabia na ulicy, gdzie się nie pije. Ale kiedy to mówi, głos jej się łamie, bo jej własny dom rodzinny był właśnie taki normalny. Dom, z którego na ulicę uciekła.

Łatwiej jest jej powiedzieć, czego się w życiu najbardziej boi.

Boi się sprawy. Sprawa czeka ją wkrótce w sądzie. Kiedyś Cameron została napadnięta. Okradł ją i pobił znajomy z ulicy. Zgłosiła to policji, wskazała sprawcę na okazaniu i chłopaka zamknięto. Potem jego kumple postraszyli ją pocięciem twarzy i Cameron stchórzyła. Odwołała zeznania, powiedziała, że wskazała niewinnego człowieka. Wtedy ów „niewinny” oskarżył ją, że przez jej fałszywe zeznania spędził dwa tygodnie w areszcie.

Teraz Cameron ma dwa wyjścia – może na sprawie nadal bronić przestępcy. Za fałszywe zeznania dostanie zawiasy i wtedy na ulicy nie trzeba będzie bać się bardziej niż zwykle. A to bardzo wiele.

Może też powiedzieć, jak było, że została zastraszona. I nigdy nikomu nie dać się już zastraszyć ani upokorzyć.

Narzeczony Cameron namawia ją, żeby wybrała drugie wyjście.

PAMELA

Dla Pameli największym poniżeniem jest, kiedy wchodzi z mężem i dziećmi do kościoła, a tu idzie klient z żoną i mówi jej głośno: dzień dobry.

To dzień dobry jest jak policzek, jak krzyknięcie na cały kościół – ona jest prostytutką!

A mąż pyta wtedy cicho: – Klient, tak?

I pół niedzieli zepsute.

– Ciekawe, co ta żona na to, że mąż kłania się obcej kobiecie – myśli Pamela.

– Pewnie mówi jej, że to koleżanka z biura.

Nie, raczej, że sprzątaczka.

PAMELA: UCIECZKA

Ojciec Pameli, alkoholik, zanim zniknął na dobre za kratkami, bił i wyzywał matkę. Mieszkali w czwórkę w jednym pokoju. Zamiast łazienki była miska przy zlewie. Starsza siostra wyszła na ulicę, gdy miała szesnaście lat, Pamela, gdy miała piętnaście.

Matka odradzała: – To ciężki chleb, lepiej skończ podstawówkę.

Ale Pamela nie słuchała.

W jej klasie były dziewczyny z dobrych domów, które miały nowe ubrania i podręczniki. I były takie jak Pamela – w bluzkach z kościoła, z pomazanymi książkami. Te biedne,

żeby kupić sobie to, co tamte miały za darmo, wychodziły na ulicę. Według Pameli bogata dziewczyna nie wyjdzie na ulicę, chyba że nimfomanka.

Świat dziewczyn z ulicy wydał się Pameli fascynujący. Był luksusowy i dostępny.

Pierwszy klient był przystojny i męski. Wróciła z usługi zakochana. Rok później koleżanka namówiła ją na wyjazd do Berlina, gdzie jej facet, Arab, prowadził agencję towarzyską.

Miało być pół na pół, nie było nic. Trzeba było pracować noc czy dzień, grypa nie grypa, okres nie okres. Piętnastu klientów na dobę. I jeszcze nękanie psychiczne: „Musisz, bo jesteś kurwą. Nie odzywaj się, bo jesteś kurwą”. Zamiast snu – półsen, bo w każdej chwili, nawet o czwartej rano, może zadzwonić telefon.

Udało jej się uciec. Kiedyś zawieziono ją do klienta – lekarza, który znał polski. Zaczął z nią rozmawiać. Rozpłakała się, powiedziała mu, że jest więziona. Wsadził ją do samochodu i zawiózł na granicę.

Po kilku dniach była z powrotem w domu.

Po kilku miesiącach znowu wyszła na ulicę.

Po półtora roku znowu wyjechała do Niemiec.

CAMERON: BLIZNA

Tego dnia, gdy wieczorem stała się prostytutką, rano jeszcze nie wiedziała, co to słowo znaczy. Wsiadła sama do pociągu i pojechała do dalekiego miasta, gdzie znała jedną koleżankę, która to robiła.

W domu nie mówiło się o seksie. Rodzice wychowywali je pod pełną kontrolą, wybierali zainteresowania, szkołę, za kilkuminutowe spóźnienie były karane. Cameron uważa, że matka jej nie cierpiała.

Zostawiła rodziców i grób swojej siostry, zgwałconej – tak jak ona – przez psychopatycznego sąsiada.

Narzeczony Cameron rozumie to, że ona tak po prostu z ulicy nie zejdzie. Mimo że on ma pracę, mimo że mają mieszkanko. Cameron twierdzi, że praca prostytutki ją upokarza, ale przyzwyczajenie jest bardzo silne. Od czasu do czasu próbuje znaleźć inną pracę. Raz dała ogłoszenie, że najmie się jako sprzątaczka. Dostała propozycję – sprzątanie plus usługi seksualne. Drugi raz szukano sprzątaczki w restauracji, gdzie jej narzeczony jest kelnerem. Na to on się nie zgodził.

Ma obsesję, że każdy człowiek w ich mieście mógł być klientem Cameron.

Boi się, że kiedy ona i taki klient spotkają się w restauracji, wtedy to się w jakiś sposób okaże.

Boi się, że będzie musiał usłużyć mężczyźnie, który spał z jego kobietą.

Cameron zarobione pieniądze wydaje na rzeczy niezauważalne. Na opłaty i jedzenie. Resztę odkłada na konto. On nie pyta, co się dzieje z pieniędzmi.

Gdy Cameron wraca w nocy do domu, czeka na nią herbata i ciepłe łóżko. Gdy stoi na ulicy, on wysyła SMS-y:,,Nie zmarznij mi, Misiaczku".

PAMELA: DOWCIPNISIE I FRUSTRACI

Drugi wyjazd Pameli do Niemiec okazał się pomyślny. Spędziła tam dwa świetne lata razem z dwiema koleżankami. Alfonsowi płaciły tylko za mieszkanie. To, co zarobiły, miały dla siebie. Każda miała swój pokój z łazienką. Każda w pokoju miała telefon z innym numerem. Chciały pracować – pracowały, nie miały ochoty, to szły do wesołego miasteczka. Żyły na luzie – pięciu klientów dziennie to góra. Po dwóch latach wróciła. Alfons musiał sprzedać dom, coś mu się posypało, wspólnik się powiesił, najlepsza dziewczyna się zakochała i odeszła z biznesu.

Po powrocie do Polski wydawała pieniądze na prawo i lewo. Kiedy się skończyły, poszła do pracy w pralni chemicznej. Za miesiąc dostawała tyle, ile przyzwyczaiła się zarabiać przez kilka dni. Nie mogła się przestawić. Zresztą i tak ją zwolnili.

Wyszła za mąż, urodziła córkę, dwa lata później syna. Kiedy mąż stracił pracę w agencji ochroniarskiej, wróciła na ulicę.

Mówi, że ten zawód jest taki sam jak każdy inny, jak hydraulik na przykład. Tylko Polska nie umie jeszcze tego zrozumieć.

Praca nie zawsze jest uciążliwa. Trafiają się klienci, którzy chcą tylko pogadać. Opowiadają jej o żonach, które myślą tylko o pieniądzach, o dzieciach, które ich nie szanują, o teściowych, które włażą z butami w ich życie.

Pamela słucha cierpliwie i tłumaczy: – Porozmawiaj z nią, najważniejsze to ze sobą rozmawiać.

Prawie wszyscy są żonaci, co widać po obrączce albo po śladzie po obrączce. Zdarza się, że klient nagle zdejmuje obrączkę w trakcie usługi. Dziwne.

Niektórzy potrafią na koniec dorzucić banknot, niektórzy biorą numer telefonu i wracają. Dziewczyny są koleżeńskie, pilnują się nawzajem. Jak jedna wsiada do samochodu, to druga zapamiętuje numer rejestracyjny.

Częściej jednak jest ciężko. Klient ponacina dla zabawy gardło i policzki albo przystawi broń do skroni, bo go to podnieca. Albo zostawi samą w lesie w nocy, bo nie chce mu się jej odwozić. Kiedyś dowcipniś zawiózł Pamelę do centrum miasta i kazał się rozbierać w samochodzie. Rozebrała się, a ten ciuchy bach przez okno i każe wysiadać. Nigdy bardziej się nie wstydziła.

Dlatego najbezpieczniej pracuje się w bramach, bo wtedy dziewczyny widzą się wzajemnie, wiedzą, gdzie i z kim która poszła.

Najgorsi klienci to młodzi, uchachani, co podjeżdżają wozem we dwóch, trzech.

Szybkę odkręcą: – Po ile lacha? Sto?! A może pięćdziesiąt?

Pamela wie, że klienta trzeba szanować, ale czasem ją poniesie. – Za pięćdziesiąt to se sam zrób – odwinie się.

Pameli praca nie sprawia żadnej przyjemności. Powiedziała mężowi, że dotąd to będzie robić, aż dorobią się własnego mieszkania, bo na razie wynajmują.

Albo dopóki on nie znajdzie pracy. On się zgodził. Nie jest zazdrosny. Wyobraża sobie, że ona wychodzi wieczorem, bo

pracuje jako barmanka. W taką wersję wierzy też jego ojciec.

Chociaż Pamela uważa, że to zawód jak każdy inny, to jednak nie chce, żeby jej dzieci wiedziały, co robiła.

Prostytutką jest tylko w nocy. W dzień jest matką. Noc to noc, a dzień to dzień.

Dlatego tak ją boli, gdy klient w dzień mówi,,dzień dobry". Nie mógłby tylko jakoś spojrzeć? Byłoby tak, jakby się przywitał. Po co zaraz mówić. Taki człowiek chce po prostu zwrócić na siebie uwagę. W nocy powie jej:,,Ej ty, kurwo, cienka byłaś", a w dzień,,dzień dobry".

W nocy Pamela ma blond perukę w loki, ostry makijaż, różową sukienkę, której nigdy nie wkłada na inne okazje.

Wszystkiego ma dwa komplety: dwie kurtki na zimę, dwa szaliki, dwa komplety bielizny.

Wieczorem, gdy dzieci śpią, przebiera się w kuchni, żeby mąż nie widział. Wraca w nocy, zmywa makijaż i kładzie się obok niego. Nigdy o tym nie rozmawiają. Mąż też człowiek i ma swoje uczucia. On mówi, że to mu się odbija na psychice, ale ona mu tłumaczy, że tak trzeba. Bardzo go kocha. Wspierają się nawzajem.

CAMERON: STRACH

Jest jedna rzecz, której nigdy nie zrobi. Nie zapłaci alfonsowi. Jak już być prostytutką, to szanującą się. Ona takiemu, co na czyjejś dupie się ślizga i myśli, że jak w więzieniu siedział, to już jest kimś, grosza nie da. Szanująca się prostytutka pracuje na własny rachunek.

Jest strach, ale strach ma wielkie oczy. Alfons podchodzi, proponuje opiekę – trzeba go olać. Wraca i grozi, to trzeba jemu pogrozić policją. Na osiemdziesiąt procent da wtedy spokój. Pójdzie straszyć inną, głupszą.

Cameron ma nadzieję, że na sprawie też nie stchórzy. Prokuratorka jej powiedziała: – Co mi pani teraz za bzdury wciska, że to nie ten, jak na okazaniu na pięciu figurantów czterej to byli policjanci, a pani bez zastanowienia wskazała piątego!

Jeśli powie prawdę, na ulicę już nie będzie miała powrotu.

To będzie jak zaszycie.

Bo ulica jest jak nałóg.

Cameron siedzi w domu, sprząta i nagle zaczyna ją nosić. Nałóg szybkiego zarabiania pieniędzy? Na pewno, ale gdyby ktoś jej wręczył dwieście złotych i powiedział: „Dzisiaj nie wychodź”, to nie przestałoby jej nosić. I tak by wyszła. Dowiedzieć się, co słychać na ulicy, pooddychać tym powietrzem, pobawić się. Lubi się podobać. Nie ma przecież bardziej kobiecego zawodu.

Podjedzie frajer, zapyta: – Po ile laska?

– Sto trzydzieści – ona rzuci obojętnie, celowo zawyżając cenę. Frajer odjedzie. Cameron będzie obserwować, jak wolno objeżdża trotuar, oglądając inne dziewczyny. I w końcu wróci do niej.

– To ile? – zapyta jeszcze raz.

– Sto pięćdziesiąt – uśmiechnie się Cameron.

A on powie: – Wskakuj.

I właśnie z tego najtrudniej się wyleczyć.
Zmieniłam imiona bohaterek.
2004

Ultrafiolet

Jakie wybierze Pani sobie imię?

Niech będzie Ewa. Krótkie, popularne.

Wszystko inne jest prawdą?

O niektórych rzeczach powiem po prostu ogólniej. Skończyłam wyższe studia humanistyczne, byłam kierowniczką w państwowej placówce opiekuńczej. Dobiegam trzydziestki, mam od wielu lat tego samego męża, dziecko, mamę, teściów.

Pamięta Pani dzień, kiedy została prostytutką?

To było cztery lata temu, jesień. Nakarmiłam dziecko, przewinęłam na noc, bo to już był wieczór, strzeliłam setkę dla odwagi, powiedziałam do męża coś w rodzaju:,,Będę późno" i wyszłam. Pod blokiem czekał w taksówce znajomy, który zawiózł mnie do agencji.

Dlaczego tak się stało?

Zasadniczo chodziło o pieniądze. Trzeba było zapłacić ratę. Ktoś mi zaczął grozić komornikiem… Bardzo się wystraszyłam. Ja byłam tak wychowana przez mamę, że rachunki trzeba płacić, żadnych zaległości. A tu tych zaległości nagle się tyle nazbierało.

Chciałam pożyczyć, ale nie było od kogo. Wpadłam więc na taki szatański pomysł.

A mąż?

Parę miesięcy wcześniej stracił pracę. Chodził po mieszkaniu i rozpaczał:,,Nic nie mamy, nigdy nic nie będziemy mieć, jeszcze te długi, co my zrobimy".

Postanowiła Pani wziąć sprawy w swoje ręce.

Moja matka zawsze mówiła, że biedy nie może być widać. W domu musi być porządne jedzenie, zacerowane dziury.

Rodzice byli biedni. Nawet po rozwodzie ojciec nadal mieszkał z nami, bo nie stać go było, żeby się wyprowadzić. Czasem płacił alimenty, czasem nie. Byłam gorzej ubrana niż koleżanki. Sama sobie ciuchy szyłam, doszywałam cekiny, malowałam buty. Zostałam hippiską, bo to styl tani, a fajnie się wygląda.

Była Pani kochana?

Chyba tak, ale o zainteresowanie musiałam się prosić. „Mamo, czy ładnie narysowałam? No, powiedz, czy ładnie. Tato, pobaw się ze mną”. Ojciec zamykał się we własnym świecie. Czasem opowiadał mi o muzyce, o kosmosie. To były te dobre momenty. Zwierzałam mu się wtedy ze swoich sekretów, ale on potrafił to potem wykorzystać przeciwko mnie. Nagle z filozofa zmieniał się w tyrana:,,Tego nie wolno, nigdzie nie wyjdziesz, ja wiem, co wy tam będziecie robić!"

Mama była zajęta walką z ojcem i budowaniem pozorów, że jesteśmy normalną rodziną. Bo z ojcem było coraz gorzej, wszczynał straszliwe awantury, zadręczał matkę,

bałyśmy się go obie. Kiedy miałam siedemnaście lat, dowiedziałam się, że od dawna jest ciężko chory. Kiedy miałam osiemnaście – umarł. Obwiniałam się o jego śmierć, bo mu jej życzyłam.

Jaki jest Pani mąż?

Przypomina ojca z lepszych lat. Jest naukowcem z głową w chmurach. To ktoś, o kogo musiałam zabiegać. Jeszcze przed ślubem zaszłam w ciążę. A on tak bardzo nie chciał tego dziecka, że, kurczę… trudno powiedzieć, że zmusił mnie do aborcji, ale tak to czułam.,,Jak my sobie damy radę?", ta jego wieczna asekuracja. Potem zaczęłam przekłuwać prezerwatywy. Miałam kalendarzyk rozpisany na owulacje i po chamsku przekłuwałam. Dwa lata. Taka byłam szczęśliwa, kiedy wreszcie się udało. Mąż spanikował, ale jak dziecko przyszło na świat, to się ucieszył i stał się nawet bardzo troskliwym ojcem.

Czyli wszystko zaczęło się układać…

Przez chwilę. Po porodzie szybko wróciłam do pracy, a tam okazało się, że brakuje pieniędzy państwowych i placówki opiekuńcze muszą teraz myśleć rynkowo. Przyszedł menedżer i zaczął wprowadzać dziwne porządki. Dzieci przygotowują prace na wystawę plastyczną – prace mają być takie a takie, na wtedy i wtedy. Czasem robiliśmy je sami, żeby się lepiej sprzedały.

Ale najgorsze, że zrobili mnie kierownikiem zespołu. Kompletnie nie potrafiłam szefować ludziom, z którymi wcześniej bawiłam się na imprezach. Zbierałam ochrzan od dyrekcji potworny. Do kierownictwa nie przynależałam,

a dla kolegów i tak już byłam obca. Wchodziłam do pokoju – rozmowa milkła. Impreza – ja nie jestem zaproszona. Koleżanki umawiają się na chodzenie po sklepach – ze mną już nie.

Uciekłam na wychowawczy. Siedziałam w domu i czułam, jak uchodzi ze mnie energia. Pozaciągaliśmy kredyty. Nawet jak mąż stracił pracę, nie mogłam się zmusić, żeby wrócić do swojej.

Wtedy już zaczęłam popijać.

Wcześniej Pani nie piła?

Piłam tak normalnie, balangowo… Ale teraz coś za dużo tego alkoholu się zrobiło.

Mąż wychodził szukać pracy. Czułam, że powinnam coś zrobić… I wtedy właśnie wpadłam na ten mój pomysł. Poznałam chłopaka geja, który pracował jako prostytutka, zaprzyjaźniliśmy się.

Zaraz, gdzie go Pani poznała?

Przez internet. Bo ja szukałam pracy w internecie. Najpierw grzecznie otwierałam ogłoszenia o pracę, a potem klik na czaty. Tam było o wiele ciekawiej. Wkrótce włączałam komputer tylko po to, żeby czatować. Tak poznałam tego geja.

Zaproponował, żeby się spotkać w realu. Zgodziłam się, bo nic właściwie się w moim życiu nie działo. On był dowcipny, pełen energii, rozmawiało się z nim fajniej niż z mężem – z nim już właściwie w ogóle nie rozmawiałam.

Ten chłopak zabrał mnie do klubu gejowskiego. Poznałam wesoły świat. Zaczęłam włóczyć się wieczorami, upijać na

całego.

A co z dzieckiem?

Mąż zostawał…

I co on na to?

Coś tam mówił, ale szczerze mówiąc… Kiedy dosyć wypiłam, to było tak, jakby nie mówił, tylko poruszał ustami. Można było pomachać rękami i znikał.

Dopiero rachunek za komórkę mi przypomniał, gdzie jestem.

I wtedy pojawił się szatański pomysł…

Najbardziej martwiłam się o to, czy ja sobie dam radę, czy się spodobam facetom, czy się nadaję. Mój przyjaciel gej powiedział, że jestem za wrażliwa:,,Tu trzeba mieć twardą dupę i twarde łokcie. To nie jest zawód dla kobiety". A ja na to: „Jeszcze się zdziwisz”.

No i stanęło na moim.

Poprosiłam, żeby mnie zawiózł w bezpieczne miejsce. To był rzeczywiście dobry klub. Najlepszy dowód, że mnie w końcu z niego wyrzucono.

Pierwsze wrażenie?

Ojej! Jak zobaczyłam te dziewczyny, takie piękne, paznokcie pomalowane, ciało opalone, błyszczące, włosy długie – jeszcze nie wiedziałam, że to są treski. Te buty na przezroczystych platformach, jak ze szkła. Wymiękłam, gdzie ja do nich, sierota zabiedzona. Kiedy zarobiłam pierwsze pieniądze, poleciałam do sklepu po elegancką bieliznę. Podpatrzyłam, jak koleżanka przykleja sobie tipsy. Nie wiedziałam, skąd się je bierze, więc kupiłam takie

najtańsze plastikowe paznokcie w kiosku Ruchu. Ale tak z czasem wyrabiałam się. Przefarbowałam włosy, kupiłam sobie treskę, najpierw krótką, żeby się za bardzo nie wyróżniać, potem dłuższą, bujniejszą, oprócz tego różową perukę, w której wygląda się jak manekin.

A pierwszego dnia jak się Pani ubrała?

Włożyłam taką, pożal się Boże, czarną koszulkę z satyny na ramiączkach. Wydawało mi się, że jest seksowna.

Ico?

I nic. Siedziałam w kącie i żaden klient nie zwrócił na mnie uwagi. Dopiero trzeciego dnia coś się ruszyło.

Jak to się odbywa?

Przychodzi klient, a my wszystkie kolejno schodzimy wolno po schodach,,na salon", eksponując nogi i buty na obcasie. Każda się stara, żeby klient wybrał właśnie ją. Leci seksowna muzyka, my siadamy na sofach, po kolei każda z nas podchodzi do rury i wykonuje swój taniec.

Ile ja miałam siniaków na początku! Cała noga zielona od obijania się po pręcie. Ale mi to nie przeszkadzało, nic a nic… Tam był ultrafiolet, a w ultrafiolecie ciało wygląda przepięknie. Żadnych blizn, cellulitisu, podpuchniętych oczu. A jeszcze gdy ciało jest wysmarowane połyskującym balsamem, powieki oklejone brokatem, to już w ogóle. I podstawa – opalenizna.

Muszę szczerze powiedzieć, że bardzo mi się tam spodobało. Przyszło mi nawet do głowy, że to moje powołanie: uwodzić i być uwodzoną.

Raz spotkałam koleżankę z dawnej pracy. Zatkało ją: – Ale ekstra wyglądasz! Masz nową pracę? A ja na to zadowolona z siebie: – Mam, tylko obiecaj, że nikomu nie powiesz… Miałam wrażenie, że mi zazdrości.

Denerwowało mnie tylko, że tyle pieniędzy zarabiam i gdzie one są? Balsam, który kosztował 20 złotych, starczał na trzy dni. Bo po każdym kliencie oczywiście była kąpiel. I przed klientem była kąpiel, i z klientem. Ich trzeba było czasem po prostu wsadzić pod prysznic i wyszorować.

A jak przyjęły Panią koleżanki?

Były nastawione anty. W burdelu, tak jak w wojsku, panuje fala. Nowej podstawia się na przykład klienta, żeby sprawdzić, czy ona „chodzi bez gumy”. Facet namawia nową na seks bez prezerwatywy. Jeżeli ona się zgodzi, to wszyscy natychmiast się dowiadują. Dziewczyna jest traktowana jak trędowata. Żadna nie wejdzie po niej pod prysznic.

Albo,,na salonie" ściąga się nowej spódniczkę przy klientach, zrywa treskę. Albo robi się awanturę, żeby ją uderzyć i zostawić ślad na twarzy.

Ja miałam zdjętą spódniczkę i pomalowaną pupę. Drzemałam pijana na łóżku, a gdy się obudziłam, pośladki miałam pomazane flamastrami.

Dziewczyny mnie przyjęły po podsuniętym kliencie, którego odprawiłam z kwitkiem. Po prostu któregoś dnia zaczęły mówić „cześć”, pożyczać ciuchy, zrobiły mi makijaż.

Mąż się szybko zorientował?

Powiedziałam mu, że pracuję w nocnym klubie, że robię tam dekoracje. Uwierzył, ale tak na trzy noce. Potem mówiłam:,,Aaa, przychodzą tam panowie, żeby pogadać, odpocząć, my tam sobie drepczemy w krótkich spódniczkach, oni głównie grają w karty, czasem któryś za kolano chwyci, rzadko się zdarza, że coś więcej, ale ja na to nie idę".

Potem już nic nie tłumaczyłam. Wracałam tak zblazowana, pijana, że…

Łatwo się z tym pogodził?

Skąd! Płakał, prosił, żebym mu powiedziała prawdę. I ja mu się w końcu przyznałam. Obiecywał, że się zmobilizuje, że damy sobie jakoś radę. Tylko że ja już miałam w ręku gotówkę. Tydzień, a ja już mam rachunek za trzy miesiące opłacony! To co on mi będzie gadać, że weźmiemy jeszcze jeden kredyt na jego mamę czy tatę.

Kiedy już się zdarzyło, że szliśmy gdzieś razem, na przykład do sklepu, on szedł zawsze krok za mną albo dwa kroki przede mną. Miał obsesję, że natkniemy się na jakiegoś mojego klienta.

Dużo Pani piła?

W pracy zjawiałam się o 18. W barku,,na salonie" miałam swoją ćwiartkę żubrówki. Na dzień dobry wypijałam szklaneczkę. Potem tylko czekałam, który postawi mi drinka. Tłumaczyłam sobie, że piję, żeby móc pracować.

Skoro się Pani wykaraskała z długów, nie mogła Pani odejść?

Ja odeszłam. Ale nie dlatego.

Odeszłam dlatego, że zostałam zgwałcona.

Któregoś dnia jeden ze stałych klientów, policjant, zabrał mnie do siebie. W taksówce mówił: „Takie jak wy to należałoby do lasu wywieźć i wystrzelać”. Ja się śmiałam, byłam pijana, tak jak i on. W domu kazał mi się położyć na podłodze. Najpierw wodził po moim ciele odbezpieczonym pistoletem z tłumikiem, aż w końcu mnie tym pistoletem zgwałcił. Momentalnie wytrzeźwiałam, bałam się jęknąć albo drgnąć. Byłam pewna, że ten pistolet zaraz wystrzeli, że to mój koniec.

Co zrobili szefowie agencji?

Barman, któremu wszystko opowiedziałam, poradził:,,Nie mów lepiej o tym nikomu". Spakowałam się więc i odeszłam.

Na drugi dzień poszłam do mojego dawnego miejsca pracy powiedzieć, że myślę o powrocie z urlopu wychowawczego. Na korytarzu spotkałam tę koleżankę, której się zwierzałam. Spojrzała jakoś dziwnie. Potem ktoś zrobił aluzję i ktoś jeszcze. Szepty, śmiech… Wyszłam z budynku niby spokojnie, trzymałam się prosto, ale tak naprawdę to uciekłam.

Po dwóch tygodniach znów byłam w agencji.

Nikt z bliskich nie wiedział, co zaszło?

Nie. Chciałam się zwierzyć mamie. Ona już zauważyła, że inaczej wyglądam, że wieczorami nie ma mnie w domu. Miałam nadzieję, że mama da się przekonać…

Do czego?

Że prostytucja to rodzaj pracy, tylko na jakiś czas.

Najpierw płakała. Potem groziła, że mi odbierze prawa rodzicielskie, zaczęła nawet procedurę w sądzie. W końcu się rozchorowała, wtedy skłamałam, że już z tym zerwałam.

Nadal jeździłam na noce, ale później, na 21. O północy byłam już tak narąbana, że nie schodziłam do klientów. Któregoś dnia ochroniarz po prostu mnie nie wpuścił.

Pomyślałam: i bardzo dobrze. Wzięłam żyletkę i obcięłam przy samej skórze te moje przedłużone włosy. Wrócił mąż, spojrzał zdziwiony, powiedziałam mu, że to koniec. Że sama zrezygnowałam.

Uwierzył?

Tak. Bardzo się cieszył.

A co z pieniędzmi? Obiecywał, że znajdzie wyjście.

Niczego nie znalazł. Ale zajmował się dzieckiem.

Zostało mi trochę oszczędności. Pół roku siedziałam przed telewizorem i piłam. W końcu pieniędzy zabrakło w ogóle.

Zaczęłam jeździć do klientów na telefon. Tylko od czasu do czasu w nocy. Spałam z komórką przy uchu, ubranie przygotowane…

Spała Pani sama?

Nie, zawsze spaliśmy we troje. Telefon miałam nastawiony na wibrację. Wymykałam się, wracałam i znowu się kładłam.

Nie budzili się?

Nie. Łóżko jest duże, a dziecko odzwyczajone od mojej obecności i tak przez sen przytulało się zawsze do ojca. Zasypiało przy mnie, a potem się odkręcało.

Udało się załatać dziurę w budżecie?

Ledwo. Coraz więcej szło na alkohol. Zresztą kierowca nie lubił ze mną jeździć, bo kazałam mu się zatrzymywać na stacjach benzynowych po piwo, trzęsłam się, nie podobałam się klientom. Dzwonił po mnie, jak już naprawdę nie miał innej dziewczyny.

Nie wierzę, że mąż nie zauważył.

Ja nie powiedziałam, że on nie zauważył. On się zachowywał tak, jakby nie zauważał.

Ale zorientowałam się, że na przykład myje po mnie ubikację. Pilnuje, żebym zawsze miała swój ręcznik. Zdawało mi się też, że podkłada na mojej części łóżka osobne prześcieradło. Porobił znaczki na moich sztućcach. Miałam z nim o tym porozmawiać, ale ciągle albo byłam pijana, albo zapominałam.

Wtedy już zdawała sobie Pani sprawę, że jest alkoholiczką?

Zauważyłam, że jeżdżę do klientów tylko po to, żeby zarobić na alkohol.

Potem był ten drugi gwałt. Klient rzucił się na mnie w drzwiach. Nie wiem, co mu się stało, tak mi rękę wygiął… Strasznie bolało, krwawiłam. To był klient, którego znałam, byłam u niego kilka razy.

Wie pani, co jest najgorsze? Że nikomu nie można o tym powiedzieć.

Zwierzyłam się koleżance ze studiów. Ja mówię, a tej oczy się rozszerzają z przerażenia: – Ewa, jeśli mogę ci pomóc,

to powiedz jak, tylko, błagam, ani słowa więcej. Nie mogę tego słuchać.

Wtedy zdecydowała się Pani zadzwonić do La Strady?

Długo się wahałam, nie byłam przecież ofiarą handlu kobietami, ale tylko tam mogłam powiedzieć: „Dzień dobry, jestem prostytutką”.

I tak Pani powiedziała?

Powiedziałam, że kiedyś pracowałam trochę w agencji towarzyskiej i że przyszło mi do głowy, że mogłabym pomóc dziewczętom, które nadal pracują. Spokojnie, rzeczowo, jak gdyby nigdy nic.

Zanotowali numer i po jakimś czasie zadzwoniła kobieta. Zaczęła pytać: w jakiej agencji pracowałam, jak długo, jak tam trafiłam, jak byłam traktowana, czy mam dziecko, czy mam z czego żyć, czy mam nałogi? Wreszcie poprosiła o adres i przyjechała do mnie do domu. To była Irena Dawid-Olczyk, kobieta, która mnie uratowała.

Powiedziała, że przede wszystkim muszę wyprostować swoje życie. Dopiero wtedy będę mogła pomagać innym. Za jej radą poszłam do seksuologa. Ale to akurat nie był dobry pomysł. Zapytał o dzieciństwo, zapytał o relacje z mężem. Miałam wrażenie, że on o mój upadek jakoś obwinia rodziców i mojego męża. Nigdy więcej tam nie poszłam.

Dlaczego?

Mnie było żal i mamy, i męża. Nie potrzebowałam usprawiedliwienia.

Poszłam na odwyk. Raz w tygodniu spotykałam się z grupą alkoholików, ale nie mówiłam im, że jestem

prostytutką.

O prostytucji rozmawiałam tylko z Ireną. Dała mi swój prywatny numer. Wtedy uwierzyłam, że jej na mnie zależy. Przez całe trzy miesiące od spotkania z nią nie wzięłam alkoholu do ust. Przez trzy miesiące nie byłam u klienta.

Aż któregoś dnia znowu zabrakło na rachunki. Pomyślałam więc, że na razie rzucę tylko picie, a pracować będę od czasu do czasu. W końcu niepicie jest ważniejsze, prawda? Pojechałam do klienta. Na stole stała wódka, wypiłam kieliszek i wszystko zaczęło się na nowo.

Znalazłam sobie drugą agencję. Ta agencja była dużo gorsza od pierwszej. Nie sto, tylko czterdzieści złotych za godzinę. Jedna łazienka dla wszystkich. Nie było barku, salonu ani rury – tylko trzypokojowe mieszkanie. Normalne, małe, smutne. Nie chciało mi się nawet pomalować paznokci. Krótkie włosy, krótkie spodenki, T-shircik, i już. Panowie musieli się szybko decydować – jak nie, to nie, żadnego uwodzenia. A najgorsze, że nie wolno było pić.

Wytrzymałam pięć dni. Szóstego zostałam w domu.

To był ten ostatni raz?

Tak. Piłam mniej, ale czułam się coraz gorzej. To ślad po przerwanym odwyku, terapia odbiera komfort. Pieniędzy zaczyna brakować, ja nic, trzymam się. Zmieniamy mieszkanie na mniejsze – ja nic. I tylko osiem tygodni picia, osiem niepicia, dziewięć picia, sześć niepicia. Uczepiłam się myśli, że choćby nie wiem co się działo, nie będę się prostytuować.

Ile to już czasu?

Dwa lata.

A ile Pani nie pije?

Półtora roku.

Coś musiało się stać.

Któregoś dnia zadzwoniła Irena i zapytała, czy nadal chcę pracować z prostytutkami. Seksuolog poprosił La Stradę o pomoc w przeprowadzeniu ankiety „Zachowania seksualne wśród kobiet sprzedających usługi seksualne". Zaproponowała, żebym pochodziła z ankietą po dziewczynach. Zerwałam się z łóżka i poleciałam do La Strady.

Iskierka misji?

Tak. To były głównie koleżanki z pierwszej agencji, miałam jeszcze ich telefony. Zobaczyłam, jak one się posunęły przez ten rok. Jakie się zrobiły grube, twarze im się zrobiły szare. A ja wyglądałam lepiej! Bo ja już mniej piłam, nie pracowałam. Byłam taka bardziej naturalna.

Boże, jakie one do tej ankiety bzdury opowiadały:,,Czy uprawia pani z klientem seks bez prezerwatywy? – Nigdy. Czy uprawia pani seks analny? – Raz mi się zdarzyło, wzięłam tysiąc złotych". Ciekawe, czy ludzie zawsze tak kłamią w anonimowych ankietach?

Ankieta była bezużyteczna, ale dla mnie była ważna. Każda ankietowana dostała sto złotych, ja pięćdziesiąt za każdą z nich. A ankiet było trzydzieści pięć. Ktoś przysłał mi na konto kilka tysięcy złotych, które ja rozdysponowałam. Zrobiłam to uczciwie.

Z piciem koniec?

Wiem, że jak wypiję łyżeczkę, to po mnie.

A z pracą?

Tu nie ma powrotu. Większość ciuchów oddałam dziewczynom, jeszcze gdy robiłam ankietę. Do ostatka trzymałam jeszcze tylko różową perukę. Zapakowałam ją do reklamówki, reklamówkę do kufra, kufer załadowałam na pawlacz, do którego wchodzi się po drabinie, a drabinę pożycza się od sąsiadów.

Szkoda było oddać?

Za ładna była. Ale niedawno i ją oddałam. Dziewczynie, którą poznałam przez La Stradę.

Co Pani dzisiaj robi?

Jestem streetworkerem. Zaczepiam na ulicy prostytutki, rozdaję im ulotki i prezerwatywy. Namawiam, żeby się zarejestrowały jako bezrobotne, to będą miały ubezpieczenie, żeby założyły jakąś lokatę, to nie będzie kusiło, żeby wydać wszystko na ciuchy i wódkę.

Niedawno dostałam propozycję pracy w poważnej instytucji. Z mężem się pogodziliśmy, z mamą też. Mąż znalazł nową pracę…

Wszystko się układa?

Bardzo ładnie się układa.

Nie boi się Pani niczego?

Jakoś nie. Doceniam to, co mam, co dostanę od kogoś. A nie tak jak kiedyś robiłam fochy, bo teściowa mi kupiła pół kilo żółtego sera: „Mogła mi dać pieniądze, ja bym już sobie coś kupiła!” Albo jak ubranka dla dziecka dała po

siostrzeńcu: „Innym wnuczkom nowe kupiła!” A teraz jestem szczęśliwa, jak ktoś do mnie rękę wyciąga.

Miałam kilka chorób wenerycznych, niektóre takie, że… wstydziłam się pójść do ginekologa. Ale HIV-em się nie zaraziłam! Mąż już miał mnie opuścić, ale jednak został. Handlowałam amfetaminą i spirytusem, ale nie wpadłam, nie siedzę w więzieniu. Czyli jestem farciarą.

I nie ma żadnej ceny?

Nie mogę mówić o tym, co było. To warunek, jaki mi postawili mąż i mama.

To takie trudne?

Ciężkie.

To dlatego zgodziła się Pani na wywiad?

Tak. Wie pani, jakie mam marzenie? Że spotykam sympatyczną dziewczynę i wyznaję jej, kim byłam. A ona mówi: „Rozumiem cię, nie mogłaś inaczej”. I zostajemy przyjaciółkami.

Ale to nierealne.

Dziecko też się nie dowie?

Ciągle się zastanawiam, co będzie, jak dorośnie i na przykład usłyszy jakieś plotki. Co wtedy zrobię? Przecież jeśli mu powiem prawdę, to ulżę sobie, a dziecko skrzywdzę. Jak pani sądzi? Powiedzieć prawdę czy milczeć?

2004

Oprawcy i ofiary

Stop!

Kamera robi zbliżenie na mężczyznę z bujnym srebrzystym zarostem. Może mieć koło czterdziestki. Uśmiecha się, ale widać, że jest spięty.

Odsiaduje wyrok za seksualne wykorzystywanie czterech dziewczynek w wieku od dziewięciu do czternastu lat.

NIGEL, ZIELONA BLUZA

– Opowiedz nam o nich, Nigel.

– Diana miała czternaście lat. Wysoka, zbudowana jak dorosła kobieta, paliła papierosy. Kiedy przyszła, zapytała, czy mam piwo, bardzo ją zainteresowała pornografia. Przyniosła…

– Dlaczego zacząłeś opowiadanie od tej najstarszej?

– Chwileczkę, pozwól mi skończyć. Przyniosła marihuanę. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z narkotykami. Poczęstowała, spodobało mi się to…

– Dlaczego zacząłeś opowiadanie od tej najstarszej? Czy to z nią miałeś stosunki płciowe?

– Nie, nie z nią…

– Co jest atrakcyjnego w dziewczynkach?

– Są tak samo atrakcyjne jak dorosłe kobiety.

– To dlaczego nie spotykałeś się z dorosłymi?

– Bałem się, że nie będą mnie chciały. Dziewczynki łatwiej jest zainteresować, sprawić, by były z tobą.

– Wykorzystać?

– Ja ich nie wykorzystywałem. Nigdy bym nie zmusił nikogo do robienia czegoś wbrew jego woli.

BOBBY, NIEBIESKA BLUZA

Bobby ma czterdzieści cztery lata. Łysiejący, rudy. Dziesięć lat temu zabił kobietę, która nie chciała się z nim kochać.

– Jestem zerem, zawsze byłem zerem – powtarza.

– Co przez to rozumiesz, Bobby? – pyta głos zza kamery.

– Zero roboty, zero przyjaciół, zero kobiet. Moja dziewczyna wyszła za mąż. Siedziałem cały dzień w domu i onanizowałem się, oglądając magazyny erotyczne. Byłem tak naładowany, że myślałem, że szlag mnie trafi. A dookoła nie było żadnych kobiet. Właściwie to tylko ona była.

– Znałeś ją dobrze?

– To była przyjaciółka moich rodziców. Starsza ode mnie o dwadzieścia lat.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Wkurzyłem się, bo ona nie chciała. Próbowałem ją pocałować, rozpiąłem jej sukienkę, a ona: nie i nie. Wpadłem w furię i zanim się zorientowałem, ona już wykitowała.

– Dlaczego ją całowałeś i rozbierałeś, skoro ona mówiła nie?

– Jeśli kobieta mówi nie, to wcale nie musi znaczyć nie.

– A co to znaczy?

– To nic nie znaczy.

EDWARD, ZIELONA BLUZA

Wysoki, smukły, o wypielęgnowanych paznokciach. Skazany za gwałt.

– Nie będę mówił, że jestem bez winy. Ale ona też. Przyszła sama do knajpy, usiadła na wprost wejścia, popijała whisky. Prosiła się, żeby ją poderwać. Po to tam przyszła.

– Mówiłeś, że przyszła, żeby się napić.

– Napić też. Ale kiedy zapytałem, czy się mogę przysiąść, od razu się zgodziła. Postawiłem jej kolejnego drinka. Gadka szmatka, w końcu zaproponowałem, że pojedziemy do mnie do domu. Zgodziła się. A potem, gdy otwierałem drzwi kluczem, nagle zmieniła zdanie i chciała wracać.

– I dlatego zasłużyła na to, by ją zgwałcić?

– Zdenerwowałem się. Postawiłem jej dwa drinki, ona przyjęła zaproszenie do domu na kolejnego, więc chyba miałem prawo oczekiwać, że dostanę seks.

– A ustalałeś z nią, że będziecie się kochać?

– Można powiedzieć, że tak.

– Ale powiedziałeś to wyraźnie? Wymówiłeś te słowa? Tak czy nie? Ile kosztowały te drinki? Spodziewałeś się, że dostaniesz seks za pięć funtów?

POLSKA. JA CHCĘ SIĘ LECZYĆ

Dwudziestodziewięcioletni ojciec postanowił zrobić z syna mężczyznę. Przy pomocy tirówki zmuszał jedenastolatka do seksualnej inicjacji.

Siedemdziesięciodwulatek i osiemdziesięciolatek, koledzy z Klubu Seniora „Uśmiech”, organizowali pornograficzne sesje zdjęciowe z udziałem nieletnich dziewczynek i wykorzystywali je seksualnie.

Trzydziestotrzyletni absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego wykorzystywał seksualnie chłopców z biednych, patologicznych rodzin, oferując im za „usługę” trzydzieści złotych.

Trzydziestopięcioletni politolog dwukrotnie odbył stosunek płciowy z czterolatką wypożyczoną za pieniądze od jej rodziców.

Tylko w pierwszym kwartale 2003 roku ujawniono w Polsce trzysta trzydzieści cztery przestępstwa seksualne wobec dzieci.

W 2000 roku sąd skazał za takie czyny czterysta pięćdziesiąt pięć osób, w 2001 – pięćset dwadzieścia pięć.

Co roku w Polsce rejestruje się około dwóch tysięcy pięćset gwałtów.

Gwałciciele, tak jak pedofile, wychodzą na wolność najczęściej po trzech, czterech latach. Ponad osiemdziesiąt procent z nich po wyjściu z więzienia ponownie popełnia przestępstwo seksualne. Zwykle już po kilku miesiącach.

W raporcie „Seksualność Polaków” z 2002 roku sporządzonym przez SMG/KRC sześćdziesiąt trzy procent respondentów na pytanie: czy jesteś za kastracją przestępców seksualnych, odpowiedziało: tak.

Z wielką chęcią zgodziłbym się na usunięcie jąder. Błagam o to! Ale odpowiedzieli mi z prokuratury, że

w Polsce amputacja jest przestępstwem - zwierzał się w 1996 roku w wywiadzie dla „Gazety” Bogdan B., pedofil recydywista. - *Siedzę w celi, ludzie myślą, że to w porządku, bo facet siedzi. A z więzienia wychodzi nie człowiek, ale zwierzę. Ja chcę uwolnić się od dewiacji. (...) Każdy z nas, siedzących w więzieniu, jest jak gruźlik zamknięty bez leku: wyjdzie i będzie kropelkował. Tu jest jeden psycholog, kobieta. Zapisuję się do niej, ale ona twierdzi, że nie ma dla mnie czasu. Jest jedna na pięćset osób. Jest też dochodzący psychiatra, osoba apodyktyczna, pacjent musi być przy niej na baczność. (...) Chcę, żeby wszyscy ludzie zrozumieli – że to, co mnie spotkało, to jest nieleczona choroba. Wypuszczą mnie na wolność i nadal będę chory!*

Bogdan B. wyszedł w listopadzie 2001 roku. Zmienił nazwisko. Twierdzi, że jedyne, co go powstrzymuje przed powrotem do procederu, to strach o siebie, o swoje życie. Ożenił się, ale boi się mieć dzieci, boi się, że je skrzywdzi.

Z medycznego punktu widzenia pedofilia to zaburzenie preferencji seksualnej spowodowane nieprawidłowym rozwojem ośrodkowego układu nerwowego w okresie prenatalnym. Ale nie tylko pedofile molestują dzieci. Tak samo jak gwałcą nie tylko dewianci.

Obliczono, że tylko piętnaście procent osób wykorzystujących seksualnie dzieci jest dotkniętych pedofilią w sensie chorobowym, to znaczy ma określone skłonności i nie panuje nad nimi. Częściej w grę wchodzi skrzywiona moralność.

W Polsce nie ma żadnego programu leczenia przestępców seksualnych. Profesor Zbigniew Lew-Starowicz, krajowy konsultant w dziedzinie seksuologii, poproszony w 1997 roku przez Centralny Zarząd Zakładów Karnych o opinię w tej sprawie, odpowiedział, że wprowadzenie takiej terapii do polskich więzień jest mało realne ze względu na wysokie koszty. Według niego terapia musiałaby trwać od roku do trzech lat. Wymagałaby wyposażenia placówki w sprzęt diagnostyczny i terapeutyczny, zatrudnienia seksuologów i psychiatrów, stosowania leków psychotropowych, leków antyandrogennych, przeprowadzania badań krwi, poziomu hormonów, badań elektroencefalograficznych, tomografii komputerowej głowy…

SZKOCJA

Peterhead leży daleko na północy. Wiatr hula, nie ma drzew. Zamiast miejskiego gwaru od świtu do zmierzchu słychać dołujący krzyk mew. Wszystko zbudowane z szarego kamienia, tego samego co więzienie. Szare jest też Morze Północne podchodzące pod mury więzienne. W miejscowości jest ponad trzydzieści kościołów. Są różnych wyznań, wszystkie szare. Więcej tu kościołów niż pubów.

Więzienie jest z XIX wieku i nie spełnia norm unijnych. Rok temu miano je zamknąć. Uratowała je renoma STOP – kognitywno-behawioralnego programu resocjalizacji przestępców seksualnych, od dziesięciu lat robiącego karierę na Wyspach Brytyjskich.

Trwa dziewięć miesięcy. Osiemdziesiąt sesji terapeutycznych w grupach po osiem-dziesięć osób. Żadnej farmakologii. Za to tablica, flamastry, trochę tektury, kleju i sterty starych kolorowych magazynów. Pedofile przemieszani z gwałcicielami i mordercami na tle seksualnym. Koszt programu – sześć tysięcy funtów na osobę (koszt utrzymania więźnia przez rok – trzydzieści tysięcy funtów). Te pieniądze to prawie wyłącznie wynagrodzenie prowadzących, czyli moderatorów. Ponieważ w Wielkiej Brytanii, tak jak i w Polsce, psychiatrzy nie garną się do pracy w więzieniach, w STOP moderatorami są także strażnicy więzienni. Oczywiście starannie wyselekcjonowani i przeszkoleni.

Odkąd w 1993 roku STOP ruszył w Peterhead, wzięło w nim udział dwustu dwudziestu czterech więźniów. Stu sześćdziesięciu dwu z nich wyszło na wolność. Tylko sześciu skazano ponownie za przestępstwo seksualne (dane pochodzą z połowy 2002 roku).

Osiemdziesiąt dwa procent Brytyjczyków uważa jednak, że pedofilów lepiej kastrować, niż leczyć.

JOHN, MODERATOR

– Przestępca seksualny – czy to pedofil, czy gwałciciel – zwykle bagatelizuje swój czyn albo zrzuca winę na ofiarę. To się nazywa skrzywione myślenie. Przykłady: co innego zgwałcić dziecko, a co innego spółkować z nim, gdy się na to zgadza. Jak kobieta idzie ulicą w krótkiej spódnicy, to sama się prosi o kłopoty. Albo: zabiłem raz, zrozumiałem swój błąd i na pewno nigdy tego nie powtórzę. Tyle że

w Szkocji ponad sześćdziesiąt procent przestępców seksualnych atakuje ponownie w ciągu dwóch lat po wyjściu na wolność – opowiada John Joyce.

Ma dwadzieścia osiem lat. Jako osiemnastolatek wstąpił do zawodowego wojska. Po dwóch latach skierowano go do służby w więziennictwie.

Trafił do Peterhead: – Najpierw eskortowałem więźniów na widzenia. Potem awansowałem do pracy przy celach, trzymałem klucze, zamykałem drzwi. Byłem bliżej więźniów, rozmawiałem z nimi. Ale i to może się znudzić, więc jak powiedzieli, że można zgłaszać się do prowadzenia STOP, to długo się nie namyślałem.

– I tak z żołnierza przemieniłeś się w psychologa – uśmiecham się.

– Nie jestem psychologiem. Skończę program i dalej będę klawiszem – zaprzecza stanowczo. – To, co robię, nie wymaga szczególnej wiedzy, raczej intuicji i postępowania ściśle według podręcznika.

John poinformował więźniów o mojej wizycie. Powiedział, że jeśli chcą, mogą udzielić mi wywiadu.

Zgłosiło się trzech mężczyzn: Bobby, który już ukończył STOP, oraz Edward i Nigel, którzy są w jego końcowej fazie. Opowiedzieli mi, co się z nimi działo w trakcie sesji, zgodzili się, bym obejrzała zapis wideo ich terapii.

NIGEL, KIEROWCA AUTOBUSU

– Wydaje mi się, że to się zaczęło od programu w telewizji, który oglądałem jako dwunastolatek. Miał tytuł „Ściągaj ciuchy”. To był program dla naturystów, gdzie

występowały również dziewczynki w moim wieku. Dojrzewałem, a wiek bohaterek moich fantazji erotycznych pozostawał na poziomie tego filmu…

Miałem fajnych, troskliwych rodziców. Ojciec był kierowcą ciężarówki, mama – konduktorką w autobusie. Nie byłem wykorzystywany…

– Kiedy pierwszy raz się zakochałeś?

– Miałem piętnaście lat. Wtedy też straciłem dziewictwo. Z koleżanką, która też miała piętnaście. Dla mnie to była wielka miłość. Przerwali ją moi rodzice, którzy odkryli, że moja ukochana sypia, z kim popadnie.

Moja druga dziewczyna mała czternaście lat. Tyle że ja już miałem dwadzieścia. Rodzicom powiedziałem, że ma szesnaście.

– Ją też wykorzystywałeś seksualnie?

– To jej własny ojciec zachęcił mnie, żebym z nią sypiał. On robił to z jej koleżanką z klasy. Przekonał mnie, że to jest OK.

– Był dla ciebie autorytetem?

– Nie, to był taki bezrobotny, nędzarz… Jego związek został wykryty i on też siedzi dzisiaj w więzieniu.

– Przestraszyło cię to? Pomyślałeś, że sam robisz coś, za co możesz trafić za kratki?

– Chyba tak. Od tamtego czasu zadowalałem się oglądaniem katalogów pornograficznych z dziećmi. To był cały mój seks. Poszedłem w ślady rodziców, zostałem kierowcą autobusu miejskiego.

– Ale w końcu się ożeniłeś. Czyli jednak udało ci się nawiązać intymny kontakt z dorosłą kobietą.

– Niezupełnie… Moja żona miała szesnaście lat.

BOBBY, BEZROBOTNY

– Rodzice byli rolnikami, mieszkaliśmy na wsi, pod lasem. Miałem rodzeństwo, ale dużo młodsze. Zawsze bawiłem się sam. Jako siedemnastolatek wstąpiłem do zawodowego wojska i wyjechałem do Niemiec. Po raz pierwszy zobaczyłem duże miasto i po raz pierwszy – nagą kobietę.

– Gdzie zobaczyłeś nagą kobietę?

– W peep-show. W kinie porno potrafiłem spędzić cały dzień na przepustce. W wojsku, jeśli tego nie robisz, jesteś nienormalny. W weekend podrywało się w barze dziewczynę, w następny weekend następną.

– Nigdy się nie zakochałeś?

– Zakochałem się i zostałem skrzywdzony. Podczas urlopu w Szkocji poznałem dziewczynę, byliśmy razem, ale potem dowiedziałem się, że mnie zdradziła.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobiła?

– Nie byłem dla niej dostatecznie dobry.

– Co masz na myśli?

– No… w łóżku nie byłem dostatecznie dobry.

– A może chodziło o to, że przez większą część roku nie było cię z nią?

EDWARD, BOHATER

– Mój ojciec był bardzo surowy i religijny. Zamiast grać w piłkę z kolegami, musiałem siedzieć w domu i czytać

Biblię. W szkole śmiali się ze mnie i poszturchiwali. Ale szybko zacząłem dawać sobie radę.

– Jak?

– Za pomocą pięści. Stawałem też w obronie innych dzieci. Stałem się bohaterem.

– Skąd wiesz, że byłeś bohaterem?

– Mama mówiła: mój mały bohater.

– Byłeś agresywny…

– Chyba tak. Na pewno tak.

– Skąd się brała ta agresja?

– Wzbudzał ją ojciec.

– Bałeś się go?

– Tak. Był jedynym człowiekiem, którego się bałem. Nawet gdy miałem szesnaście lat i chciałem pójść z kolegami do pubu, robiłem to w nocy, gdy wszyscy już spali. A tam wlewałem w siebie litry piwa.

– Nigdy nie sprzeciwiłeś się ojcu?

– Tylko raz. Wróciłem nocą na rauszu, usiadłem cichutko w kuchni. Nagle wszedł ojciec. Zaczął prawić mi kazanie. Podniosłem filiżankę z herbatą i rzuciłem o ścianę. Ojciec powiedział: – Masz to posprzątać. I wrócił do sypialni.

Do końca życia nie odezwał się do mnie ani słowem. Odtąd mogłem robić, co chciałem. Ale nie dawałem sobie z tym rady. Ciągle wpadałem w tarapaty. Raz nawet mnie aresztowano. Policja zadzwoniła do taty, powiedzieli:,,Mamy tu pańskiego syna". Podobno odpowiedział:,,To pomyłka, ja nie mam syna".

– Obwiniałeś ojca za wszystko złe, co ci się przytrafiało?

– Tak.

– A za krzywdy, które wyrządziłeś innym?

– Tak. Nie potrafiłem być czuły, spokojny… Musiałem sobie zrekompensować te upokorzenia.

– Dlatego biłeś swoją żonę?

– Tak.

– Dlatego porzuciłeś ją i swoją dwuletnią córeczkę?

– Nie miałem uczuć ojcowskich. Skąd je miałem mieć?

– To bardzo wygodne tłumaczenie.

– Kiedy ojciec umarł, przyszło mi do głowy, że obwinianie go o wszystko było wygodne. Chciałem go nawet prosić o wybaczenie, ale było za późno.

W Peterhead siedzi trzystu więźniów. Sami przestępcy seksualni. Cały zakład jest podporządkowany programowi STOP. To, kim jesteś i w którym miejscu przebywasz, a nawet to, jak jesteś ubrany, ma ścisły związek ze STOP.

Na oddziale E przebywają więźniowie, którzy już ukończyli program i niedługo wyjdą na wolność. Mieszkają w ciasnocie, dwa i pół metra kwadratowego na osobę (norma unijna to cztery metry), ale cele są przez większą część dnia otwarte i więźniowie korzystają z obszernej wspólnej przestrzeni. Można ją z czystym sumieniem nazwać salonem z jadalnią.

Stoją tu kanapy, fotele, stolik na kawę, telewizor, wideo, sprzęt grający. Stół nakryty błękitnym obrusem, wyposażona kuchnia. Jak w domu. Na E panuje kolor niebieski, niebieskie też są bluzy więźniów. Atmosfera luzu. Skazani witają nas miłym,,hallo" i nie zwracają większej

uwagi, kiedy wchodzimy z Johnem i z przedstawicielem Centralnych Służb Więziennictwa ze stolicy.

Na oddziałach C i D nie ma kanap. Wspólna przestrzeń to korytarz z kilkoma stołami do ping-ponga i do bilardu. Pod ścianą stoją: półka z książkami, akwarium, kuchenka mikrofalowa. Cele identyczne jak w E.

Więźniowie noszą zielone stroje. To znak, że właśnie są w trakcie programu albo zgłosili swój akces i czekają w kolejce.

I wreszcie oddział B. Mężczyźni w czerwonych bluzach na widok urzędnika w garniturze natychmiast odrywają się od bilardu. Podchodzą, najpierw nieśmiało zaczynają rozmowę, spokojnie wyrażają swoje niezadowolenie z powodu braku bieżącej wody, ciemnej celi, zepsutej mikrofali. Ktoś traci nerwy, podnosi głos, coraz częściej słychać słowo,,fuck".

Tu trzymani są więźniowie, którzy nie chcą przystąpić do programu. Ich cele są znacznie mniejsze, półtora metra na dwa. Kiedy jeden więzień stanie na podłodze, drugi musi leżeć. Maleńkie okienko z luksferów wbudowane jest tuż pod sufitem.

Ale wystarczy zgłosić chęć przystąpienia do programu, aby celę B zamienić na wygody oddziału C i D.

Władze więzienia nie kryją, że posuwają się do różnych środków, żeby przyciągnąć więźniów do programu. Inną zachętą jest to, że absolwent STOP prędzej może liczyć na zwolnienie warunkowe. Jednak i tak wielu mężczyzn się opiera. Najczęściej podawanym w anonimowej ankiecie powodem jest obawa, że to, co wyznają podczas sesji na

temat swojej kryminalnej przeszłości, może zostać użyte przeciwko nim.

Program składa się z dwudziestu bloków tematycznych – od analizy życia i osobowości sprawcy oraz szczegółów jego przestępstwa, poprzez empatię z ofiarą, aż do uformowania „nowego ja”, czyli człowieka, jakim sprawca ma być po wyjściu na wolność. Bloki przerabia się na sesjach terapeutycznych podzielonych na seanse poświęcone po kolei każdemu z uczestników. „Prostowaniem” jego myślenia zajmują się nie tylko moderatorzy (strażnik, psycholog i kurator społeczny), ale także pozostali uczestnicy, którzy popełnili podobne czyny.

– Mamy pokazać uczestnikowi, że w jego myśleniu są luki, sprawić, żeby nie czuł się usprawiedliwiony – tłumaczy John. – Musi też zrozumieć, że za jego czynem kryje się większy problem. Nie zawsze łatwo go znaleźć. Dlatego opowiadają nam całe swoje życie, najbardziej intymne szczegóły. Tu uczestnicy często się wykruszają. Potem dochodzimy do sedna: skazany opowiada o swoim przestępstwie. Wszystko: krok po kroku, słowo po słowie, gest po geście, myśl po myśli, emocja po emocji. Do bólu. Śledzimy, co się wydarzyło w jego życiu jakieś sześć miesięcy do tyłu. Jak się układało z przyjaciółmi, ze znajomymi, z pracą, z małżeństwem, z pieniędzmi, z alkoholem, z narkotykami, z seksem.

NIGEL, PEDOFIL

– Wpadliśmy z żoną w długi, groziło nam, że bank przejmie nasze mieszkanie, kłóciliśmy się bez przerwy.

W końcu ona zabrała córki i się wyprowadziła, a u mnie zaczęła się depresja. Po pracy siadałem przed komputerem i do rana potrafiłem oglądać gołe dzieci w internecie.

Któregoś dnia mój kumpel z zajezdni, żeby poprawić mi humor, przywiózł do mnie Dianę. Jechała jego autobusem. Powiedział jej, że ma kolegę, który ma w domu komputer i różne gry. Ale zamiast gier włączyłem internet… Bardzo ją to zainteresowało. Odwzajemniła się jointem. Na drugi dzień zacząłem poszukiwania dealera.

– Kupowałeś to dla siebie?

– Tak, dla siebie.

– A dla Diany nie?

– No, może trochę.

– Dlaczego?

– No, żeby przychodziła. Diana przyszła już następnego dnia i przyprowadziła trzy koleżanki. Nie prosiłem jej o to. One właściwie bardziej mi się podobały, zwłaszcza Monika. Była młodsza, delikatniejsza, niższa, bardziej uległa. Odtąd przychodziły regularnie.

– One też używały narkotyków?

– Jeszcze jak!

– Co jeszcze dostawały u ciebie?

– Zawsze były papierosy, alkohol i oczywiście pornografia.

– Kazałeś się im rozbierać?

– Zaproponowałem, żeby naśladowały dziewczyny z tych zdjęć…

– Czy ze wszystkimi z nich miałeś stosunek?

– Nie, tylko z Moniką.

– Ile lat miała Monika?

– Dwanaście… jedenaście.

BOBBY, MORDERCA

– Po wyjściu z wojska wróciłem na wieś do rodziców. Nie miałem pracy. Byłem ponurakiem – przybitym, nerwowym. Całe dnie spędzałem na tapczanie.

Ona miała pięćdziesiąt cztery lata. Przychodziła do moich rodziców, lubiła mnie. Z jej synem chodziłem kiedyś do klasy. Uważał się za kogoś lepszego, bo oni mieszkali w miasteczku, dziesięć mil od naszej wsi, straszny palant. Tamtego dnia ona przyjechała do mamy z plackiem urodzinowym. Ale mamy nie było… Obserwowałem ze swojego pokoju, jak wysiada z samochodu, otwiera furtkę. Z góry wyglądała całkiem młodo… Chciałem jej, a ona mnie nie. To było nie do zniesienia. Dostałem szału.

– Zgwałciłeś ją?

– Nie. Nie chciałem jej zrobić nic złego.

– Dlaczego ją zabiłeś, a nie zgwałciłeś?

– Nie mogłem znieść myśli, że inni się dowiedzą, że jej proponowałem seks, że mnie wyśmieją.

EDWARD, GWAŁCICIEL

– Czy często zdarzało ci się przespać z kobietą poznaną w barze, Ed?

– Na tyle często, że stało się to normą. Miałem dużo pieniędzy, pracowałem jako lakiernik samochodowy. Stać mnie było na kosztowne drinki, na hotele, miałem fajny samochód.

– I zawsze ci się udawało?

– Raczej tak… To znaczy raz się nie udało.

– Opowiedz o tym.

– To było tydzień przed gwałtem. Przysiadłem się do pewnej pani. Postawiłem jej drinka i pojechaliśmy do mnie. Chętnie weszła, wypiła kolejnego drinka, a ja ciągle nie zabierałem się do rzeczy. W końcu zamówiła taksówkę. Kiedy ja byłem gotów, z dołu zadzwonił taksówkarz. Ona pożegnała się, wyszła, a ja zostałem jak głupi.

– Co wtedy czułeś?

– Że następnym razem nie dam się spławić.

KOSZTY I ZYSKI

– Motor ataku tkwi w fantazji – mówi John. – Zaczyna się od błysku w głowie: nagie dziecko – seks. Załóżmy, że pojawi mi się taka myśl. W tym momencie moja psychika mówi stop. Nie mógłbym pójść dalej, nawet w wyobraźni. Odpycham to.

Pedofil nie. Zaczyna sobie wyobrażać, co się dzieje później. Wkrótce myśli o tym cały czas, kreuje coraz to nowe sytuacje. Nie widzi w tym nic złego, bo to przecież tylko na niby. Ale z fantazją jest tak, że jeśli jej nie opanujemy, to urośnie do tego stopnia, że przestaje wystarczać.

Robert R. Ross, profesor na Wydziale Kryminologii Uniwersytetu w Ottawie, który na początku lat osiemdziesiątych wymyślił STOP, założył, że przestępcę seksualnego można leczyć poprzez rozwijanie u niego procesu myślenia.

Alec Spencer, dawny dyrektor więzienia w Peterhead, w swoim podręczniku porównuje działanie programu do leczenia alkoholików. Nie można alkoholika wyleczyć z nałogu, ale można sprawić, żeby nie pił. Z biegiem czasu pragnienie picia może się zmniejszyć, a świadomość zła, jakie spowoduje sięgnięcie po kieliszek, staje się skutecznym czynnikiem samokontroli.

STOP nie wyleczy przestępcy seksualnego, ale wyposaży go w świadomość i system strategii, które powstrzymają go przed powrotem do procederu. Nauczy mówić,,stop" samemu sobie.

– Palisz? – pyta mnie John.

– Czasem.

– Wyobraź sobie, że palisz nałogowo.

– Dobrze.

John sięga po planszę i flamastrem dzieli ją na cztery pola. Pierwsze pole: zyski krótkoterminowe.

– Co dobrego się stanie, jeśli teraz zapalisz papierosa?

– Zrelaksuję się.

– Co jeszcze?

– Zyskam na chwilę pewność siebie.

– Coś jeszcze?

– Energię… – kombinuję.

– Energię i zrelaksowanie zarazem, jesteś pewna? No dobrze, wpiszmy ci jeden krótkoterminowy zysk – zrelaksowanie się. A jakie będą krótkoterminowe koszty?

– Zakręci mi się w głowie.

– Co jeszcze?

– Bluzka będzie nieładnie pachnieć.

– Dalej.

– Nieprzyjemny smak w ustach.

– OK. A jakie możesz wymienić długoterminowe zyski z palenia?

– Towarzyski. Zaprzyjaźniam się z innymi palaczami, wychodząc na papieroska.

– Coś jeszcze?

– Tak. Tracę apetyt i chudnę.

– A długoterminowe straty?

– Gorzej śpię, przeziębiam się, kaszlę.

– Jak długo trwa krótkoterminowy zysk?

– Kilka minut.

– Możesz osiągnąć go inaczej? Zrelaksować się bez papierosa?

– Mogę, jasne.

– A możesz zyskać przyjaciół w inny sposób?

– Tak.

– A możesz odchudzić się w inny sposób?

– Mogę, ale nie tak łatwo i wygodnie.

– A co ze sportem? – męczy mnie dalej John. – Ilu sportowców pali nałogowo?

– Za to biorą sterydy i inne świństwa.

– Ale jak myślisz, dlaczego wolą sterydy niż papierosy?

– Bo palenie utrudniłoby im osiągnięcie sukcesów.

– Tak? Dlaczego?

– Ale ja nie chcę odnosić sukcesów w sporcie. Chcę być zwykłym człowiekiem!

– Skrzywione myślenie! – triumfuje John.

Podobno odpowiadam jak typowy przestępca seksualny. Każdy z nich myśli o krótkoterminowej satysfakcji. O długoterminowym koszcie, jak więzienie czy zniszczenie życia ofiary, nie myśli nigdy.

Zaczyna się najważniejsza część terapii – empatia. Pierwszy krok: uczestnik pisze list do ofiary. Wiadomo, że list nie będzie wysłany, chodzi o to, by sprawca w wyobraźni spojrzał ofierze w oczy.

Drugi krok: uczestnik ogląda na wideo reportaże o ofiarach przestępstw seksualnych.

Trzeci krok: jeszcze raz opowiada o całym zdarzeniu, ale z punktu widzenia ofiary, jej bliskich, świadków. A także osób bliskich sobie.

– On jest teraz nią. Zwracamy się do niego jej imieniem, a on odpowiada jako ona – opowiada John. – Jak wyglądasz, Karolino? Jak się dzisiaj czujesz? Dlaczego tak się dziś ubrałaś? Dlaczego tu przyszłaś? Jak wygląda ten mężczyzna? Co trzyma w ręce? Jaki jest ten nóż? Dlaczego nie uciekasz, dlaczego nie krzyczysz?

To ważne, bo przestępca często tłumaczy się, że ofiara nie krzyczała i nie uciekała. Potem uczestnik staje się mężem swojej ofiary.

– Twoja żona wróciła do domu i powiedziała, że została zgwałcona. Co czujesz? – pytamy.

– Jestem upokorzony.

– Jak to wpływa na twój stosunek do żony?

– Mam poczucie winy, że jej nie obroniłem. Nigdy między nami nie będzie już dobrze.

– Teraz jesteś córką tej kobiety. Ona w dniu gwałtu na matce miała pięć lat. Ile teraz ma? Policz szybko.

– Osiemnaście.

– Jaka jest twoja matka?

– Nadopiekuńcza. Nie puszcza mnie na prywatki, ciągle się nade mną trzęsie.

Gwałciciel musi jeszcze zagrać policjantów, pielęgniarkę, która opatrywała ofierze rany, sąsiadkę, swoje własne dziecko teraz i za dwadzieścia lat…

– Jak oni się wtedy zachowują? – pytam.

– Bardzo często płaczą. Czasem jest cisza. Czasem ktoś walnie krzesłem o podłogę.

– Co wtedy?

– Robię kawę.

Potem skazani piszą list do ofiary po raz drugi.

BOBBY – ZAMORDOWANA

W pierwszym liście do zabitej przez siebie kobiety Bobby rozpisał się o bezrobociu, samotności, kompleksach. Potem musiał spojrzeć na siebie jej oczami.

– Kogo widzisz, Anno? – zapytał go moderator.

– Obrzydliwego, niskiego człowieczka.

– Co myślisz?

– Bardzo się boję, myślę: dlaczego ja? Jak to możliwe? Co zrobi jego matka, jak się dowie?

– Chcesz się z nim kochać, Anno?

– Nie chcę.

– To dlaczego nie uciekasz i nie krzyczysz?

– Nie mogę. Oparł mnie o drzwi, a za nimi nie ma nikogo.

– Jak cię zabił?

– Udusił. Zatkał mi dłonią usta i nos.

W drugim liście Bobby nie usprawiedliwiał się. Prosił tylko o modlitwę za swoją duszę, zaznaczając, że na nią nie zasługuje.

– Co zrobiła pana matka, gdy się dowiedziała? – pytam Bobby'ego.

– Była przerażona, ale nie odwróciła się ode mnie. Ona też jest moją ofiarą, tak jak cała moja rodzina i wszyscy znajomi. Ofiarami stali się policjanci, którzy musieli przyjechać na miejsce zbrodni, i lekarze.

Dzisiaj rozumiem, że każdy, kto ma ze mną kontakt i musi słuchać tej strasznej opowieści, staje się moją ofiarą. Naliczyłem ich już ponad sto. Ofiarami są uczestnicy sesji STOP i moderatorzy, i pani też. To nie ma końca…

NIGEL – ZDEPRAWOWANA

– Dlaczego chodzisz do obcego człowieka, Moniko?

– Nie jest obcy. To sąsiad z osiedla.

– Dlaczego wolisz spędzać czas z nim, a nie na podwórku?

– To Diana mnie namówiła.

– Diana jest twoją dobrą koleżanką?

– Tak. Jest bardzo ładna i starsza.

– Dlaczego zrobiłaś to z Nigelem?

– Chciałam zaimponować Dianie.

– Czy go lubisz?

– Jest miły…

– A on cię lubi?

– Tak, powiedział, że się we mnie zakochał.

– Podobało ci się to, co zrobiliście?

– Bardzo mi się podobało.

– Zrobiłabyś to jeszcze z kimś innym?

– Jasne.

Droga Moniko. Nic, co mógłbym napisać, nie jest w stanie wynagrodzić Ci krzywdy, którą Ci wyrządziłem. Nie ma sensu nawet próbować. To byłaby obelga. Przepraszam, choć wiem, że nie zasługuję na wybaczenie… – napisał Nigel w pierwszym liście.

– Nie byłem w niej zakochany. Wmawiałem jej i sobie, że jestem zakochany, bo to mi dawało przyzwolenie. Nie myślałem w ogóle o tym, że je krzywdzę. W ogóle nie myślałem o nich, myślałem tylko o sobie – zwierza mi się Nigel.

– A może one wcale nie żałują. Żałują tylko, że straciły dostawcę narkotyków – prowokuję.

– Były dziećmi, miały prawo być głupie. Teraz ciągle o tym myślę. Najczęściej o tym, że Monika nigdy nie będzie normalna.

– Jak wyglądał pana drugi list do niej?

– Właściwie podobnie, ale pomyślałem, że nie mam prawa zwracać się do niej po imieniu. Ona ma teraz dwadzieścia lat. Zacząłem więc: „Szanowna Pani Moniko…”

EDWARD – ZGWAŁCONA

– Co robi pięćdziesięcioletnia kobieta w dzień w knajpie?

– Przyjechałam popołudniowym autobusem, a spotkanie z synem mam dopiero za kilka godzin.

– Weszłaś napić się kawy?

– Nie, whisky.

– Przysiada się do ciebie jacet i proponuje ci drinka. Jak wygląda? Jak się zachowuje?

– Jest sporo młodszy ode mnie, dobrze ubrany, widać, że ma pieniądze. Pyta mnie, czy mam jakiś kłopot, bo jestem taka smutna. Opowiadam mu o moich problemach, słucha uważnie, czuję, że mi współczuje. Proponuje, żebyśmy pojechali do niego. Zgadzam się, ale w ostatniej chwili postanawiam się wycofać.

– Dlaczego zmieniasz zdanie?

– Bo w taksówce cały czas mnie obejmował, czułam, że jest zdenerwowany, wystraszyłam się.

– Dlaczego z nim pojechałaś? Czego szukałaś?

– Towarzystwa, ciepła, oderwania myśli…

– Od czego?

– Niedawno umarł mój mąż. Syn siedzi w areszcie, czeka na rozprawę.

W 2000 roku brytyjski brukowiec,,News of the World" w ramach wymyślonej przez siebie akcji „nazwać i zawstydzić” opublikował serię fotografii skazanych za przestępstwa seksualne z udziałem nieletnich. Wśród nich byli absolwenci STOP. Bilans akcji to samobójstwo dwóch pedofilów, demonstracje przed domami osób ze zdjęć, nachodzenie niewinnych ludzi o tych samych nazwiskach co przestępcy, a z drugiej strony – zwolnienie przestępcy

seksualnego przez sędziego, który uznał, że oskarżony – nauczyciel molestujący uczennicę – i tak już dużo wycierpiał wskutek akcji.

John sięga po,,Scottish Sun", szkocki odpowiednik „Super Expressu”. Na pierwszej stronie artykuł o pedofilu i ogromny tytuł *Potwór znów zaatakował.*

– Tu ich nazywamy uczestnikami programu, na wolności będą potworami. Być może pogodzą się z myślą, że są potworami i że nie mają nic do stracenia. Albo inaczej: zaczną szukać akceptacji u jedynych ludzi, którzy ich nie osądzą. Czyli u dzieci. Bo dzieci nie osądzają. Im młodsze, tym mniej osądzają.

Dlatego moderatorzy radzą uczestnikom, żeby na wolności najpierw oparli się na jednej czy dwóch osobach, na które mogą naprawdę liczyć. Każdy z nich kogoś takiego ma: matkę, ojca, brata. Bardzo ważną osobą jest kurator (w Szkocji są to wyłącznie kuratorzy społeczni). W Wielkiej Brytanii od 1997 roku istnieje rejestr przestępców seksualnych. Osoby z rejestru nie mogą być zatrudniane w szkołach i instytucjach, gdzie mogłyby mieć łatwy kontakt z dziećmi. W Polsce również istnieje rejestr skazanych, ale po dziesięciu latach wpisy są zacierane i ślad po przestępstwie znika z życiorysu.

PIONIERZY Z RZESZOWA

Okazało się, że leczenie przestępców seksualnych jest jednak możliwe i u nas. W 2003 roku do Centralnego Zarządu Służb Więziennych wpłynął projekt programu

terapeutycznego dla pedofilów w warunkach więziennych. Sporządził go Zakład Karny w Rzeszowie.

– To dopiero zarys, właściwie nie ma o czym mówić, wszystko się sto razy zmieni – dyrektor okręgowy

Służby Więziennej w Rzeszowie Stanisław Leśniak zakrywa dłonią kartkę z kopią projektu.

– Ale co tam jest? – nalegam.

– To taka próba stworzenia programu na podstawie tego, co istnieje za granicą: w Irlandii, Hiszpanii, na Słowacji. Oczywiście po dostosowaniu go do naszych realiów.

– A jakie to realia?

– Przede wszystkim ograniczone fundusze.

Projekt rzeszowski zakłada budżet sześćdziesiąt trzy tysiące złotych. Program trwałby rok i obejmował od siedmiu do dziesięciu pacjentów. Pieniądze poszłyby na wynagrodzenie dla terapeutów, remont cel, materiały do ergoterapii, czyli leczenia przez pracę (glina garncarska, włókna do wyplatania makatek, farby), program komputerowy, lekarstwa, bo więźniowie mają być leczeni również jarmakologicznie. Ponad połowę budżetu – trzydzieści pięć tysięcy złotych – zaproponowano na zakup aparatu o tajemniczej nazwie pletyzmograf.

– Co to jest? – pytam.

– No… jakby to pani wyjaśnić, aparat potrzebny przy diagnozie.

– Diagnozie czego?

– Poziomu erekcji. Dzięki niemu można będzie badać, jak pacjent reaguje na zdjęcie nagiego dziecka.

Na razie trwa remont cel, w których zamieszkają pedofile na czas trwania programu. Tutaj zostaną przeniesieni więźniowie-pedofile z innych oddziałów oraz z innych więzień w kraju, bo – jak twierdzi dyrektor – w samym rzeszowskim zakładzie nie uzbiera się nawet siódemki.

Zarys programu jest teraz opiniowany przez specjalistów. Pomoc obiecał także profesor Lew-Starowicz: – Cieszę się, bo od lat walczę o wprowadzenie do więzień takiej terapii – oświadcza.

– Ale to przecież pan wydał opinię, że u nas nie da się leczyć przestępców seksualnych.

– Tak, ale wtedy rozważałem możliwość przeniesienia na nasz grunt programu z Florydy, długiego i drogiego, który zakładał między innymi szalenie kosztowną kastrację hormonalną.

– W Szkocji mają niezłe wyniki bez leków i bez seksuologów.

– Tak, ale ja wtedy nie znałem jeszcze programu STOP.

SZKOCJA

Na zakończenie uczestnicy STOP po raz drugi wypełniają ankietę.

Oceniają między innymi w skali od zera do dziesięciu prawdopodobieństwo tego, że powtórzą swój czyn. Najczęściej wystawiają sobie ocenę trzy-cztery i taka właśnie jest najbardziej oczekiwana od absolwenta STOP.

– A przed programem ile sobie wpisują? – pytam Johna.

– Prawie wszyscy zero.

NIGEL, JESZCZE TRZY LATA

Nigel za wykorzystywanie seksualne dzieci dostał dwanaście lat. Zostały mu jeszcze trzy. Po wyjściu z więzienia ma zamiar otworzyć firmę – prace remontowe. W więzieniu uczy się stolarki.

– Do zajezdni nie wrócę, straciłem pracę zaraz po aresztowaniu. Będę mieszkał z mamą. Dużo rozmawiamy, ona mnie bardzo wspiera – opowiada.

– Wie pan już, co robić, żeby nie molestować dzieci w przyszłości?

– Muszę mieć zawsze kogoś, kto będzie mnie kontrolował, nie mogę zostać sam z dzieckiem, postaram się założyć nowy związek z kobietą. Wierzę, że to możliwe.

– A pana dzieci?

– Mam cztery córki… Nie będę szukał z nimi kontaktu. Nie zasługuję, żeby ktoś mnie traktował jak ojca.

BOBBY, JESZCZE DWA, TRZY LATA

Bobby, skazany za morderstwo na dożywocie, po ukończeniu programu złożył wniosek o zwolnienie warunkowe. W więzieniu spędził już dziesięć lat. Ma nadzieję wyjść na wolność za dwa, trzy lata.

– Czym zastąpi pan sobie to, z czego musi pan zrezygnować?

– W przyszłym roku zapiszę się na kurs komputerowy tu, w więzieniu. Chcę być programistą komputerowym. To dobra praca, bo można to robić w domu. Wyjadę do Edynburga, tam jest więcej pracy.

– Nie boi się pan ludzi?

– Będę miał kuratora. Nie będę już sam. Stałem się chyba bardziej śmiały. Na pierwszej sesji STOP jest taki zwyczaj, że przychodzi ktoś, kto już ukończył program, i opowiada o tym, co mu program dał. Ja zawsze się zgłaszam. Zachęcam innych, by się nie bali, widzę, że mnie bardzo uważnie słuchają. Bo więzień ma większe zaufanie do współwięźnia niż do klawisza. Zadają mi dużo pytań. Lubię to.

EDWARD, JESZCZE DZIESIĘĆ LAT

Za gwałt dostał piętnaście lat. Zostało mu jeszcze dziesięć. Podobnie jak Bobby będzie starał się o zwolnienie warunkowe. Nie boi się o pracę. Zna się nie tylko na lakiernictwie, ale umie także grać na keyboardzie, więc w ostateczności znajdzie pracę jako muzyk na weselach.

– Czy będzie pan miał do kogo wrócić?

– Była żona odwiedza mnie w więzieniu z moją córką. Jej drugie małżeństwo się nie udało. Niewykluczone, że będziemy znowu razem. Ale na razie zostawiam tę kwestię otwartą, zobaczymy, jak wyjdę. Ona wie, że jestem w STOP, i jest z tego powodu szczęśliwa. Myślę, że to dzięki temu jest skłonna dać mi szansę. Córka podobnie. Ma dziewiętnaście lat. Chce mnie widzieć. W tym roku zdaje na uniwersytet.

Zmieniłam imiona skazanych i ich ofiar.

2003

Dlaczego nie przyjechał ford transit?

Ostateczne wątpliwości rozwiały delicje szampańskie o smaku toffi. Bo do tej pory nie było jasne, czy Marcin M. nadal TO robi, czy nie. Co prawda w dalszym ciągu zamykał się z chłopakami w pokoju, co prawda jeden z nich, Dominik, próbował niedawno popełnić samobójstwo – był już jedną nogą za oknem, kiedy nadbiegła opiekunka. Ale przecież to wszystko mógł być przypadek. Dopiero podsunięta w odpowiednim momencie przez sprytną opiekunkę paczka delicji sprawiła, że Dominik zaczął mówić.

Marcin M. i Dominik G. mieszkają w domu pomocy społecznej dla osób niepełnosprawnych umysłowo. Dom leży pod Kruszwicą, we wsi Tarnówko, jeżeli to miejsce można w ogóle nazwać wsią. Stoi tu kilka betonowych bloków i budynek dawnego pegeeru, z którego przez otwarte drzwi widać szpaler krów. Teraz mieści się tu przedsiębiorstwo rolne Kom-Rol, dzięki któremu mieszkańcy Tarnówka mają gdzie pracować. Drugim

zakładem pracy jest dom pomocy. Mieszka w nim czterdzieści osób – połowa mężczyzn, połowa kobiet. W pracy dyplomowej w bydgoskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej ktoś napisał o tym domu, że *mieści się we wsi, dzięki czemu mieszkańcy mają możliwość integrowania się ze środowiskiem lokalnym.* Na czym polega ta integracja, można się domyślić, widząc, jak po zmroku pod bramą DPS-u snują się starsi mężczyźni w waciakach.

Od 1953 roku był tutaj dom starców. W 1997 roku przerobiono go na dom dla niepełnosprawnych umysłowo. Jako jeden z pierwszych wprowadził się Marcin M.

MARCIN

Z listów dyrektora DPS-u Dariusza Cykulskiego do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie:

Zachowanie pana Marcina M. urąga wszelkim wartościom moralnym i kulturowym. Całe noce słucha głośno muzyki i ogląda telewizję, nie daje spać innym, a na perswazję słowną reaguje agresją. Podejmuje próby pobicia personelu, gardzi ludźmi mniej sprawnymi. (…) Żyje w swoim świecie, zafascynowany markami samochodów, muzyką techno i policją. Jedynym autorytetem jest dla niego właśnie policja. Często podkreśla fakt, że ma w niej znajomości, oraz sugeruje, że ze wszystkimi nami zrobi porządek. Jest upośledzony w stopniu lekkim i stosunkowo silny fizycznie, ma przewagę nad osobami głęboko upośledzonymi, na których wymusza swoją wolę. Kilkakrotnie wzywana była do domu policja w celu uspokojenia mieszkańca, ale bez efektów. Pan Marcin

bardzo lubi, kiedy wzywana jest policja specjalnie dla niego. Nabiera wtedy przekonania o swojej wyjątkowości…

W 1998 roku dyrektor powiadomił policję, a ta prokuraturę, że Marcin M. molestuje seksualnie współmieszkańców. A zwłaszcza Leszka Wronę, Szymona Śliwińskiego, Andrzeja Kordka, Pawła Skrzypczaka oraz Dominika Gwiazdę – mężczyzn upośledzonych dużo głębiej niż M.

– Ja się tak trochę przyznaję, a trochę nie. Ja wpuszczałem kolegów do pokoju i oni się rozbierali, ale nie wszyscy – wyjaśnia Marcin M. podczas rozprawy, do której dochodzi we wrześniu 2000 roku.

– Dominik Gwiazda się rozbierał. On się rozbierał, bo ja mu kazałem. Ściągnął bluzę i koszulkę. On usiadł i dotykanie było klatki piersiowej oraz pleców. Ja nie dotykałem narządów rodnych Gwiazdy. Z Leszkiem Wroną nic nie miałem. Przysięgam na te wszystkie samochody, które tu jeżdżą, że nie dotykałem Leszka. Ja się bardzo interesuję samochodami. Najbardziej podoba mi się BMW. Ja biłem mieszkańców domu, ale nie wszystkich. Bo mnie za mało pieniędzy wpłacili, a ja jestem nerwowy. Szymona Śliwińskiego pobiłem, bo upił mi mojej herbaty. Ja nie wiem, co to jest penis.

– A czy oskarżony wie, co to są narządy płciowe?

– pyta sędzia.

– Wątroba, serce, kości, nogi?

– Czy oskarżony wie, co to jest stosunek płciowy?

– Czy chodzi o przytulanie?

DOMINIK

Dominik Gwiazda musi cały czas wtulać się w ramię opiekunki. Na salę sądową wprowadza go Żaneta Kowalska, pracownik socjalny w DPS-ie.

Dominik ma dwadzieścia pięć lat. Mówi mało i bardzo cicho. Jego ojciec nie żyje, matka jest chora psychicznie i mieszka w melinie. Ma jeszcze siostrę, ale ona nie chce się z nim widywać. Dominik bardzo przeżył przeprowadzkę do Tarnówka. Przez pierwszą dobę musiał być przy nim ktoś z personelu. Stresem dla niego jest sama perspektywa wyjazdu dokądś. Niedawno miał jechać na wczasy rehabilitacyjne, ale z powodu tego stresu trzeba było z wyjazdu zrezygnować. Już dwa razy próbował popełnić samobójstwo.

Żaneta Kowalska: – Były sygnały, że Dominik jest bardzo pobudzony i nie może spokojnie spać w nocy, że krzyczy:,,Nie, nie". Poproszono mnie, żebym z nim porozmawiała. Dominik był bardzo zdenerwowany. Gdy zapytałam wprost, czy Marcin M. był u niego w pokoju i czy go dotykał, powiedział mi skinięciem głowy, że tak.

Dominik: – Nie lubię Marcina M. To nie jest dobry kolega, nie lubię go, bo dokucza.

– Jak dokucza? – pyta sędzia.

– Bije, kopie w tyłek.

– Czy oskarżony przychodził do świadka w nocy?

– Nie.

– Czy świadek boi się oskarżonego?

– Tak.

– Czy świadek wolałby, żeby oskarżonego tu nie było?

– Chcę, żeby Marcin wyszedł.

Sędzia nakazuje Marcinowi opuścić salę.

– Czy oskarżony dotykał świadka? – kontynuuje sędzia.

– Dotykał – Dominik głaszcze się po szyi i pośladkach.

– Czy gdzieś jeszcze?

Dominik wskazuje na brzuch.

– Czy oskarżony dotykał świadka w jądra?

– Nie.

– Czy świadek wie, co to są jądra?

Dominik pokazuje na krocze.

– Czy oskarżony świadka tam dotykał?

– Tak.

Sędzia nakazuje ponownie wprowadzić oskarżonego, któremu protokolantka odczytuje zeznania świadka.

Marcin M. ma dwadzieścia pięć lat. Wykształcenie podstawowe specjalne, bez zawodu. W charakterystyce środowiska rodzinnego jego kurator Teresa Gmura napisała:

Jako uczeń szkoły podstawowej przebywał w ośrodku szkolno-wychowawczym w Szarzawach koło Mogilna. W tamtym okresie został zerwany kontakt z jego domem rodzinnym. Mimo wielu prób ze strony ośrodka matka nie kontaktowała się z synem. Sąd ograniczył jej prawa rodzicielskie. Marcin czasami wyjeżdża do dziadków do Bydgoszczy, ale do niego nikt nie przyjeżdża. Po ukończeniu nauki w Szarzawach został umieszczony w DPS-ie w Tarnówku. Jest sprawny fizycznie, nie ma skłonności do

nadużywania alkoholu, chociaż zdarzały się przypadki picia alkoholu.

– Mnie tam się wydaje, że jakby tak Marcina jeszcze raz porządnie przebadać, to on by w ogóle się nie kwalifikował do DPS-u – mówi pani Gmura. Marcina, którym zajmuje się od pięciu lat, widziała cztery razy w życiu. – Ustawa mówi, że w domach pomocy społecznej mogą przebywać tylko osoby wymagające całodobowej opieki. A Marcin umie pisać, umie czytać, zna się na pieniądzach. Niedawno radził się mnie, jak ma głosować w referendum unijnym. Potrafi wyjechać na kilka dni, podróżować po kraju i bezpiecznie wrócić. Doskonale orientuje się w rozkładach jazdy autobusów. On jest strasznie cwany. Dobrze mu w tym Tarnówku i już.

CIĄG DALSZY ROZPRAWY

Elżbieta Zdrojewska, pokojowa: – To było na jesieni 1998 roku. Zauważyłam, że Marcin M. ma ubrudzoną pościel od krwi i kału. Ściany również były pobrudzone. U Szymona Śliwińskiego i Andrzeja Kordka również zauważyłam pościel pobrudzoną krwią i kałem.

Marcin M., wychylając się przez okno: – O! Jedzie BMW.

Kolejny świadek, pielęgniarka Halina Popowska: – Kiedyś w nocy zastałam M. ubranego w stanik i damskie rajstopy. Miał ręce ubrudzone kałem i trzymał w nich dezodorant. Bardzo agresywnie zareagował, wyrzucając mnie i panią pokojową za drzwi.

Sędzia: – Czy to prawda, że oskarżony był ubrany w stanik i rajstopy?

Marcin: – O! Audi!

– Czy oskarżony był ubrany w…?

– No dobra. Byłem ubrany. Ale to nie było po trzeźwemu. Mnie coś odbiło.

SIEDZIAŁ BIERNIE NA LEKCJI

– Damskie jatałaszki to on przywiózł do nas z Szarzaw. Ale nikt stamtąd nas nie uprzedził o jego skłonnościach – mówi pierwsza dyrektorka DPS-u w Tarnówku, Bożena Łaniewska.

Z akt sądowych wynika, że w szarzawskim ośrodku Marcin *ukradł z pokoju pielęgniarek radiobudzik o wartości trzydzieści pięć złotych oraz herbatę Zafiro. Innym razem zabrał spódnicę, bluzkę i buty o łącznej wartościokołodwudziestuzłotychorazartykułyspożywcze za czterysta złotych* i został za to skazany na rok więzienia z zawieszeniem na trzy lata. Jednak dzisiaj w teczce Marcina, która po nim została, nie ma wzmianki ani o tej kradzieży i wyroku, ani o upodobaniu do damskiej odzieży, ani o molestowaniu, ani o agresji. W opinii napisano, że Marcin spóźnia się na lekcje, jest średnio zdolny, trzeba go upominać, żeby wyjął zeszyt, ale przy pewnym wysiłku jest w stanie opanować minimum programowe…

Kierowniczka internatu słabo pamięta Marcina. – Nasz ośrodek jest dla osób niepełnoletnich. Tak więc gdy M. skończył osiemnaście lat, pani dyrektor napisała wniosek o przeniesienie go do domu pomocy społecznej.

– Ale przecież on się nie kwalifikuje?

– A co z nim było robić? Dokąd miał pójść?

CIĄG DALSZY ROZPRAWY. SZYMON

Szymon Śliwiński ma dwadzieścia sześć lat, ładną, ale czerwoną twarz, przechodzącą w buraczkową. To efekt wiecznego zażywania leków psychotropowych. Mówi wyraźnie, ale wolno. Jest fanem muzyki disco polo. Kiedy nie może znaleźć kapci albo piżamy – płacze. Regularnie uczestniczy w niedzielnej mszy świętej w DPS-ie, czasem w połowie potrafi krzyknąć:,,Jaki śliczny malutki ksiądz!" Ale bywa też agresywny. Wtedy zaciska zęby i syczy, ale musi go ktoś do tego sprowokować. Rodzice kompletnie się nim nie interesują.

– Czy oskarżony pana bił? – pyta sędzia.

– Tak, pił. Wiśniówkę.

– Pytam, czy oskarżony pana bił.

– Uderzył mnie deską w głowę i obrzucił kamieniami. Ale już dawno. Więcej mnie nie uderzył, tylko tą deską.

– Czy świadek komuś o tym opowiedział?

– Leciała krew… Ja się boję Marcina, bo on głośno muzykę w nocy puszcza…

ANDRZEJ

Na salę wchodzi Andrzej Kordek (dwadzieścia trzy lata). Wątły, niski blondyn. Słabo mówi, obficie się ślini. Ma wadę serca i padaczkę. W przypływie emocji się zanieczyszcza. Niejadek. Mimo to radosny, lubiany przez otoczenie. Często odwiedza go matka.

Sędzia: – Czy oskarżony zrobił świadkowi coś złego?

Brak odpowiedzi.

– Czy oskarżony świadka dotykał?

Andrzej pokazuje ramiona i ręce.

Sędzia: – Czy oskarżony dotykał świadka siusiaka?

Milczenie.

– Czy oskarżony dotykał świadka?

Andrzej: – Dotykał.

Marcin M. wstaje i krzyczy: – Ja nie dotykałem jego siusiaka! Słowo BMW, że nie dotykałem!

CHCIAŁAM, ŻEBY BYŁ LUBIANY

– Chyba w każdym domu pomocy są ludzie, którzy nie powinni się tam znaleźć – mówi dyrektor Bożena Łaniewska. – Powinni być w środowisku, pod opieką ośrodków pomocy społecznej podlegających gminie. Ale gminie na taką pomoc nie starcza pieniędzy. Trudniejsze przypadki woli przerzucić na powiat, czyli na DPS-y. A tam pensjonariusz kosztuje podatników przeciętnie tysiąc osiemset złotych miesięcznie. Gdyby te pieniądze mógł przeznaczyć na Marcina ośrodek pomocy, wtedy miałby on szansę żyć w społeczeństwie.

Hanna Kośmicka, była dyrektorka ośrodka w Szarzawach, która załatwiła Marcinowi miejsce w DPS-ie, twierdzi, że zrobiła to z dobrego serca: – Miałam go wyrzucić na ulicę? To normalna praktyka i często ją stosujemy.

– Skierowanie do DPS-u dostał bez problemu? – dziwię się.

– Opieka społeczna poparła wniosek i decyzja z województwa przyszła błyskawicznie.

– Nigdy nie mieli państwo kłopotów z jego seksualnością?

– Nikt mi przynajmniej o tym nie doniósł. Nasi pracownicy dobrze wykonywali swoją robotę i pilnowali mieszkańców również w nocy. W Tarnówku widać mają z tym kłopoty…

– Marcin przyjechał do nich z damską bielizną w torbie.

– Na odchodne dostał od nas odzież, ale na pewno nie staniki.

– Okradł ośrodek i dostał za to wyrok. A w waszej teczce tego nie ma.

– Nie ma?… Pewnie potraktowaliśmy to jako naszą wewnętrzną rzecz. To włamanie to był zresztą drobiazg. Akta idą za człowiekiem całe życie. Chciałam, żeby Marcin był lubiany tam, gdzie życie go zaniesie.

CIĄG DALSZY ROZPRAWY. LESZEK

Zeznaje Leszek Wrona: – Lubię Marcina. On mi nic złego nie zrobił, tylko mnie pobił. Uderzył mnie kijem – wskazuje na głowę. – Mimo to go lubię. Nie dotykał mnie na przykład w okolicach pupy. Ja się nikomu nie skarżyłem. Ja byłem jeszcze słuchany przez policjantów i nie powiedziałem im, że Marcin coś mi wsadzał do tyłka i mnie to bolało.

Leszek ma czterdzieści pięć lat. Jest łysawy, brakuje mu wielu zębów. Bardzo boi się dentysty. Ma skłonność do chomikowania. W szufladzie i tapczanie trzyma latami pasty do zębów, mydła, wody kolońskie. Kiedyś na turnusie rehabilitacyjnym powykręcał wszystkie kontakty, kurki i je schował. Najczęściej powtarza:

– Zostaw to, zostaw, to moje.

Często płacze.

PAWEŁ

– Było tak, że Paweł raz ściągnął bluzę, ale ja go nie chciałem dotykać, bo on był spocony – kontynuuje zeznania Marcin M.

Opiekunka Marzena Kłosińska: – Paweł był zawsze rozmowny, a nagle zaczął się w sobie zamykać i spać na ławce przed domem…

Paweł Skrzypczak (dwadzieścia sześć lat) chodzi własnymi ścieżkami. Często odwiedzał pobliski PGR. Jednak kiedyś doniósł kierownikowi, że pracownicy w godzinach pracy pili wiśniówkę, i od tego czasu nie jest tam mile widziany. Z PGR wraca często cały brudny od gnojówki. Czuje, że śmierdzi, i wchodzi wtedy pod prysznic, ale po kąpieli ubiera się w brudne od gnoju ciuchy… Jest pocieszny, chętny do rozmowy. Cierpi na nerwicę natręctw. Musi uporczywie dotykać, głaskać wszystkich i wszystko.

Paweł: – Nie lubię Marcina, bo on chodzi po wszystkich pokojach i odkręca kaloryfery. Kiedyś kazał mi zdjąć spodnie, buty i łapał mnie tu – wskazuje na krocze. – Ja nikomu o tym nie mówiłem. Dzisiaj powiem. On mi wkładał swego siusiaka tu – pokazuje na narządy płciowe.

Marcin: – Ja się naprawdę dziwię. Gdyby to wszystko była prawda, to dlaczego nie przyjechał ford transit? Chodzi mi o policję. Dlaczego od razu nie przyjechali?!

Psychologowie sądowi zgodnie orzekli, że świadkowie poszkodowani przez M. nie są zdolni do wymyślenia zdarzenia, które nie miało miejsca. To, że zmieniają zdanie i unikają odpowiedzi, wynika ze specyfiki ich upośledzenia

umysłowego. Dodatkowo stresująco wpływa na nich obecność podczas zeznań oskarżonego.

W styczniu 2001 roku Sąd Rejonowy w Inowrocławiu uznał Marcina M. za winnego zarzucanych mu czynów z ustaleniem, że dopuścił się ich, mając ograniczoną zdolność rozpoznawania ich znaczenia. Skazał go na rok i osiem miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem na cztery lata i postanowił, że skazany ma pozostać w DPS-ie pod dozorem kuratora.

Ponieważ jednak był to drugi konflikt Marcina z prawem, odwieszono mu wyrok za kradzież spódnicy i herbaty z czasów Szarzaw. Na Gwiazdkę Marcin poszedł do więzienia, gdzie spędził osiem miesięcy, po czym wyszedł za dobre sprawowanie.

W sierpniu 2002 roku był z powrotem w Tarnówku.

Już parę dni po jego powrocie dyrektor Cykulski pisał znowu do sądu i do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie:

Obecnie mieszkają u nas cztery osoby pokrzywdzone seksualnie przez pana Marcina M. Osoby te świadczyły w sądzie przeciwko panu M. i pozostają w bezpośrednim zagrożeniu, ponieważ pan M. może się na nich zemścić. Pan Marcin M. nie wymaga pomocy w czynnościach samoobsługowych, w pełni potrafi samodzielnie kontaktować się ze środowiskiem. Wielokrotnie dopuszczał się wymuszeń, pobić, a raz nawet uderzeniem stłukł na twarzy okulary pracownikowi…

W odpowiedzi otrzymał od PCPR zalecenie wzmożenia obserwacji i działań ze strony zespołu opiekuńczo-terapeutycznego oraz informację, że pan M. może opuścić dom tylko na własne życzenie.

– No to poszłyśmy do niego z paniami opiekunkami i próbowałyśmy go nakłonić, żeby sam odszedł – opowiada kurator Gmura. – Ale on na to, że nie ma dokąd pójść. To ja mówię: – Panie Marcinie, my przypuszczamy, że pan jest osobą, jak to się mówi, kochającą inaczej. My to oczywiście szanujemy, ale sam pan rozumie, że pańskie przebywanie z mężczyznami, od których jest pan dużo silniejszy, zwłaszcza w świetle pańskiego ostatniego wyroku, może rodzić podejrzenia…

– I co on na to?

– No, że teraz już nie jest silniejszy, bo go przenieśli do pokoju z Waldkiem. To taki ogromny facet, który przesiedział sporo w więzieniu. I Marcin podaje tego Waldka jako gwarancję, że już nie molestuje, bo przecież Waldek nie dałby się molestować. Poprosiłam więc, żeby przynajmniej nie zamykał się z innymi chłopakami na klucz. On mi na to, że nie jest ubezwłasnowolniony i ma prawo się zamykać. I tyle zwojowałam.

– A pani uważa, że on nadal molestuje?

– Nie mam dowodów. Zawsze jest szansa, że nie molestuje…

W styczniu 2003 roku dyrektor Cykulski napisał kolejne pismo do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie:

Personel domu nie jest przekonany, że proceder z molestowaniem się nie powtarza. Obserwacja jest jednak utrudniona, ponieważ pan M. zamyka się ze współmieszkańcami w pokoju, wymuszając klucz od personelu. Często też ukradkiem sam zabiera klucze. Nasi mieszkańcy nadal czują się zagrożeni. Pan M. jest na tyle mądry, że sam nie podpisze rezygnacji. Po wyroku sądu uważa się za bardziej doświadczonego życiowo, twierdzi, że sąd nie może mu nic zrobić, bo takich jak on nie skazują…

Dyrektor Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie Maria Kozłowska: – Wszystkiemu winna jest niefrasobliwość ludzi w togach. To oni zawiesili Marcinowi M. wyrok i pozwolili wrócić do Tarnówka.

– Ale gdyby M. przebadać jeszcze raz, to może w ogóle by nie wrócił do DPS-u?

– O to powinna wnioskować pani kurator… No, ale cóż, właśnie zastali mnie państwo na pisaniu skargi na panią Gmurę…

– A co państwo robią w tej sprawie?

– Zamówiliśmy sporządzenie opinii prawnej. Nie tracimy nadziei, że wszystko skończy się szczęśliwie.

– A jaki koniec będzie szczęśliwy?

– Marcin M. odejdzie spod naszej kurateli.

Na dziedzińcu DPS-u wyciąga do nas ramiona drewniana postać w typie Piasta Kołodzieja, ukazując na piersi napis „Witajcie”. Wita nas też oficjalnie dyrektor Dariusz Cykulski i bardzo wylewnie grupka pensjonariuszy z grabiami, bo właśnie trwa sprzątanie ogrodu. Leszek pokazuje na zęby

i daje do zrozumienia, że zaraz będzie jechał do dentysty. Paweł rzuca się z pocałunkami, inni wyciągają ręce, dotykają, śmieją się. Tylko jeden chłopiec, rudy, niewysoki, o smutnej, ale ładnej twarzy, nie zwraca na nas uwagi. Podaje rękę, ale nie patrzy w oczy, odsuwa się. To Dominik Gwiazda.

Marcina nie ma w tej grupce. Od wyroku nie mieszka nawet na tym samym piętrze, co wszyscy. Przeniesiono go na parter przy pomieszczeniach opiekunów. Pukamy do drzwi ozdobionych plakatem z filmu *Nico* ze Stevenem Seagalem.

Po wyglądzie Marcina nie widać upośledzenia. Średniego wzrostu, szczupły, o regularnych rysach, cierpi tylko na obfity trądzik. Jest wesoły i rozmowny:

– Bardzo mi miło. Jestem zaszczycony, że państwo się fatygowali – cieszy się i zaprasza do środka.

Wnętrze pokoju wygląda jak komisariat. Na krześle leży jaskrawożółta kamizelka z napisem „POLICJA”, w szafie wiszą czarne spodnie bojówki. Przy łóżku stoją czarne oficerki. Jest też pałka policyjna, którą Marcin sam wystrugał na zajęciach, niebieska czapka z orzełkiem i drogowy lizak. A na drzwiach szafy wisi na wieszaku granatowa bluza z pagonami.

– To moja największa duma – Marcin dotyka bluzy.

– Jest w stu procentach oryginalna. Bardzo jestem też przywiązany do tego swetra, ale to od razu muszę się przyznać, że nie jest oryginalny. Kupiłem go w Geancie w Bydgoszczy i sam naszywałem pagony. Pagony są

prawdziwe. Właściwie prawie nie widać różnicy, ale to jednak nie to samo…

– Skąd masz to wszystko?

– Mam znajomości w sklepie policyjnym i nie tylko – uśmiecha się tajemniczo.

– Marcin koresponduje z komisariatami i czasem przysyłają mu jakieś rzeczy – wyjaśnia Cykulski. – Ostatnio jego pasją jest także fotografowanie. Kupił aparat. Marcin, pokaż państwu album ze swoimi zdjęciami.

Marcin chętnie podaje pękatą książeczkę. Na większości zdjęć są policyjne samochody, na kilku, robionych zapewne samowyzwalaczem, jest Marcin w żółtej kamizelce albo w policyjnym hełmie… Nas najbardziej zaciekawia fotografia zrobiona w ogrodzie, gdzie przy plastikowym stoliku siedzi para starszych ludzi o kwaśnych minach.

– To moi dziadkowie – wyjaśnia Marcin. – Jeżdżę do nich w odwiedziny, ale oni nie chcą, żebym z nimi mieszkał.

– A twój ojciec?

– Nienawidzę go.

– Czy ojciec cię krzywdził?

– Tak. Bił mnie, pasem mnie bił. Teraz mnie ciągle zaprasza. Chce, żebym do niego wrócił. Ale ja nigdy… – i Marcin chowa głowę w ramiona.

W teczce Marcina w ośrodku w Szarzawach zachowała się kartka pocztowa od ojca:

Marcin, przyjeżdżaj do mnie na wakacje. Pogoda będzie na pewno ładniejsza niż w Wielkanoc, więc i czas będzie

można spędzić o wiele ciekawiej. Pokażę ci wiele ciekawych rzeczy…

A w wywiadzie seksuologicznym Marcina przeczytaliśmy:

Mieszkał z matką. Mama nie była dobra, bo nie dawała pieniędzy. Biła go. Ojciec pił. Też bardzo bił. (…) Gdy miał trzynaście lat, jeździł z ojcem do Warszawy. Ojciec brał go do lokali, w których pokazywali filmy erotyczne. Nie za bardzo chciał je oglądać. Kobiety robiły coś ze sobą, mężczyźni też. Ojciec chciał, żeby Marcin go głaskał, ale on mu odmówił…

Tamtego wieczoru opiekunka zaczęła od zamknięcia pokoju na klucz. Chciała, żeby Dominik miał świadomość, że nic mu nie grozi, że nikt nie wtargnie i nie zburzy spokoju. Puściła cichutko radio, a delicje położyła na łóżku. Dominik na początku był sobą, to znaczy głowa schowana w dłoniach, zawstydzony, niechętny. Ale po chwili stało się coś, co bardzo ją zaskoczyło. Ręce schował do tyłu, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Może nie radosny, ale taki potwierdzający, że się nie boi. Że czuje, że ktoś się nim interesuje, o niego się troszczy.

– Czy przychodzi do ciebie Marcin? – zapytała.

– Tak. Przychodzi.

– Kiedy?

– Co sobotę.

– A skąd wiesz, że to jest sobota?

– W telewizji lecą filmy w nocy. Adam na nie chodzi i jestem sam w pokoju.

– Przychodzi i co?

– I wkłada rękę pod kołdrę, i ściąga mi piżamę, i mnie głaszcze. Mówi, że mam być cicho, bo mnie zabije. Mówi, że był w więzieniu i że umie zabić, tam się nauczył. I że jak chcę żyć, to mam nikomu nie mówić.

– Chciałbyś, żeby Marcina tu nie było?

– Bardzo bym chciał! Bardzo – Dominik zaczął płakać.

Dyrektor Kozłowska z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie dotrzymała obietnicy. Dyrektor Cykulski otrzymał opinię prawną:

Nie ma możliwości uchylenia lub zmiany decyzji kierującej do domu pomocy społecznej bez zgody osoby zainteresowanej (…) po wyczerpaniu środków terapeutycznych należy się zwrócić o pomoc medyczną, a w każdym przypadku łamania prawa należy bezwzględnie przeciwstawić się…

– Dlaczego tak cię fascynuje policja? – zapytałam na koniec Marcina.

– Policja ma władzę, policja rządzi – odparł. – Wystarczy, że policjant zatrzyma was na szosie, to od razu czujecie lęk, co będzie, prawda? To jest właśnie fascynujące! Ja to miałem raz, jak przyszli mnie aresztować. Koledzy mi mówili – teraz zobaczysz, teraz będą cię bić, będą cię pieprzyć w dupę. I ja się bałem, ale potem policjanci mnie wzięli i wcale nie byłem na nich zły.

Marcin lubi czasem wyjść na szosę z Włocławka do Kruszwicy. Wkłada czapkę, bluzę, kamizelkę i zatrzymuje nadjeżdżające wozy. Najfajniej, gdy trafi się bardzo duży wóz, najlepiej TIR.

– Dzień dobry, dokumenty do kontroli proszę.

Kierowca TIR-a przypatruje się policjantowi z trądzikiem i coś mu nie gra, ale nie bardzo wie co, więc posłusznie wręcza dokumenty.

– Jaki ma pan stopień? – pyta tylko podejrzliwie.

– Posterunkowy – odpowiada obojętnie chłopak. – Proszę włączyć światła stopu. Dziękuję. Teraz sprawdzimy migacze… O, widzę, że lewy nie działa.

– Niemożliwe – mówi kierowca. Wysiada z szoferki i doskakuje do reflektorów, ale po drodze zahacza jeszcze raz okiem o posterunkowego, zatrzymuje się i już wie… – Ty cholerny gnojku! – krzyczy i popycha chłopaka w rów. Wsiada do wozu, trzaska drzwiami i rusza z impetem.

I Marcinowi jest w takich sytuacjach bardzo przykro, że znowu się wydało, choć przecież wiedział, że musi się wydać. A jednak było warto. Więc otrzepuje ukochaną bluzę, znowu staje na szosie i macha na następny samochód lizakiem z napisem ZHP.

Współautorem tekstu j'est Marcin Kowalski.

Imiona poszkodowanych mężczyzn są zmienione.

2003

Normalni i nienormalni

Wszystko o moich matkach

MARTINE + PATRICIA = WENDY

Wendy ma czternaście lat, ładną buzię i aparat na zębach. Częstuje mnie pepsi-colą w salonie, na parterze żółtego domku pod Paryżem.

Gawędzimy sobie pogodnie, ale na górze ktoś cały czas mówi podniesionym głosem. Nie zwracamy na to uwagi. Ja przez grzeczność, a ona przez dzielnie skrywane zakłopotanie.

– Jesteś lesbijką? – zagajam.

– O rany, wszyscy o to pytają! – dziewczynka przewraca oczami. – Z moją orientacją jest wszystko w porządku. Znam kilkanaścioro nastolatków takich jak ja i nikt z nas nie jest homo.

– Ale model rodziny, wychowanie bez mężczyzny…

– Mam ojca chrzestnego.

Wendy jest adoptowaną córką Martine Gross, socjolożki i honorowej prezeski francuskiego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek Rodziców i Przyszłych Rodziców (APGL). Od jedenastu lat mieszka z nią i jej partnerką Patricią.

Francuskie prawo pozwala adoptować dzieci osobom stanu wolnego, ale nie homoseksualistom. Martine musiała więc ukryć to, że jest lesbijką. Taka forma macierzyństwa ją zadowala, zwłaszcza że Patricia ma już dzieci, które urodziła mężowi w czasach, kiedy – jak to się mówi w stowarzyszeniu – nie pogodziła się ze swoją prawdziwą orientacją.

Do Martine Wendy mówi mamo (maman), do Patricii – mamo chrzestna *(marraine).*

– Chociaż oczywiście to tytuł symboliczny. Chrztu nie było, jesteśmy ateistami – mówi dziewczynka.

– A twoi biologiczni rodzice, wiesz coś o nich?

– Nic nie wiem. W tym domu dostałam tak wiele miłości, że szczerze mówiąc, nigdy mnie to nie interesowało. Moje życie zaczęło się od Gwiazdki w tym pokoju, zaraz po przyjeździe z sierocińca. Miałam trzy lata.

Patricia spędza dzisiejszy dzień ze swoimi córkami. Są już dorosłe, zamężne. Ich zdjęcie, z Wendy w objęciach, stoi na pianinie.

Martine, która mnie tu zaprosiła, ciągle rozmawia przez telefon na górze i zdaje się, że nie jest to łatwa rozmowa.

– A jak mówisz ludziom, że mieszkasz z dwiema lesbijkami, to jak reagują? – pytam.

Wendy wydyma usta. – Wiesz, nie chodzę i nie trąbię o tym na ulicy. Ale i nie ukrywam. Nigdy nie wstydziłam się zapraszać do domu koleżanek i kolegów. Nigdy nie spotkała mnie z tego powodu najmniejsza przykrość.

– Nie wierzę.

– Przysięgam. Może mam szczęście, że żyję wśród ludzi inteligentnych i taktownych. Kiedy wystąpiłam w telewizji w programie o dzieciach homoseksualistów, na drugi dzień w szkole wszyscy mi gratulowali. Niektórzy mówili: nie wiedziałem, ale OK, to bardzo ciekawe, fajnie wypadłaś.

…I JULIEN

Wendy idzie na górę po album rodzinny. Wraca z wiadomością, że Martine jednak nie zejdzie. – Ma problem z moim bratem. Dzisiaj pokłócił się z właścicielem restauracji, w której pracuje. Mama próbuje się z nim rozmówić przez telefon.

Juliena widzę tylko na zdjęciach. Ma szesnaście lat, Martine zaadoptowała go dwa lata po Wendy.

– Ale on nie będzie chciał z tobą rozmawiać. Rzadko jest w domu, nigdy nie przyprowadza znajomych. Nie najlepiej czuje się z nami.

– A widzisz! A przecież żyje w tym samym środowisku co ty.

– Może mnie jest łatwiej, bo jestem dziewczyną. Dla chłopaka, który jest z samymi kobietami, to chyba trudniejsze.

– Tobie byłoby trudniej, gdyby zaadoptował cię gej?

– Myślę, że tak. Ale *maman* jak zwykle znalazła rozwiązanie. Wpadła na pomysł, żeby Julien w tygodniu mieszkał u pewnych gejów, od których ma zresztą bliżej do szkoły. To nasi bardzo serdeczni przyjaciele. Jeden z nich ma siedmioletnie dziecko z byłą żoną, które mieszka

tydzień u nich, a tydzień z matką, a drugi ma dwoje dzieci już dorosłych. Julien świetnie się z nimi dogaduje…

Przerywamy, bo niespodziewanie po schodach zbiega zapłakana Martine.

– Trafiła pani na bardzo zły moment – mówi roztrzęsiona.

Wendy uśmiecha się do mnie przepraszająco. Żegnam się pośpiesznie.

CARLA + MARIE-LAURE = GULIETTA, LUANA, ZELINA

Do Paryża przyleciałam na zaproszenie dwóch innych pań: Carli Boni i Marie-Laure Picard. Kilka dni wcześniej stały się najsłynniejszą parą we Francji. Sąd przyznał im obu równe prawa rodzicielskie do trzech dziewczynek urodzonych przez Marie-Laure. To nie lada precedens w kraju, w którym jeszcze w 1982 roku homoseksualizm był przestępstwem.

Ich domek znajduję w XIX Dzielnicy, w której toczyły się walki Komuny Paryskiej, co podkreśli Carla, bo lubi porównywać walkę homoseksualistów o równouprawnienie z walką proletariatu.

Drzwi otwiera dziesięcioletnia dziewczynka, wchodząca w skomplikowany wiek dojrzewania, co widać po dużej ilości biżuterii i czerwonych pasemkach we włosach. Za nią schodzi po schodach ubrana na buro kobieta po czterdziestce. To Marie-Laure – małomówna i dystyngowana. Żywiołowa, rumiana i korpulentna Carla, z pochodzenia Włoszka, jest jej przeciwieństwem.

W zabałaganionej kuchniojadalni smażą się kotlety i roi się od dzieci. Najstarsza Gulietta maluje paznokcie,

siedmioletnia Luana i pięcioletnia Zelina fikają na dywanie. Razem z nimi ich koledzy Marius i Lucien. Środa jest dniem wolnym od szkoły. Dziś Carla i Marie-Laure opiekują się dziećmi przyjaciół, u których ich trójka spędzi dzień za tydzień.

Chłopców przyprowadził Franęois, który właśnie rozmawia przy zlewie z Carlą. Jego żona reżyserka telewizyjna nakręciła niedawno film dokumentalny o Carli i Marie-Laure *Mam dwie mamy.* Wystąpiła w nim większość z czterdzieściorga ich przyjaciół i krewnych, którzy w sądzie zeznali pod przysięgą, że rodzina Carli i Marie-Laure jest szczęśliwa i pełna miłości. A dzieci mają w niej wszystko, co potrzebne do prawidłowego rozwoju.

Związek Carli i Marie-Laure to historia wielkiej miłości, która trwa nieprzerwanie od szkolnej ławy, czyli od ponad trzydziestu lat. Chciały wspólnie przeżywać ciążę i poród. Dlatego nie walczyły o adopcję, ale wybrały bank spermy. We Francji, tak jak w Polsce, dziecko z probówki może się urodzić tylko w związku małżeńskim, inseminacje odbywały się więc w Belgii, gdzie nie ma takich ograniczeń. Psycholog z kliniki postawił jeden warunek: – Wasi rodzice muszą o tym wiedzieć. Mogą się nie zgadzać, ale muszą wiedzieć i o waszej orientacji, i o tym, że wnuk będzie z probówki.

Matką została Marie-Laure, badania wykazały, że jest bardziej płodna.

Obiad zaczynamy od sałatki z brokułów. Jemy japońskimi pałeczkami, bo to frajda dla dzieci. Gulietta odsuwa talerz.

Coś jej się przypomina. – Wczoraj w szkole na stołówce jeden chłopak powiedział mi: „Kocham cię tak bardzo, że zrobię dla ciebie wszystko*. A ja spojrzałam mu w oczy, o, tak głęboko – Gulietta zwęża oczy i rozchyla usta. „Naprawdę wszystko?” „Wszystko”. A ja:,,To zjedz za mnie brokuły!*

Luana, Zelina, Marius i Lucien parskają śmiechem i brokuły wypadają z ust na ceratowy obrus.

Po obiedzie dzieci idą do pokoju się bawić, a my zmywamy naczynia. Carla i Marie-Laure opowiadają mi swoją historię.

– Chodziłyśmy razem do jednej klasy. Nasi rodzice dobrze się znali. Rodzice Marie-Laure, mimo że katolicy, byli bardzo nowocześni. To pokolenie '68 – mówi Carla.

– Na początku Carla miała chłopaka, Serge'a. Możemy jej opowiedzieć o Serge'u? Jak myślisz?

– Jasne!

– Otóż musisz wiedzieć, że z Serge'em i Carlą stworzyliśmy w pewnym momencie trójkąt.

– Rozumiem, kamuflaż.

– Nic podobnego! To była wielka miłość. Miłość we troje.

– A co na to rodzice?

– Absolutnie to akceptowali! Mama zawsze dawała nam pokój z największym łóżkiem dla całej trójki. Potem zamieszkaliśmy w piątkę z moim bratem i bratową. Z biegiem czasu Serge zaczął schodzić w naszym związku na drugi plan i w końcu się wyprowadził. Dziś ma cudowną

żonę i dwie córeczki. My przeniosłyśmy się na własne gospodarstwo, dopiero gdy zdecydowałyśmy się na dziecko.

– Dlaczego nie naturalnie? Łatwiej, no i… taniej niż z probówki?

– Bo to miało być tylko nasze dziecko, owoc naszej miłości.

– Byłoby nam trudno wychowywać je z kimś trzecim.

PANIE Z PRZEDSZKOLA

– Tylko w jednym przedszkolu w Paryżu nie chcieli przyjąć naszych dzieci, nie podając zresztą powodów – opowiada Marie-Laure. – Wybrałyśmy przedszkole typu *parentel,* takie, w którym rodzice na zmianę opiekują się dziećmi razem z wychowawczyniami. Obie mamy wolne zawody, ja jestem grafikiem, Carla – fotografem, więc bardzo nam to odpowiadało. Fajnie jest widzieć, jak dzieci rosną z innymi dziećmi, dzień po dniu.

Dziewczynki o podwójnym nazwisku Picard-Boni były jedynymi dziećmi pary homoseksualnej. Mimo to po roku rada przedszkola wybrała Marie-Laure na przewodniczącą, a rok później Carlę na wiceprzewodniczącą.

– Ludzie u nas nie są nastawieni wrogo do homoseksualistów, są co najwyżej ciekawscy. Jak ogłoszono wyrok sądu, sąsiedzi zaczepiali nas na ulicy, w spożywczym. Gratulowali, podnosili kciuki – mówi Carla.

– A co wpisujesz dzieciom w rubryce ojciec?

– Wpisuję: druga matka Carla Boni. Prawdę mówiąc, uważam, że rubryki „ojciec”, „matka” to też przejaw

dyskryminacji. W Kalifornii to nie do pomyślenia. Zawsze jest: rodzic 1 i rodzic 2.

NOWA SZANSA DLA RODZINY?

Marie-Laure wychodzi z Guliettą do ogniska plastycznego.

Carla chwali córkę: – Do niedawna Gulietta chodziła też na trapez, bo zakochała się w cyrku. Ile my się naszukałyśmy takiego kursu. Teraz bardziej interesuje ją malarstwo.

Siedmioletnia Luana uczy się gry na skrzypcach i tańca współczesnego. Najmłodsza – Zelina – tańca, perkusji i podstaw judo.

Każda z dziewczynek ma po jednej matce chrzestnej i aż po dwóch ojców chrzestnych – bliskich przyjaciół domu. Po to, żeby zrównoważyć dziewczynkom brak mężczyzny w najbliższej rodzinie. Słowo „chrzestny”, podobnie jak w rodzinie Wendy, jest umowne. Zarówno Carla, jak i Marie-Laure, mimo że wychowane w katolickich rodzinach, są niewierzące.

– Ale mamy we Francji także Stowarzyszenie Chrześcijan Homoseksualistów, kobiet i mężczyzn – zaznacza Carla. – Fantastyczni ludzie!

Stawia na stole stos książek. *Rodzicielstwo homoseksualistów – wizja lokalna, Rodzice jak inni. Homoseksualizm i rodzicielstwo, Homorodzicielstwo – nowa szansa dla rodziny?…*

– Każda zadaje podstawowe pytanie: czy rodzicielstwo to biologia, czy też wola – mówi. – A tu – podsuwa mi opasłą

książkę historyczną – znajdziesz informację, że do XII wieku homoseksualiści mogli wychowywać dzieci. Zabroniono im tego dopiero w czasie krucjat, kiedy Kościół potrzebował pieniędzy. Bo jeśli ktoś umierał bezdzietnie, jego majątek łatwiej przejmował kler.

MARIE-LAURE ZRZEKA SIĘ PRAW

Mimo że dziewczynki noszą nazwisko Picard-Boni i mówią do Carli *mamina* (po włosku mamusia), Carla Boni w świetle prawa przez lata była dla nich obca. Gdyby Marie-Laure umarła, dziewczynki mogłyby nawet trafić do sierocińca.

– Łatwo ci się było z tym pogodzić, że Marie-Laure wydała na świat wszystkie wasze dzieci? – pytam.

– Nie pytaj, co czułam, depresja, straszne stany…

Najpierw Carla została adopcyjną matką dzieci. Ale aby to mogło się stać, Marie-Laure musiała się zrzec swoich praw rodzicielskich.

Kiedyś to ona mogła zabrać dzieci i odejść, teraz sytuacja się odwróciła. – Powiedziała: ty okazałaś mi zaufanie, teraz ja ci je oddaję – Carli szklą się oczy na to wspomnienie.

Na szczęście wkrótce przepisy nieco złagodzono i obie kobiety dostały do dziewczynek równe prawa.

SEBASTIAN + PAUL + CHANTALE + SYLVIE = COCO

Kolacja u Sebastiana i Paula zaczyna się aperitifem na tarasie. Na dachu kamienicy jemy tartinki z pastą łososiową, popijamy muskatem, słońce zachodzi czerwono nad wieżą Eiffla, a wokół stolika krąży na rowerku dwuipółletnia brunetka, która zerka nam do talerzy.

– Ludzie mówią: jesteś gejem, to znaczy, że nie chcesz mieć dzieci. A ja zawsze chciałem – wzrusza ramionami Sebastian. Smaruje kolejną tartinkę, którą dziewczynka połyka w całości. – Ostatnia, kotku, będziesz grubaskiem. Mamy spory kłopot z Coco, bez ustanku je. Nie wiesz, co z tym zrobić?

Ma trzydzieści siedem lat. Przystojny brunet, dyrektor personalny w dużej firmie.

Paul, czterdzieści siedem lat, delikatnej urody, o kobiecych ruchach, jest lekarzem. W stanie wojennym woził dary do kościołów w Polsce. Ich miłość trwa już dwadzieścia lat.

– Dokładnie dziewiętnaście lat, osiem miesięcy i trzy dni – uśmiecha się znacząco Paul. – Na tej samej imprezie poznałem swoją przyszłą żonę oraz Sebastiana.

– Obaj uznaliśmy to najpierw za idiotyczny wygłup po alkoholu – wchodzi mu w słowo przyjaciel. – Ale mimo że sam miałem wówczas dziewczynę, nie mogłem przestać myśleć o Paulu. On tymczasem się ożenił, na świat przychodziły jego dzieci. Od czasu do czasu uciekał do mnie, ale nie chciał porzucić rodziny. To był mój wielki dramat. Szukałem zapomnienia w niezliczonych romansach z kobietami. Nic nie pomagało.

– Odszedłem od żony czternaście lat temu, cztery miesiące po przyjściu na świat mojego najmłodszego synka, kiedy moja żona oświadczyła, że powinniśmy wszyscy przeprowadzić się do jej matki do Bretanii.

– Zostałem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Był tylko jeden problem. Pragnąłem dziecka. Paul to rozumiał, też chciał dziecka, które wychowywalibyśmy razem. Ale do tego, niestety, niezbędna jest kobieta.

– Kobiety chyba nie budzą w tobie wstrętu – wtrącam.

– Oczywiście, że nie. Ale to przecież nie byłoby w porządku wobec Paula.

RANDKA WE CZWORO

Schodzimy z tarasu krętymi schodkami do mieszkania, gdzie każdy kącik lśni czystością, a Paul na kolanach pucuje jeszcze podłogę w kuchni. Mieszkanie jest wypieszczone, trochę designerskie: umywalka w ubikacji w kształcie szklanej kieszeni, w salonie z belki nad drzwiami wystają jakieś kłosy, a wino podano w karafce, która sprawia wrażenie, że za chwilę się przewróci.

– Siostra Paula, która też jest homoseksualna i ma dziecko z pewnym gejem, poradziła nam, żebyśmy tak jak ona zgłosili się do APGL. Oni prowadzą rejestr par gejowskich, które pragną mieć dzieci. Tak poznaliśmy Chantale i Sylvie – wraca do opowieści Sebastian.

Przez rok dwie pary chodziły na randki do teatru, do kina, do restauracji. Tak jak narzeczeni, którzy, zanim zdecydują się założyć rodzinę, muszą się dobrze poznać. Panowie w zasadzie nie mieli wątpliwości. Chantale i Sylvie były ciepłe, wesołe, wyluzowane:,,Jemy z porcelany, to dobrze, z papierowych talerzyków – też dobrze". Miały podobne jak oni poglądy polityczne, były ładne, przed czterdziestką – bardzo im przypadły do gustu.

One miały więcej obiekcji. Najbardziej przeszkadzało im to, że Sebastian i Paul prowadzą zbyt rozrywkowy styl życia, że chodzą spać po północy i codziennie piją. Dało się to zwłaszcza odczuć, gdy cała czwórka spędzała wakacje w Prowansji, w letnim domu rodziców Paula. Dziewczyny szły spać o dwudziestej wieczorem po lampce wina, a chłopaki jeszcze bilard, piwko, a potem spali do południa.

– Jak będziemy mieć dziecko, to o której będziecie je kłaść? – martwiły się.

Paul uspokajał: – Dziecku potrzebny jest płodozmian. Mieszkając z wami, będzie się kładło o siódmej, a u nas o północy. W czym problem?

Ustalenia były jasne: dziecko będzie wychowywane jak w rodzinie rozwiedzionej. Niezależnie od tego, ile każdy z rodziców będzie z nim spędzał czasu i ile będzie zarabiał, wszystkie koszty pokrywają po połowie.

– Najwięcej problemów było z moją mamą. Oświadczyła mi, że nie cierpi lesbijek. Mówię jej: mamo, to nielogiczne. Mój homoseksualizm ci nie przeszkadza, a czepiasz się lesbijek? A ona: masz rację, synku, to nie jest logiczne, ale nie lubię ich i już. Zawsze mi się wydaje, że patrzą na mnie pożądliwie. Ja na to: mamo, daj spokój. Masz siedemdziesiąt lat, nie sądzisz chyba, że ktokolwiek mógłby jeszcze patrzeć na ciebie pożądliwie? – mówiąc do mnie, Sebastian próbuje bez powodzenia nakarmić Coco pomidorem na ciepło. Dziecko prycha, bo woli ziemniaka. Pomidor ląduje na białym dywanie, Sebastian leci po ścierkę.

– …I ją to strasznie rozśmieszyło – kontynuuje spod stołu. – W końcu zgodziła się zaprosić Chantale i Sylvie na kolację i tak się zagadały, że my z Paulem w ogóle nie mieliśmy okazji, żeby coś powiedzieć. Mama po prostu się w naszych dziewczynach zakochała.

Rodzice pań też byli za, to przeważyło.

Przyszło do podjęcia najważniejszej decyzji: która będzie matką, a który z nas ojcem.

– Paul miał już trójkę dzieci, więc z czwartym dzieckiem byłby kłopot przy dziedziczeniu. Natomiast na moją niekorzyść przemawiał jakt, że mam kłopoty z sercem. Dziewczyny obawiały się, czy to nie jest dziedziczne. Powiedziałem, że nie jest, bo chyba nie jest. Zresztą co miałem powiedzieć? Mogłem oczywiście odwzajemnić się i przyczepić do tego, że mama Sylvie chorowała na raka, ale nie zrobiłem tego. Ja mógłbym mieć dzieci z obiema. One ustaliły, że najpierw matką będzie Sylvie.

STEPHANE + ISABELLE + AGNES =?

Nie musiałam pytać Sebastiana o to, jak wyglądał akt zapłodnienia, bo już wiedziałam, jak to się robi.

Kilka dni wcześniej francuska telewizja nadała film dokumentalny *Rodzice homo: przyszłe mamusie szukają przyszłych tatusiów* na temat *coparentalite,* czyli współrodzicielstwa, i *insemination artisanale,* co dosłownie znaczy zapłodnienie rzemieślnicze, choć chyba bardziej pasuje tu słowo „własnoręczne”. Tam zostały opowiedziane podobne historie.

W filmie trzydziestoczteroletnia lesbijka Isabelle spod Paryża pragnie dać dziecko swojej o dziesięć lat starszej partnerce Agnes. Biologicznego ojca kobiety znajdują przez internet. – Ze Stephane'em to była przyjaźń od pierwszego wejrzenia – wyznaje Isabelle. Czterdziestoletni Stephane ma zamazaną twarz. Wiemy tylko, że jest samotnym mężczyzną, zapewne homoseksualistą, który bardzo pragnie zostać ojcem.

Co miesiąc w dniu owulacji Isabelle po pracy kupuje w aptece jednorazową strzykawkę, wsiada w kolejkę i jedzie do stolicy, do mieszkania Stephane'a.

– Czasem jestem zmęczona, zniechęcona, mam mnóstwo innych zajęć, ale nie zdarzyło się, żebym opuściła choć jeden raz. Podobnie Stephane. Nic od tego nie jest ważniejsze – mówi dziewczyna.

Kamera towarzyszy jej w kwiaciarni, gdzie Isabelle kupuje róże dla Stephane'a, bo tego dnia są jego urodziny. On tymczasem kończy w kuchni owijać w folię pstrągi na kolację. Dzwonek do drzwi, wymiana pocałunków, żartów.

Po wspólnej kolacji Isabelle kładzie się w pidżamie do łóżka. Stephane w łazience oddaje nasienie do sterylnego pojemnika, przynosi go Isabelle i zostawia ją samą. Za pomocą strzykawki Isabelle aplikuje sobie zawartość. Przez kilkanaście następnych godzin pozostanie w pozycji leżącej. Stephane całuje ją na dobranoc i wychodzi do drugiej sypialni. Rano po śniadaniu Isabelle wróci do domu. Sama przyznaje, że mogłaby pójść na dyskotekę i zajść w ciążę

z kimś anonimowym. – Ale zależy mi, żeby mieć mojemu dziecku do opowiedzenia coś… przyjemnego.

Ciągle się uśmiecha, ale tak naprawdę żyje w stresie. To w niej pokładają nadzieje zarówno Stephane, jak i Agnes, dla których to ostatni dzwonek na sensowne – z punktu widzenia wieku – rodzicielstwo.

– To dla mnie jasne: on jest ojcem, ja się usuwam. Mimo że dziecko będzie głównie ze mną i z Isabelle – mówi Agnes. Kiedy Stephane przyjeżdża do nich, sama kupuje mu deser karmelowy, a późnym wieczorem odprowadza na dworzec. – Trzeba rozpieszczać tatusia naszego dziecka.

Stephane i Isabelle próbują od ponad roku, ciągle bez rezultatu.

Sebastian i Sylvie próbowali przez pięć lat. Regularnie dwa razy w miesiącu. W końcu załamana Sylvie ustąpiła miejsce Chantale, która zaszła w ciążę już za drugim razem.

Przy narodzinach Coco asystowali Sylvie i Sebastian.

RÓŻOWI RODZICE

W Wielkiej Brytanii, gdzie prawo nie zakazuje handlu materią ludzką, można zajść w ciążę przez internet. ManNotIncluded.com dostarcza do domu świeżą spermę anonimowych dawców kobietom, które ukończyły dwadzieścia jeden lat.

Serwis został stworzony głównie z myślą o lesbijkach. Klientka określa interesujące ją cechy psychofizyczne dawcy i wpłaca osiemdziesiąt pięć funtów wpisowego.

Resztę – po wybraniu jednego z czterech oferowanych pakietów.

W najdroższy Pakiet Diamentowy, za 4147,50 funtów, wliczone są między innymi dwie godzinne konsultacje lekarskie, rozmowa – oczywiście za pośrednictwem ManNotIncluded.com – z dawcą i dwanaście dostaw spermy. Tylko ten pakiet przewiduje zwrot pieniędzy za dawkę niewykorzystaną (w przypadku zapłodnienia).

W najtańszym Pakiecie Srebrnym, za 1706,25 funtów, klientka ma prawo do dwóch telefonicznych konsultacji medycznych i czterech dostaw.

Dawca dostaje od pięćdziesięciu do stu funtów za każde oddanie nasienia. Właściciel witryny John Gonzales twierdzi, że posiada już listę trzech tysięcy doskonale przebadanych dawców – gejów i biseksualistów między dziewiętnastym a czterdziestym piątym rokiem życia – gotowych na wezwanie.

Wśród homoseksualistów ManNotIncluded nie cieszy się jednak najlepszą opinią. Brytyjskie stowarzyszenie Pink Parents (Różowi Rodzice), walczące o prawa do posiadania dzieci przez pary jednej płci, alarmuje: spermy od Gonzalesa nikt nie kontroluje, a klientka nie ma żadnej gwarancji, że dostawa spełnia warunki jej zamówienia.

John Gonzales podaje, że dzięki jego serwisowi na świat przyszło już piętnaścioro dzieci. Zamierza otworzyć agencję we Francji, gdy tylko prawo francuskie na to pozwoli.

W wyszukiwarce Google wystukuję *coparentalite* i *annonces.* Otwierają się strony

z ogłoszeniami o współrodzicielstwie. Na niektórych notuje się do dziewięciu tysięcy wejść miesięcznie.

Kobieta żyjąca w związku szuka ojca, homo, wolnego lub w związku, w celu współrodzicielstwa. Tata uczestniczyłby aktywnie w wychowaniu dziecka, inwestując uczucie, wsparcie fizyczne i materialne. Powinien być bardzo zmotywowany, szczodry i odpowiedzialny. Bliskość geograficzna konieczna.

Jestem nauczycielką francuskiego i żyję w związku z kobietą, mamą osiemnastomiesięcznego chłopca, którego wychowujemy razem. To doświadczenie jest tak pozytywne, że chciałybyśmy mieć drugie dziecko. Szukamy przyszłego taty, który chciałby zainwestować w miłość i wychowanie naszego przyszłego misiaczka lub kwiatuszka na sprawiedliwie określonych zasadach. To znaczy opieka nad dzieckiem tydzień u taty, tydzień u mamy.

Dzień dobry, tu Robert (trzydzieści lat) i Daniel (trzydzieści dwa lata), szukamy w okolicach Tuluzy przyszłej mamy, samotnej lub w związku, w celu współrodzicielstwa. Pragniemy wychować nasze przyszłe dziecko w miłości (rodziców do dziecka) i przyjaźni (pomiędzy tatusiami i mamą/mamami).

Mimo że francuskie prawo nie jest dużo liberalniejsze niż polskie, we Francji już sto tysięcy par homoseksualistów wychowuje dzieci (w USA kilka milionów) adoptowane lub własne, poczęte drogą naturalną, przez zapłodnienie sztuczne lub coraz częściej „własnoręczne”. Do niego

wystarczy słoik i strzykawka i żadne prawo nie może go ludziom zabronić.

Nie znalazłam wyników żadnych badań, z których by wynikało, że dzieci wychowywane przez homoseksualistów częściej mają skłonności homoseksualne niż dzieci z rodzin hetero.

Jest natomiast wiele badań, które tej tezie stanowczo zaprzeczają. Psycholodzy z Vrije Universiteit Brussel, profesor Charlotta Patterson z uniwersytetu w Virginii (USA) czy Stephan Nadaud, psycholog dziecięcy z centrum szpitalno-uniwersyteckiego w Bordeaux, uważają także, że dzieci te nie stwarzają większych problemów wychowawczych niż dzieci z rodzin heteroseksualnych. Niektórzy dodają nawet, że matka lesbijka bardziej dba o to, by dziecko miało kontakt ze swoim biologicznym ojcem, niż samotna matka heteroseksualna przez tego ojca skrzywdzona.

Dzieci homoseksualistów bywają nieszczęśliwe, traktowane jak zabawka lub zwyczajnie nie dogadują się z rodzicami. Jak wszystkie.

Dla przeciętnego Francuza współrodzicielstwo jest jednak ciągle czymś dziwnym. Sebastian i Paul proszą, żebym na wszelki wypadek zmieniła ich imiona, jak również imiona ich pań. Nie wszyscy z ich znajomych wiedzą, skąd naprawdę wzięła się Coco.

– Nie myśl, że wszystko przebiegało tak sielankowo – podkreśla Sebastian. – Po porodzie w Chantale nagle obudził się tak silny instynkt macierzyński, że nie chciała

wywiązać się z umowy. To zaskakujące u osoby, która pracuje jako kontroler finansów i na co dzień pilnuje, żeby wszystko przebiegało zgodnie z ustaleniami. W ogóle nie chciała mi wydać niemowlęcia, nawet na jeden dzień!

W APGL ten problem jest powszechnie znany. Kobiety, które poczęły przez „zapłodnienie własnoręczne", mają problem z powierzaniem dziecka ojcu. Nagle dochodzi do nich, że to przecież obcy facet.

Przekonał się o tym inny bohater filmu *Mamusie szukają tatusiów* – gej Eric. Na współrodzicielstwo on i jego mężczyzna zdecydowali się z parą lesbijek poznanych przez internet.

Mówi do kamery w pokoju dziecinnym obok łóżeczka obficie przystrojonego kokardami.

– Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, to jakby piorun uderzył, tak jakbyśmy zakochali się w parze kobiet. Rodzice mnie ostrzegali, ale ja nie miałem wątpliwości. Zrobiłem to z wielkiego pragnienia posiadania dziecka. Przebudowaliśmy z Michelem dom, urządziliśmy ten pokój i… zostałem oszukany. Matka mojej córki wydaje mi ją tylko co drugi weekend i na połowę letnich wakacji. Gdybym wiedział, że zostanę wykorzystany jako zwykły reproduktor, jako elegancka etykietka, żeby dwie baby mogły teraz mówić: proszę bardzo, nasz dzidziuś ma ojca, to nigdy bym się na to nie zgodził. Ja nie mogę już bez niej żyć!

Eric pokazuje opasłe teczki. To dokumentacja trzech procesów sądowych, które wytoczył matce swojej córki. – Tydzień u mnie, tydzień u niej to absolutne minimum!

Minął rok, zanim sprawy między Sebastianem i Chantale się ułożyły. Coco spędza teraz z tatą co drugą środę i co drugi weekend. Jutro rano panowie zawiozą małą do przedszkola, skąd odbierze ją Chantale albo Sylvie. Taki układ wszystkim odpowiada.

Sebastian sam przyznaje, że nie byłby gotów dzielić obowiązków pół na pół.

– Jest zbyt przyzwyczajony do pewnej swobody

– usprawiedliwia go Paul.

– Dziecko musi mieć bazę. Dla Coco taką bazą są matki. Ja dobrze się czuję w roli uzupełnienia – dodaje Sebastian.

Właśnie wrócił z sypialni, gdzie uśpił córkę. Paul wnosi deser – czekaliśmy z nim, aż Coco pójdzie spać.

– Teraz wszyscy najbardziej martwimy się o Sylvie, która jedyna z nas nie ma dzieci – mówi Sebastian. Uzupełnia nasze kieliszki resztą wina z krzywej karafki.

– To jest szansa, że Coco będzie miała rodzeństwo?

– podejmuję temat.

– Sylvie przeszła niedawno operację ginekologiczną i ma nadzieję zostać matką.

– Znowu z nią spróbujesz?

– To już się dzieje. Od roku ponownie się spotykamy. Wiesz, po jakichś pięciuset razach to już wygląda trochę banalnie. Chciałbym, żeby się wreszcie udało – wzdycha.

– A twoja żona i dzieci akceptują Coco i związek z Sebastianem? – pytam Paula.

– Dzieci tak. Chętnie tu u nas bywają. Moi rodzice, bracia, siostra też tu przychodzą. Tylko ona nie, moja żona.

Uparcie odmawia poznania Sebastiana. To dla mnie bardzo trudne. Zapowiedziałem jej nawet: jeśli będziesz nadal ignorować Sebastiana, przestanę łożyć na wasze utrzymanie. Oczywiście mówię jej tak od lat i nadal płacę. Ale ona powinna się wreszcie z tym pogodzić. Trzeba zlikwidować to napięcie.

Paul staje się coraz bardziej rozgoryczony. – Zawsze była bardziej matką niż żoną. Ja byłem traktowany instrumentalnie. Wolała spędzać czas ze swoją mamusią niż z własnym mężem!

– A mówiłeś jej, że jesteś gejem i sypiasz z Sebastianem? – pytam.

– Nie. Powiedziałem jej tylko, że mam homoseksualne skłonności.

Mimo że są ateistami, Boże Narodzenie obchodzą niezwykle uroczyście. Wigilie są aż cztery, w różnych składach.

Sebastian i Paul mają jedno wielkie marzenie. Pragną, żeby na którąś Gwiazdkę cała rodzina mogła się spotkać wreszcie przy jednym stole: Sebastian, Paul, żona Paula, ich troje dzieci, Coco, Chantale i Sylvie… w ciąży.

2004

Najbardziej boję się teściowej

Kiedyś przyjechałam samochodem Weroniki pod jej szkołę – opowiada Lidka. – Zawsze się w takich sytuacjach trochę denerwuję. Wero jest nauczycielką, rozumiesz… A tutaj dzieciaki wybiegły ze szkoły, kilkoro spojrzało w moją stronę i… się ukłoniło. Wzięli mnie za nią!

– Wiele ludzi, którzy znają nas tylko z widzenia, bierze nas za tę samą osobę. A reszta ma nas za siostry – przekonuje radośnie Weronika. – Jestem pewna, że pięćdziesiąt… może nawet siedemdziesiąt procent naszych sąsiadów tak właśnie uważa. Często przyjeżdżają do nas nasze mamy, ojcowie. Wyglądamy na rodzinę.

– W najgorszym razie można powiedzieć, że jesteśmy koleżankami, które mieszkają razem, bo tak jest taniej – wzrusza ramionami Lidka.

– To kto ostatecznie wie, że jesteście lesbijkami? – pytam.

Terrarium z żółwiem, krzyż z bambusa na ścianie, kuchnia połączona z pokojem, dziecięce rysunki w stylowych ramkach. Blokowe mieszkanie na prowincji kobiecymi dłońmi przerobione na cacko. A tych dłoni jest

sześć: Lidka trzydzieści lat, Weronika trzydzieści trzy i Anielka pięć.

Imiona, oczywiście, zmieniłam.

O ich sekrecie wie kilkoro najbliższych przyjaciół, rodzeństwo oraz rodzice.

Mama Weroniki zawsze była dumna z tego, że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji. Za PRL-u sama wychowywała czwórkę dzieci, bo mąż pracował za granicą. Świetnie się sprawdziła w świecie męskim, jest dyrektorem, kieruje zespołem mężczyzn. Kiedyś lubiła traktować mężczyzn protekcjonalnie, na przykład męża: – Aaaaa, wzięłam sobie Adasia, bo innego kandydata nie było – mawiała przy koleżankach.

Teraz już tak nie powie.

– Kiedy się dowiedziała o mnie, kompletnie się pogubiła. Powiedziała, że nie rozumie tego i że potrzebuje czasu. Minęło już kilka lat, a ona ciągle się nad tym zastanawia – mówi Weronika.

Tata odetchnął z ulgą, że melancholia córki to tylko Lidka, a nie, jak chodziło mu po głowie, narkotyki. Po dłuższym namyśle powiedział:,,Jak bym miał jednego ziemniaka, to bym jedną połówkę oddał tobie, ale nie jestem jeszcze gotów, żeby drugą połówkę oddać Lidce".

Mama Lidki podeszła do sprawy bardziej racjonalnie.

– Aż w szoku byłam – mówi Lidka. – Zapytałam ją, czy zdaje sobie sprawę, że Weronika znaczy dla mnie coś więcej niż tylko koleżanka. A ona:,,No, chyba wszyscy to widzą". A ja:,,No właśnie nie!" No bo taka chociażby znajoma,

z którą we trzy spędzałyśmy wakacje. Myślałam, że to dla niej jasne, spałyśmy w osobnym namiocie, chodziłyśmy czasem za rękę i tak dalej. A ta, jak jej to w końcu wprost powiedziałyśmy, była przerażona.

– To też nas chroni. Ludziom w Polsce po prostu coś takiego nie przychodzi do głowy – dodaje Weronika.

– Czy wiecie, że we Francji sto tysięcy par homoseksualnych oficjalnie wychowuje dzieci? – pytam. – Od lat działa tam Stowarzyszenie Gejów i Lesbijek Rodziców i Przyszłych Rodziców.

Dziewczyny wzruszają ramionami: – Stowarzyszenia i manify to nie dla nas. Nie zależy nam na rozgłosie. Nam jest dobrze tak, jak jest. Na razie sobie radzimy.

– W takich intymnych kwestiach wolę być o krok do tyłu. Nie byłyśmy nigdy dyskryminowane, nie mamy potrzeby jakiegoś odwetu.

– Jeszcze dziecko w to wciągać. Po co? – kwituje Weronika.

Kiedy poznała Lidkę, córka Lidki, Aniela, miała dwa lata. – Zaakceptowała mnie naturalnie. Była wtedy bardziej moja niż Lidki. Lidki było mniej w domu, bo studia i praca. Mała do mnie przychodziła się przytulać – wspomina.

Seksuolog poradził: „Kochaj i szanuj jej mamę. Wtedy dziecko samo przylgnie do ciebie. Stwórz ciepły dom”.

– Kiedy jest jakaś trudna sytuacja, na przykład Anielka jest niegrzeczna, nie chce się ubrać czy coś, to ja się usuwam. Ja mam być tylko ciocią. Nie mamą. Boże broń!

Lidka: – Nie mówimy przy mojej córce, że się kochamy. Myślę, że ona to wie, ale od nas bezpośrednio tego nie usłyszy. Nie dajemy sobie przy niej buzi. W łóżku jesteśmy czujne. Gdy śpimy do siebie przytulone, a usłyszymy człapanie w przedpokoju, to natychmiast odsuwamy się od siebie na piętnaście centymetrów.

– A kiedy powiesz córce?

– Powiem jej, jak będzie miała… dwanaście lat… może szesnaście.

Seksuolog poradził: „Trzeba jej mówić stopniowo – tyle, ile może zrozumieć, nie dopuścić, żeby dowiadywała się od sąsiadek”.

O tajemnicy nie wiedzą: koledzy z pracy, uczniowie Weroniki, panie z przedszkola, rodzice dzieci z tego przedszkola, a przede wszystkim były mąż Lidki i teściowa.

Najbardziej boją się teściowej.

Lidka wyszła za mąż z miłości. Miłość się skończyła, rozeszli się. On o niczym nie wie. To znaczy wie, że żona mieszka z Weroniką, ale nie drąży tematu.

W weekendy córka przyjeżdża często do niego, do domu, który dzieli z matką. Teściowa Lidki potrafi zapytać dziewczynkę:,,A ta ciocia, co z wami mieszka, to gdzie śpi?" Wtedy Anielka odpowiada:,,Z mamusią w pokoju".,,A ile tam jest łóżek?" – dociska babcia.,,Na kanapie rozkładanej śpią" – mówi mała.

– Skoro teściowa zadaje takie pytania, to chyba jasne, że oni wiedzą – mówię.

– Ale co wiedzą?! – obrusza się Lidka. – Są ciężkie czasy, koleżanka nie ma pieniędzy, mieszka u mnie. Co, z dzieckiem ją położę? A w drugim pokoju oprócz kanapy nie zmieści się drugie łóżko.

Lidka liczy na to, że dla jej męża prawda byłaby zbytnim upokorzeniem i dlatego nie pozwoli matce wypowiedzieć na głos swoich podejrzeń. Z teściową nigdy nie żyły dobrze. Lidka boi się, że teściowa mogłaby nakłonić syna do odebrania jej praw rodzicielskich.

Nagle się denerwuje: – Jak mnie zapytają wprost, to zaprzeczę. W żywe oczy się wyprę. Do momentu aż mała będzie miała osiemnaście lat, nie przyznam się w sądzie. Słyszałam, że nie mieliby prawa odebrać mi dziecka, ale…

– Oni nie wiedzą, na czym stoją – uspokaja Weronika.

– Czy nie chciałybyście otwarcie porozmawiać o sprawie przynajmniej z dyrekcją przedszkola Anielki?

– Nigdy w życiu! – Weronika macha rękami. – Wyrzuciliby nas z przedszkola!

– To co tam mówicie, skoro obie na zmianę odbieracie małą?

– Mówię, że jestem koleżanką.

– I nigdy nie było żadnych aluzji?

– Raz dyrektorka zapytała mnie z takim lekkim przekąsem:,,A co, pani Wigilię też z koleżanką będzie spędzać?" A ja na to:,,Nie, z tatą".

– Gdyby nie Anielka, to na klatce mogłabym napisać, że kocham Weronikę – mówi Lidka.

– Naprawdę uważacie, że można w Polsce odebrać komuś prawa rodzicielskie ze względu na orientację seksualną?

– Nie słyszałyśmy o takich przypadkach, ale przed sprawą rozwodową miałyśmy sygnały, żeby, broń Boże, ten temat nie wypłynął.

– A kto te sygnały wam dawał?

– Znajomi…

– Czyli tylko ludzie gadają? Przecież same mówicie, że nigdy was nic przykrego nie spotkało.

– Tfu, tfu.

2005

Ja, grzesznik

Czy Pan mnie pamięta?

Nie.

Kiedyś dostałam od Pana list.

Tak?

Na pikiecie antygejowskiej. Pojawił się Pan z transparentem. Był na nim rebus: symbol komórki męskiej plus symbol komórki męskiej równa się trupia czaszka, poniżej komórka męska plus komórka żeńska równa się uśmiechnięta buzia. Miał Pan też biało-czerwoną flagę i wręczył mi list.

Czy to nie pani przypadkiem opisała potem tę kontrmanifestację w „Gazecie Wyborczej*?

Tak, to ja.

I co panią do mnie sprowadza?

Bo Pański list zrobił na mnie wrażenie. Pikieta była pod hasłem „Dość deprawacji, a w liście same sprośności.*

Była pani zgorszona? Ciekawe.

Wszystko to pisałem na podstawie publikacji Polskiego Towarzystwa Medycznego z lat sześćdziesiątych i pięćdziesiątych.

Ale Pan z taką lubością omawia te patologie, czasem nawet dowcipnie. Jakby szukał Pan pretekstu, żeby sobie, za przeproszeniem, poświntuszyć.

Napisałem mój list w formie satyry. Widzi pani, środowiska katolickie dyskutują o problemach obyczajowych w sposób nudny. Propagują na przykład czystość przedmałżeńską, używając argumentów zupełnie nieczytelnych dla ludzi wychowanych w hedonistycznej kulturze używania.

Zamiast mówić o niemoralności przygodnego seksu, można ludźmi albo wstrząsnąć – pokazując im ciemną stronę pewnych praktyk seksualnych – albo ich rozbawić. Dowcip bardziej trafia do ludzi niż poważna kampania.

Dobrym przykładem jest hasło „Zakaz pedałowania", które według mnie świetnie się udało NOP-owi (Narodowe Odrodzenie Polski). Jest to trochę wulgarne, ale trafne. W naszej kulturze najlepsze.

Zna Pan osobiście jakiegoś geja?

Mam to szczęście, że nie.

A ja znam. Napisałam kilka reportaży o nich i o różnych ludziach z zaburzeniem identyfikacji płciowej. Chciałabym, żeby Pan je przeczytał.

Homoseksualiści zdają się mieć satysfakcję nie tyle z wsadzania sobie nawzajem penisów w odbyt, ile z publicznego manifestowania swych analnych skłonności (normalne skłonności to heteroseksualizm pozwalający na rozmnażanie i przetrwanie gatunku, co j^st podstawowym celem zachowań seksualnych).

(…) Spełnienie życzeń gejów wiązałoby się z prawem przedstawicieli innych preferencji seksualnych do traktowania ich w podobny sposób (…) wiązałoby się z równouprawnieniem voyeurów zwanych popularnie podglądaczami do osiągania satysfakcji z faktu podglądania stosunków innych ludzi. Zapewne w imię tolerancji i szanowania ich praw obywatele musieliby zgodzić się na to, by podglądacze, namiętnie przyklejeni do szyb w domach obywateli, wytrzeszczali gały i uprawiali praktyki autoerotyczne. W imię ogólnoludzkiej solidarności obywatele byliby zmuszeni ogrzewać balkony, by podglądacze nie przeziębili sobie swoich interesów.

(z listu Jana B.)

Czego się Pan napije? Herbaty, kawy?

Nie, dziękuję.

A może lampkę wina?

Nie.

Nie pije Pan alkoholu?

Nie piję. Tak samo jak nie piję kawy, herbaty, napojów gazowanych i nie jadam słodyczy.

To co Pan pije?

Kawę zbożową.

A kiedy Pana ktoś częstuje herbatą, to też Pan jej nie wypije?

Nie chcę zaczynać pić herbaty, bo może się to okazać przyjemne.

Podobnie rzecz ma się z narkotykami.

Kiedy ostatni raz był Pan na wakacjach?

Dawno, dawno temu. Tak dawno, że człowiek już tego nie pamięta. Człowiek chętnie by gdzieś wyjechał. Ale jak się jest biednym, to pozostaje zamknięcie się w kręgu książek.

Czy można wiedzieć, z czego Pan się utrzymuje? Ja już się kończę utrzymywać. Resztki stypendium naukowego przeznaczam na opłatę rachunków, ale to źródło właśnie wysycha. Jestem szczęśliwym bezrobotnym. To patologiczne, ja wiem. Ale ja po prostu nie odczuwam potrzeb konsumpcyjnych.

A co Pan robi, kiedy rozpadną się buty? Zawsze się pojawiają jakieś nowe. Żyjemy w społeczeństwie, które bardzo dużo wyrzuca. Dobrzy ludzie dają mi znoszone ubrania. Jest pomoc w kościołach, są przyjaciele, rodzina. Cudowne jest, jak człowiek zaczyna żyć życiem zapowiedzianym przez Pismo Święte – nie sieje, nie orze, a jakoś żyje. Dbam o higienę. Bo być biednym i brudnym to już byłby wstyd.

Mieszka Pan sam? Na szczęście u mamy.

Chyba w mieście trudniej jest być ascetą niż na wsi. Tam człowiek wyżywi się z lasu.

Nie wiem. Nigdy nie byłem na wsi.

Rocznik 1977. Ukończył z bardzo dobrym wynikiem studia politologiczne. Jest autorem bardzo dobrze ocenionej pracy magisterskiej o klasycznie liberalnym modelu polityki społecznej i publikowanych w czasopismach i internecie prac, m.in. o polityce społecznej NSDAP, wolnorynkowych korzeniach Narodowej Demokracji, szkodliwości feminizmu jako ideologii socjalistycznej. W swoich artykułach piętnuje

szkodliwość socjalizmu. Publikuje też rysunki satyryczne. Bierze aktywny udział w życiu politycznym, pracuje jjako wolontariusz w warszawskiej księgarni przykościelnej. Swoje poglądy stara się też manifestować podczas demonstracji i we współpracy z organizacjami patriotycznymi.

(z notki autobiograficznej Jana B.)

Przejrzał Pan moje artykuły?

Przeczytałem je bardzo uważnie i nawet wypisałem sobie uwagi.

Podejrzewam, że będzie pani zaszokowana. Uważam, że to będzie świetna książka z naszego katolickiego punktu widzenia. Wielu ludzi ma w głowie miły wizerunek homoseksualisty wyniesiony chociażby z filmu *Cztery wesela i pogrzeb*. Pani natomiast w bardzo naturalistyczny sposób pokazuje całkowicie nieznany świat homoseksualistów, który jest ponurym światem z szaletów dworcowych. Człowiek, żyjący w drobnomieszczańskiej atmosferze, zaczyna odczuwać obrzydzenie. Zetknięcie z rzeczywistością opisaną przez panią rozbija jego pozytywne myślenie o homoseksualizmie. Na żyznej glebie pani książki nasze ziarno homofobii da stukrotny plon.

Pan się uważa za homofoba?

Nie obrażam się za tę nazwę. Powiem pani tak. Jak w liceum spierałem się z moimi kolegami anarchistami i punkowcami i mówiłem im, żeby poszli się umyć, bo śmierdzą, oni odpowiadali: tak, śmierdzimy i dobrze nam z tym. Wszystkie swoje wady kreowali na zalety. Doszedłem

do wniosku, że to bardzo dobra praktyka. Jeżeli ktoś chce mnie nazywać homofobem, to niech mnie tak nazywa.

Z tym, że moja homofobia nie wiąże się ze strachem przed homoseksualistami. Ja tylko mam odmienne od nich wartości. Jestem za zgodną współegzystencją. Problem w tym, że homoseksualiści chcą mi narzucić swoje wartości.

A Pan im nie?

No tak, ja im też. To jest zresztą bardzo bolesne odkrycie. Pogodzenie naszych systemów wartości nie jest możliwe.

Żądanie traktowania swojego zboczenia jako czegoś normalnego ze wszystkimi konsekwencjami prawnymi narusza mój zakres wolności. Nie mogę się zgodzić, że mają prawa do adopcji dzieci, do zawierania małżeństw, nie mogę się zgodzić na propagowanie w szkołach zachowań homoseksualnych jako równie naturalnych jak heteroseksualne.

Czy według Pana homoseksualista nie może na przykład wykonywać zawodu nauczyciela?

Uważam, że mam prawo wysyłać dziecko do szkoły, której nauczyciele i program mi odpowiadają. Że mam prawo dyskryminować w szkole, za którą płacę, na przykład homoseksualistów czy satanistów, czego obecne prawo mi zabrania. Tak jak ludzie o poglądach lewicowych mają prawo nie zatrudniać jako nauczyciela słuchacza Radia Maryja.

Rola nauczyciela to nie tylko nauczanie na przykład matematyki, ale również danie wzoru osobowego.

Zachowania homoseksualne są patologią, bo są niezdrowe. Nie chcę, żeby moje dzieci, które, mam nadzieję, kiedyś będę miał, były narażone na kontakt z takimi ludźmi.

Co jest niezdrowego w homoseksualizmie?

Tu niestety… będziemy musieli odwołać się do obsceny.

Otóż odbyt jest zbudowany tak, żeby wydalać. Działania przeciwne powodują bardzo często jego uszkodzenia. Ścianki odbytu są zbudowane tak, że jeżeli się je uszkodzi, szybko przenikają przez nie zarazki. To powoduje, że populacja homoseksualistów ma dużo większą podatność na zapadanie na wszelkie choroby i jej stan zdrowia jest o wiele gorszy. Wiąże się to także z bardzo częstymi uszkodzeniami zwieracza, co prowadzi do nietrzymania kału.

Innym zagadnieniem jest kwestia wierności. Heteroseksualiści są o wiele bardziej wierni niż homoseksualiści.

Może nie bez znaczenia jest to, że nie mogą zawierać legalnych związków.

Nieprawda. Procent rozwodów w małżeństwach homoseksualnych, tam gdzie są dozwolone, jest dużo wyższy niż w małżeństwach tradycyjnych. Kultura gejowska promuje po prostu licznych partnerów, przygodne kontakty. A te prowadzą do zwiększenia podatności na choroby weneryczne.

Skąd Pan zna kulturę gejowską?

Czytam prasę, oglądam telewizję. Polecam choćby „Frondę* czy „Najwyższy Czas*. Te pisma wiele miejsca

poświęcają tej tematyce.

Ale to wiadomości z drugiej ręki.

Pani daruje, ale z pierwszej ręki to ja tych wiadomości nie chcę mieć, bo się brzydzę.

A co by Pan zrobił, gdyby się okazało, że Pański syn jest homoseksualistą?

Straszne by to było. Nie wiem… Nie wiem, co bym zrobił, tak samo jak nie wiem, co bym zrobił, gdyby się okazało, że mój syn jest psychopatycznym mordercą. Nie chciałbym, żeby mnie to spotkało.

Konsekwencją równouprawnienia homoseksualistów będzie tolerancja dla onanistów, tych zaradnych ludzi biorących swoje sprawy we własne ręce w miejscach publicznych. (…)

Z akceptacją społeczną w europejskiej ojczyźnie będą musieli spotkać się i ci przyjaźnie nastawieni ludzie osiągający satysfakcję seksualną dzięki ocieraniu się o współpasażerów w zatłoczonych środkach komunikacji miejskiej.

Legalizując związki homoseksualne, państwo będzie musiało zalegalizować związki zoofilskie, w zjednoczonej socjalistycznej Europie nie powinno być przecież miejsca na międzygatunkowy rasizm. (…)

(z listu Jana B.)

Stara się Pan o jakąś pracę?

Jedyna praca, jaka jest dla mnie dostępna, czyli praca w supermarkecie od świtu do nocy za siedemset złotych,

mnie nie interesuje. Nie pozostawiłaby mi czasu na rozwój intelektualny, czyli na pisanie mojej pracy doktorskiej.

Pisze Pan na jaki temat?

Wizerunek Żydów we współczesnej propagandzie środowisk prawicowych, nacjonalistycznych. Temat jest szalenie ciekawy.

A teza?

Polska prawica jest często oskarżana o antysemityzm. Mnie zainteresowało, co naprawdę ci „okropni" prawicowcy piszą w swoich publikacjach. Czytam je, robię notatki i wyciągam wnioski. Zupełnie nie zgadzają się one z powszechnymi opiniami. Na przykład panuje stereotyp, że polski antysemityzm jest oparty na tezie o bogobójstwie i że jest głęboko zakorzeniony w chrześcijaństwie. A ja tego prawie w ogóle nie znalazłem.

Czyli jaki jest ten wizerunek Żyda?

Jest reakcją na bieżące zachowania Żydów. Na bieżącą politykę Izraela wobec Palestyńczyków, jest związany z udziałem Żydów w ruchu komunistycznym i ich odpowiedzialnością za rządy komunistyczne. Nie znalazłem żadnych tekstów, które by się odnosiły do rasy.

Ale chociażby ksiądz Jankowski i jego wielkanocny grób z napisem „Żydzi zabili Pana i nas też prześladują"?

Ale to cytat z Pisma Świętego! Pani wybaczy, dla przyjemności Żydów nie będziemy cenzurować Pisma.

Nie wydaje się Panu, że z okazji Wielkanocy można by wybrać jakieś hasło o miłości?

Wierność Bogu jest ważniejsza od dobrego samopoczucia.

Czy Żyd mógłby uczyć Pańskiego syna w szkole?

Tylko jeżeli by był katolikiem.

Ma Pan już promotora swojej pracy?

To jest właśnie problem. Piszę i żyję złudzeniami, że znajdę promotora, który pozwoli mi to obronić.

Nikt nie chce?

Byłem na kilku uczelniach, chodziłem do ludzi, którzy wykładają przedmioty związane z tym zagadnieniem i oni byli przerażeni. Okazało się, że tematyka żydowska to magiczne hasło, którego nie należy wypowiadać.

Próbowałem dostać się na rożne studia doktoranckie, na przykład do PAN. Człowiek nieustannie chodzi na te egzaminy. Niestety, bez sukcesu. Przeraża mnie to, że za każdym razem zadawane jest mi pytanie: po co pan to robi?

A po co Pan to robi?

Jak to po co?! Może jestem naiwny, ale wydaje mi się, że poszukiwanie prawdy jest wartością samą w sobie. Na temat nas, patriotów, krążą różne stereotypy. Musimy mieć argumenty, żeby się im przeciwstawić.

I co będzie z tą pracą?

No cóż, są uczelnie, na które można się zgłosić, zapłacić siedem tysięcy złotych za obronę i można się bronić. Niestety ja tych siedmiu tysięcy nie mam. Ale doszedłem do wniosku, że będę się martwił później, jak już napiszę. Pożyczkę weźmiemy z banku, czy będziemy żebrać na ulicy, żeby się obronić.

My, to znaczy kto?

Mówiąc my, mam na myśli takich ludzi jak ja, czyli stracone pokolenie, które nie załapało się na przemiany na początku lat dziewięćdziesiątych.

Pan uważa się za stracone pokolenie?

Liberalizacja rynku na przełomie '89 i '90 roku nastąpiła paradoksalnie dzięki ostatnim rządom PZPR. Weszła ustawa o liberalizacji gospodarki, która koncesjonowała dostęp do rynku w kilku przestrzeniach (handel alkoholem, lekami, bronią, usługi ochroniarskie) i potem, niestety, nasi kochani antykomuniści z „Solidarności*, jak doszli do władzy, zaczęli wprowadzać kolejne bariery. Wszystko to się zamknęło. Kto się nie załapał, to już nie ma szans. Ci, którzy się załapali, jako tako trwają. Załapali się młodzi ludzie na nowo powstające posady. Będą szli na emeryturę za jakieś czterdzieści lat. Więc dopiero wtedy ktoś nowy będzie miał szansę.

Teraz młodzi wypierają starych, więc Pan powinien mieć szansę.

W pewnych branżach jest szansa. Ale jeżeli ktoś ma wyjątkowo „głupią” profesję jak politolog, to…

Ale w '90 roku politolog też nie miał chyba łatwo?

Tak, ale wtedy łatwiej było przynajmniej handlować skarpetami na ulicy. Dzisiaj jak ktoś wystawia stolik, to go zwijają organa represji. Start firmy jest niemożliwy z powodu opłat…

Dawno Pan skończył studia?

Dwa lata temu.

Tu muszę pani powiedzieć, że studia to coś, co uważam za swój największy sukces w życiu. Ja zawsze miałem w podstawówce i w liceum bardzo kiepskie oceny. Po maturze sam przez dwa lata przygotowywałem się do egzaminów wstępnych i ku swojemu zaskoczeniu zdałem. Na studiach zacząłem dostawać same piątki. Byłem tym zdziwiony i strasznie mi się to spodobało. Pomyślałem, że nauka jest bardzo przyjemną rzeczą i chciałem ją kontynuować. Dlatego postanowiłem iść na studia doktoranckie…

Oczywiście nie jest to problem, gdy ma się na przykład dwadzieścia osiem tysięcy. Wtedy można zapisać się na bardzo ciekawe studia doktoranckie w tym gmachu przed nami, w Pałacu Kultury, w Collegium Civitas.

A na uniwersytecie nie mógł Pan zostać?

U nas było jedno miejsce na studiach doktoranckich. Dostała się osoba ze średnią 5,0. Ja miałem 4,93. Poza tym, nie ukrywajmy, jeżeli jest się towarzysko związanym z jakimś profesorem, to jest łatwiej.

To jest może i naturalne w pewnym stopniu, ja to akceptuję. Żałuję tylko, że mnie to osobiście dotyka. Ale nie ustaję w swoich staraniach. Nie mam żony, nie mam dzieci. Mogę sobie pozwolić na to, żeby pisać.

Poza supermarketem naprawdę nie da się niczego znaleźć?

Człowiek szuka, przegląda ogłoszenia, ale niestety nie dysponuje tymi wszystkimi zdolnościami, które są wymieniane.

Społeczeństwo tolerancyjne dla gejów będzie musiało znaleźć w sobie tolerancję dla uranofilów i kaprofilów znajdujących satysfakcję w zjadaniu, wcieraniu w siebie i kopulowaniu z odchodami. Konsekwencją tolerancji dla publicznego obściskiwania się homoseksualistów będzie tolerancja dla osób osiągających satysfakcję z defekacji w miejscach publicznych (…).

(z listu Jana B.)

Nosi Pan zawsze biało-czerwoną naszywkę na kurtce. Czym dla Pana jest patriotyzm?

Mam w rodzinie długą tradycję ofiary krwi dla ojczyzny. A jeśli przodkowie walczyli o ten kraj w powstaniach, lądowali na Syberii, byli w Legionach, w AK, w „Solidarności*, to odpowiedzialność, troska o dobro wspólne, postawa obywatelska staje się czymś naturalnym. To nie bierze się z niczego. To coś, co długo trwa, na co trzeba długo i ciężko pracować, żeby to było, i nie jest to dane na zawsze.

Mówi Pan o Polsce jak o obowiązku, a uczucie?

Ojczyznę w pewnym momencie postrzega się przez pryzmat kochanki – kobiety, którą się kocha. Tak jak w obrazach Malczewskiego. Niewątpliwie życie z nią jest ciężkie, ale jednak człowiek czuje się z nią niezwykle związany. Ja oczywiście wolałbym, żeby mój związek z ojczyzną był weselszy, ale jakoś nie jest. Polska nie jest krajem wesołym, tylko smutnym.

Trudna miłość…

Trudna. I najlepiej się ją dostrzega właśnie przez obrazy Malczewskiego.

Polska to raczej kochanka czy żona? Bo kochankę można zmienić, a żony nie.

Gdyby Polska była żoną, dawałaby człowiekowi pewne oparcie, a Polska nie daje.

Co w takim razie Pana tak w niej pociąga?

To tak jakby zapytać wszystkich ludzi, którzy są nieszczęśliwie zakochani. Tak bywa.

W Waszej księgarni pracuje kilkoro młodych ludzi. Czy Wy należycie do jakiejś organizacji? Co Was łączy?

Większość z nas nie jest nigdzie. Wszyscy mamy doświadczenia bycia jakimiś ministrantami, bielankami. Ja jestem najbardziej zaangażowany. Wyrastałem w środowisku, gdzie aktywność polityczna była czymś naturalnym. Moje dzieciństwo przypadło na ponure lata Jaruzelskiego. Na Gierka i jego banany się nie załapałem. To pewnie spowodowało, że jestem zoologicznym antykomunistą. Po prostu tak dużo krzywd człowiek doznał. To były ponure lata.

Jak ponure?

Wyrastałem w środowisku inteligenckim. Mama jest z wykształcenia plastykiem – obecnie na rencie inwalidzkiej. W roku '80 zapisała się do „Solidarności*… Jej przyjaciele byli internowani. Ukrywał się u nas jeden z założycieli ruchu obrony praw człowieka i obywatela. Była u nas nielegalna drukarnia. Więzienie zniszczyło wielu jej

znajomych. Człowiek widział to wszystko. Potem szedł do szkoły i spotykał się z kłamstwem, zastraszeniem.

Odczuwało się biedę. Ta marmolada, nie wiem do czego, w takich wielkich blokach. Nie dość, że nie było w sklepach nic, to jeszcze nie było pieniędzy. Tylko dary przekazywane przez Kościół z Zachodu. To człowieka kształtuje.

Na szczęście komuniści popełnili jeden błąd. Dopuścili do istnienia Peweksów. Pamiętam, wchodziłem do Peweksu jak do muzeum. Peweksy uświadamiały, że gdzieś jest świat, w którym jest papier toaletowy i klocki lego.

Kiedy zaczął się Pan angażować w politykę?

W latach dziewięćdziesiątych. Roznosiłem jakieś ulotki, plakaty, byłem bardzo zaangażowany w kampanię Lecha Wałęsy, wierzyłem, że on rozliczy komunizm. Niestety, Lech Wałęsa świadomie mnie oszukał.

Potem było Porozumienie Centrum, UPR. Wszystko się rozpadło. Nie powstała alternatywa. Było dla mnie naturalne, że trzeba współpracować z Ligą Republikańską, potem z Młodzieżą Wszechpolską.

Należy Pan do Młodzieży Wszechpolskiej?

Jak człowiek ma dwadzieścia osiem lat, to nie powinien już należeć do organizacji młodzieżowej.

Jestem takim satelitą. My się wszyscy znamy i nieustannie jesteśmy zniechęcani do działalności przez naszych liderów. Tragedia polskiej prawicy to ludzie, którzy stoją na czele. Przekleństwo, które nad nami ciąży. Tak jakby kierownicy sami chcieli rozwalić swój ruch. Lewica

powinna im przyznawać statuetki za rozbijanie polskiej prawicy.

Dowodem mierności naszego systemu politycznego jest wygrana PiS-u i PO. Wydawałoby się, że powinny się przygotować do przejęcia władzy. A nie. Kłócą się o jakieś bzdety… Nie mają żadnego pomysłu. Myślą, że wystarczy, że dorwą się do władzy, to będzie to kraj mlekiem i miodem płynący.

Nie wszyscy są ideowcami, ja to rozumiem, ale z nudów przynajmniej mogliby coś zrobić dla tego kraju. A jak Polska będzie bogatsza, to przecież i oni więcej skorzystają. Nie troszczą się o dojną krowę, tylko ją doją na umór.

Brakuje Panu wiary?

W Polsce tak po prostu ludzie czują. Mieszkam na przedmieściach Warszawy. Dzień w dzień mijam w pociągu tych samych ludzi. Widziałem młodych ludzi, którzy zamiast na uczelnię, jadą do pracy. I widziałem, jak ci ludzie z miesiąca na miesiąc, z roku na rok niszczeli. Stawali się coraz starsi, bardziej zmęczeni, szarzy. Ja dzięki temu, że ograniczyłem swoje potrzeby konsumpcyjne, mogłem sobie pozwolić na luksus studiowania.

Z drugiej strony obserwuję swoich znajomych, którzy – dzięki znajomościom – znaleźli pracę w urzędach.

Widzę, ta niewielka władza, którą posiedli, ich deprawuje. Osoby, które skończyły jakiś kierunek poświęcony pomocy potrzebującym, teraz w pracy w ogóle tym pomaganiem nie są zainteresowane. Już ich to zjadło – życie biurowe, przekładanie kartek z jednego stosu na

drugi. Wchodzą w system. Ludzie, którzy pracują w instytucjach państwowych, są wyalienowani ze społeczeństwa. Kwestie cierpienia, niesprawiedliwości – przestają dla nich istnieć.

A co dopiero mówić o instytucjach politycznych.

Szeregowi członkowie są w porządku. Weźmy takie Narodowe Odrodzenie Polski. Znam ich, spotykamy się na manifestacjach antyaborcyjnych, przeciw Unii Europejskiej, obchodach świąt patriotycznych. Środowiska Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego, fundacja Odpowiedzialność Obywatelska, stowarzyszenie KoLiber, Centrum im. Adama Smitha… Ludzie na niższym szczeblu ze sobą współpracują. Jeżeli są różnice, to dotyczą rzeczy drugorzędnych, jak wysokość podatków. Problemem są tylko liderzy, którzy systematycznie tę współpracę uniemożliwiają.

Problemem jest pycha liderów. Czy na przykład Roman Giertych by tak wiele stracił ze swej tożsamości politycznej, gdyby od początku ściśle współpracował z PiS-em? A przecież takie jest oczekiwanie.

A dlaczego Pan nigdzie nie należy?

Mam coraz mniej zapału do tego. Mierzi mnie partyjniactwo.

To jak się na dzisiaj przejawia Pana aktywność polityczna?

Człowiek ma niewielkie możliwości. Manifestacje są ważne, żeby zaistnieć w mediach. Niestety, nikt tym nie jest zainteresowany, nie ma kursów, nic nie jest robione.

Człowiek myśli, że gorzej być nie może, że to koniec. Ale okazuje się, że jest coraz gorzej i gorzej.

Zwykle chodzę tam, gdzie coś już się dzieje. Rozdaję listy, przynoszę transparent. Ale coraz rzadziej.

Nie ma nawet porządnego systemu przepływu informacji. Słyszałem pogłoskę, że w sobotę pod stacją metra Centrum NOP będzie rozrzucał ulotki antygejowskie, ale o której? Przy którym wyjściu? Nie wiadomo. Chyba zostanę w domu. Muszę nadgonić pisanie.

Już dziś prawa dla homoseksualistów dyskryminują estetów. Esteci muszą cierpieć, bo obraz przestrzeni publicznej, jjaki dostrzegają, zamiast być estetycznym, tak j^k pragną, j^st zakłócony nieestetycznymi widokami pieszczot między leciwymi, tłustymi gejami czy lesbijkami (bo w realu lesbijki, niestety, nie są młode i atrakcyjne j^k na filmach).

(z listu Jana B.)

A w ogóle to podziwiam panią, że pani się nie bała wejść w te patologiczne środowiska.

Czego miałabym się bać?

No wie pani…, że panią zamordują…

Dlaczego ktoś miałby mnie zamordować?

No nie wiem. Człowiek się naoglądał filmów sensacyjnych. Nie była pani na *Milczeniu owiec?*

Ale ten z Milczenia owiec *był mordercą, a nie gejem.*

Ale miał zaburzenia psychiczne…

Człowiek nie chciałby tak żyć. Ale jak dorosły chce robić różne wstrętne rzeczy, to nie ma sensu mu zabraniać. Tak

samo jest z paleniem. My, katolicy, jesteśmy zobowiązani napominać go, że to szkodliwe, ale zabraniać – nie ma sensu.

A czy człowiek palący mógłby uczyć Pana córkę czy syna?

Nie chciałbym. Bo mógłby być sympatyczny. Dziecko zauważy, że sympatyczny człowiek pali papierosy i…

Musiałby Pan bardzo starannie wybierać tego nauczyciela.

Ja uważam, że u nas w ogóle ludzie za małą wagę przykładają do wychowania dzieci. Ci, którzy nie zwracają uwagi na to, kto uczy ich dzieci, nie są warci więcej niż rodzice, którzy swoim otyłym dzieciom kupują chipsy.

A do McDonalda Pan często chodzi?

Niestety, nie stać mnie.

Pytam, bo zaproponował Pan, żebyśmy spotkali się w McDonaldzie.

No cóż. Pewien urok frytek no… przemawia do mnie. Przemawia.

Chociaż jako człowiek zaangażowany w obronę polskości wolałbym, żeby zamiast McDonaldów – które na szczęście dla wielu ludzi są u nas jeszcze paradoksalnie luksusem i to nas chroni przed otyłością – było u nas więcej polskich barów z dobrą żywnością za niską cenę. Bo właśnie polskie jedzenie to jedna z rzeczy, z której możemy być dumni.

Wie pani, co jest jednym z materialnych przejawów wyższości kultury katolickiej nad innymi? Kuchnia. To kraje katolickie stworzyły najsmaczniejsze dania. Proszę porównać kuchnię Włoch, Francji, Polski z niemieckimi

parówkami czy angielskim bekonem. Jest to coś bezsprzecznie wyższego. Kultura konsumpcji jest częścią naszego dziedzictwa.

Ja niestety nie mogę czerpać przyjemności z kuchni, ale jestem pod wielkim wrażeniem tego, co pokazuje w telewizji Robert Makłowicz. Mam nadzieję, że dożyję czasów, kiedy dobre jedzenie nie będzie luksusem i ludzie nie będą musieli się zapychać czymś, żeby przeżyć. Niestety, nie jestem w tej dziedzinie specjalistą, ale bardzo bym chciał.

Tak jjak dziś homoseksualiści okazują sobie czułość, tak jutro normalnym może stać się widok nekrofila pieszczącego obrzmiałe członki z plamami opadowymi, namiętnie całującego zimne i sine gnijące wargi martwego partnera. (…) Także dla osfresiofilów, czerpiących satysfakcję seksualną z własnego smrodu (których tak często spotykamy w zatłoczonych pojazdach komunikacji miejskiej), dzisiejsze równouprawnienie dla gejów okaże się korzystne.

(z listu Jana B.)

Czy ojciec był dla Pana silnym autorytetem?

Kochałem mojego ojca, ale on nie odegrał większej roli w moim życiu. Moi rodzice nie byli małżeństwem. Ojciec nie mieszkał z nami. W stanie wojennym wyjechał za granicę, wkrótce zachorował i umarł. Byłem wychowywany przez matkę, babcię. Żadnych męskich wzorów osobowych. Pełen matriarchat.

Mój model rodziny w ogóle nie był katolicki, samotna matka. Chociaż mama jest bardzo religijna.

To jak się w Panu tak mocno ugruntowała postawa katolicka?

Ja sam ją ugruntowałem. Zawsze słucham tego, co ludzie mówią i zastanawiam się nad tym. Kiedy byłem ministrantem, zauważyłem, że księża na kazaniach ględzą, a ludzie przysypiają. I zastanawiałem się, czy to księża są tak głupi, czy ta religia jest tak głupia. Ględzenie jest niebezpieczne, bo zraża ludzi do katolicyzmu.

Nasi księża boją się być świadkami Chrystusa. Zapomnieli o swoim powołaniu.

Dlatego sięgnąłem po skarbnicę Pisma Świętego i encykliki Jana Pawła II. Im człowiek dalej wchodził, tym bardziej kształtował swoją wiarę, opierał swoją wiedzę o religii na bardzo mocnych fundamentach.

I doszedłem do wniosku, że to jest bardzo fajna religia. To tylko księża głoszą rzeczy nie zawsze z nią zgodne.

Co dla Pana znaczy być katolikiem?

U nas katolikiem trzeba być często wbrew hierarchom. Jeżeli człowiek jest katolikiem, to musi wchodzić konflikt z tym, co mówi na przykład biskup Życiński. Moja mama jest często rozczarowana tym, że ja zamiast być posłusznym wobec hierarchów, jestem posłuszny wobec Jezusa Chrystusa.

Weźmy choćby dyskusję o Unii Europejskiej. Ludzie musieli opowiedzieć się po którejś stronie. Zdecydować, co uważają za dobre, a co uważają za złe. Jako katolik czułem

się w obowiązku przeciwstawić się integracji z UE. Wtedy właśnie wybrałem posłuszeństwo wobec Chrystusa, a nie wobec części kleru, która jest zagubiona.

Chrystus głosowałby w referendum przeciwko przystąpieniu do Unii?

Niewątpliwie nie byłby za systemem politycznym, który ma możliwość narzucenia nam aborcji, laicyzacji, normami prawnymi zmusza do zatrudniania w szkołach satanistów i homoseksualistów pod pozorem niedyskryminowania ludzi ze względu na orientacje religijne czy seksualne.

W mojej pracy o NSDAP, którą pisałem jeszcze na studiach, udowadniam, że model polityki społecznej praktykowany przez NSDAP w Niemczech jest całkowicie sprzeczny z nauczaniem katolickim, a zarazem niezwykle zbieżny z praktyką Unii Europejskiej. Większość instytucji Unii Europejskiej to są instytucje niemieckie, czyli wyrosłe z instytucji nazistowskich. To jest szokujące, jak człowiek dzisiaj słyszy pewne argumenty i odkrywa, że te same głosił Adolf Hitler. Moja nieśmiała refleksja jest taka, że w Polsce *Mein Kampf* jest zakazana dlatego, że ludzie mogliby dostrzec, że jej tezy są realizowane przez współczesną lewicę europejską. A to dla lewicy bardzo niebezpieczna konstatacja.

Na przykład model państwa opiekuńczego jest niezwykle zbieżny z tym, co robili naziści. Najlepszy przykład Szwecja – hodowla rasy, eugenika, sterylizacja ludzi niepełnosprawnych, to wszystko zaczęli socjaldemokraci.

Ludzie, którzy dzisiaj są kreowani na autorytety, jak Boy-Żeleński w latach dwudziestych, byli zaangażowani w propagowanie zbrodniczej polityki eutanazji.

Albo weźmy chociażby sprawę kary śmierci. Ja jestem za karą śmierci właśnie dlatego, że jestem katolikiem. A na przykład nasz prymas jest przeciw.

Chrystus też byłby za karą śmierci?

Oczywiście że tak! Przecież kiedy wisiał obok Łotra na krzyżu na Golgocie, to nie wypowiadał się przeciwko karze śmierci. Gdyby uważał, że wartością nadrzędną nie jest sprawiedliwość, ale życie, to może by się nie dał zabić. Nie mówiąc o tym, że Chrystus wielokrotnie mówił, ze grzesznicy zostaną ukarani.

Ale że po śmierci…

No dla nas katolików… jeżeli czytamy w Piśmie, że zmartwychwstaniemy z ciałem, a grzesznicy zostaną rzuceni w ogień wieczny i będą cierpieć. To nie jest to bardzo abolicjonistyczne.

Ale to Bóg ma wrzucać w ogień. My chyba nie powinniśmy go wyręczać.

Tomasz z Akwinu twierdził, że zabijając mordercę, dajemy mu szansę pokuty, a zarazem życia wiecznego

A zgodnie z pani rozumowaniem, skoro nie mamy prawa skazać na śmierć mordercy, to może również nie powinniśmy ograniczać mu wolności?

A może nawet nadstawić mordercy drugi policzek… To ma Pan na myśli?

Właśnie. Dlaczego nie? Widzi pani, okazuje się, że to ględzenie niektórych księży z ambony miało też jedną dobrą stronę. Zmusiło mnie do wysiłku intelektualnego.

Oczywiście istnieje jedno wielkie niebezpieczeństwo…

Jakie?

Pycha. Z tym trzeba walczyć i na to ciągle uważać.

Dziś propagatorom społeczeństwa otwartego i tolerancji umknął jakt, że tylko wagina jjest kompatybilna z penisem. Preferencją jest, kto jest na górze, nie jakieś dewiaqe. Bardziej kulturalne od dzisiejszego świata cesarstwo rzymskie upadło z powodu tolerancji dla dewiantów. Wraz z upadkiem cesarstwa znikły jego zdobycze cywilizacyjne. Tak i naszą cywilizaqę zgubi tolerowanie dewiacji. A wraz z cywilizacją zachodu zniknie kanalizacja, bieżąca woda, lekarstwa, powszechna dostępność żywności, lecznictwa i edukaqi. Za tolerancję dla zboczeńców zapłacimy powrotem do powszechnych epidemii, głodu i anarchii.

(z listu Jana B.)

Jak wygląda Pana dzień?

Mam dyscyplinę. Wstaję rano, piszę cały dzień. W międzyczasie idę na spacer, żeby nie zwiotczały mi mięśnie. Właściwie niczym innym się nie zajmuję.

Trzy razy w tygodniu przyjeżdżam do księgarni, to jest właściwie dzień odpoczynku, który pozwalam sobie spędzić na lekturach gazet, czytaniu książek, rysowaniu.

Jacy ludzie do Was przychodzą?

Od prostych robotników po profesorów. Pytają o Feliksa Konecznego, Korwin-Mikkego, Marka Jurka. Ludzie, którzy

raz w miesiącu wydają na te książki znaczną część swoich skromnych emerytur.

Chcieliby kupić więcej, dlatego długo wybierają. Nie zawsze starcza pieniędzy. Mam przyjemność, gdy mogę porozmawiać z robotnikiem, który wychodzi po ciężkiej pracy z pierwszej zmiany, a wpada tu, żeby kupić Konecznego.

Rzadko przychodzą młode kobiety. One nie interesują się polityką. Jeżeli przychodzi młoda kobieta, to przeważnie okazuje się, że jest dziennikarką.

Warto dodać, że tu dopiero widać jascynującą rolę Radia Maryja. Jak ono rozwija aspiracje intelektualne wiernych. Jak jego słuchacze dowiadują się prawdy o historii Polski i przychodzą do nas, bo chcą wiedzieć więcej.

A Pańskie życie towarzyskie?

Ja nie mam pieniędzy, żeby uczestniczyć w życiu towarzyskim. Żeby mieć kontakty z ludźmi, trzeba mieć pieniądze, komputer, internet, telefon komórkowy.

Nie ma Pan internetu? To jak Pan umieszcza tam swoje teksty?

Ja nie mam nawet komputera. Mam elektryczną maszynę do pisania. Ktoś mi to złożył z różnych części wyrzucanych przez ludzi.

Do internetu mam dostęp przez dobrych ludzi. Może to i dobrze, bo gdybym miał dostęp u siebie, to bym tylko siedział i marnował czas. A i tak tego czasu brakuje, bo mam tyle do napisania.

Raz na jakiś czas wysyłam swoją radosną twórczość – teksty i rysunki – na kilkadziesiąt adresów. Człowiek ma niezdrową potrzebę dzielenia się z ludźmi swoimi przemyśleniami. Niestety, większość redakcji, wydawnictw nie jest nimi zainteresowana. Internet to jest zbrodniczy oręż w rękach grafomanów. Można zapychać ludziom skrzynki. I to jest właśnie coś niedobrego. Piszę, nikt nie chcę tego czytać, rysuję, nikt nie chce tego oglądać, a ja się nie zniechęcam. To bardzo niezdrowe. Bo powinienem się zniechęcić i robić coś konkretnego.

Uważa się Pan za grafomana?

Domniemam, że piszę źle, bo nikt nie chce publikować tego, co piszę. Piszę, bo mi to sprawia przyjemność. Może jak będę pisać dużo, to kiedyś zacznę pisać w sposób, który się ludziom spodoba.

Chciałbym, żeby moja treść lepiej trafiała do ludzi. Gdybym miał talent, żeby pisać i rysować w sposób zrozumiały, to pewnie prowadziłbym agencję reklamową.

A który z moich reportaży najbardziej Pana zgorszył?

Ten o gejach i lesbijkach wychowujących dzieci. Choć tu muszę przyznać, że o ile homoseksualiści męscy napawają mnie wyjątkowym obrzydzeniem, to lesbijki mniejszym.

Ja jestem przesiąknięty romantycznym etosem związku dwojga ludzi i wszelkie trójkąty, poligamia, orgie, przypadkowe stosunki, rozpusta, demoralizacja napawają mnie odrazą. Było to smutne. Mnie było żal tych ludzi, że mają tak nieuporządkowane życie i nie mogą się cieszyć

tym, co ja uważam za szczęście, czyli bycie w związku z kochającą osobą odmiennej płci.

Ale te lesbijki są szczęśliwe.

Palacze papierosów też są szczęśliwi, narkomani też są szczęśliwi. Jednak człowiek by tak nie chciał żyć.

Ale one są zadowolone z życia, uśmiechają się, a Pan jest smutny.

To jest mój etos życiowy. Chopin też był smutny. Gdyby nie był smutny, nie pisałby takiej smutnej muzyki, nie byłoby konkursu chopinowskiego, tylko mielibyśmy jakieś polki radosne, które mogą się znudzić. Ktoś musi być radosny, a ktoś musi być smutny.

I tak już będzie do końca?

Życie nauczyło mnie kompromisu. Plan był taki, że napiszę tę pracę. Miałem nadzieję, że mi to pójdzie szybciej, ale idzie wolniej. Ja już nawet zrezygnowałem z przymiotnika doktorska. Chcę po prostu skończyć to, co zacząłem.

Żadne moje plany się nie spełniły. Kariery nie zrobiłem. Mój kolega ze studiów jest rzecznikiem rządu. Konrad osiągnął jakiś sukces życiowy. Inni koledzy mają dzieci, rodziny…

Ja osiągnąłem ten sukces, że jestem przyzwoitym… Nie, to strasznie brzmi… Że jestem grzesznikiem, świadomym własnego grzechu. I tego, że powinienem tego grzechu unikać.

listopad 2005 – styczeń 2006

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem: ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.pl www.wab.com.pl

Współautorem tekstu „Dlaczego nie przyjechał ford transit?” j^st Marcin Kowalski.

Redakcja: Bożena Dudko Korekta: Grażyna Nowocień-Mach, Anna Hegman Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych oraz fotografia wykorzystana na I stronie okładki: Grzegorz Korzeniowski Fotografia autorki: © Dagmara Caban

Wydawnictwo W.A.B. 02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31 tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11 wab@wab.com.pl www.wab.com.pl

Skład i jamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne Piaseczno, Żółkiewskiego 7 Druk j oprawa: ABEDIK S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-255-7